

Numer specjalny na 100-lecie
odzyskania niepodległości

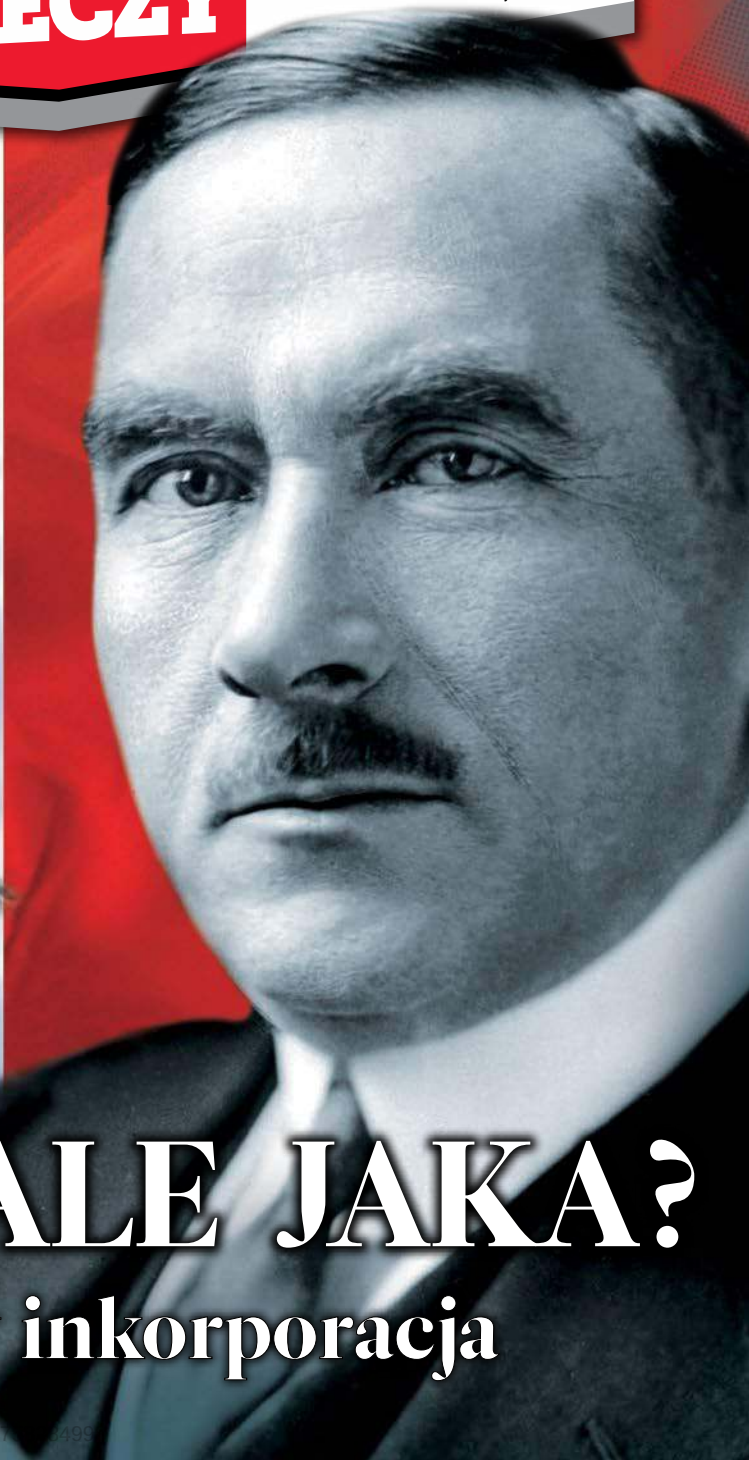
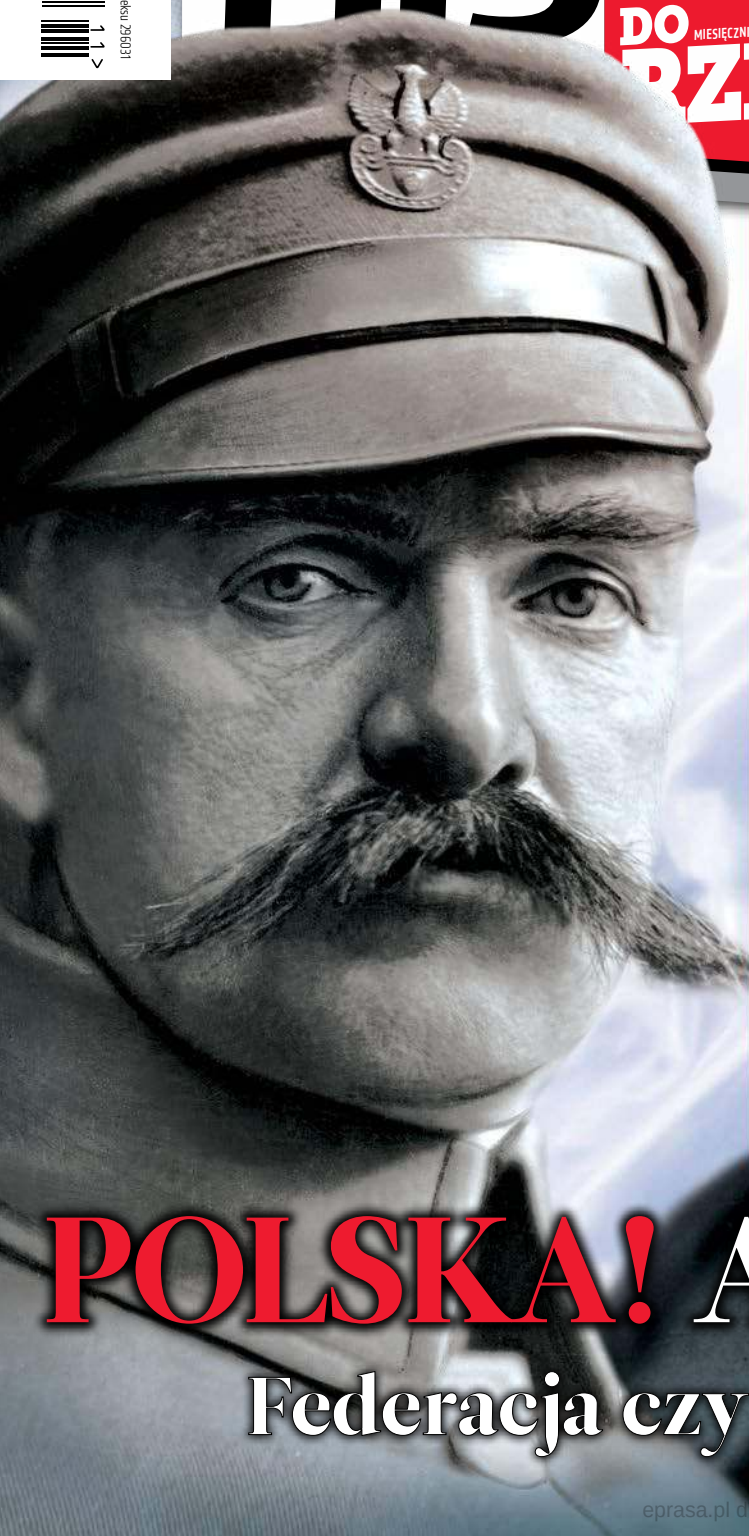
NR 11(69)/2018 LISTOPAD 2018

HISTORIA

DO
MIESIĘCZNIK LISIEKIEGO
PRZECZY

CENA 7,95 zł
(W TYM 8% VAT)

ISSN 2299-5515
N. indeksu 256031
9 772299 551509



POLSKA! ALE JAKA?
Federacja czy inkorporacja

niepodległa

POLSKA
STULECIE ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI

2018

*wspieramy
pamięć*



Polska Grupa
Energetyczna

MECENAS OBCHODÓW
SETNEJ ROCZNICY
ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

ADRES: HISTORIA DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
Prowadzący: Marcin Bartnicki

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY” JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY”.

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:

Redaktorzy: **Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Marcin Bartnicki**

Studio graficzne:

Wojciech Niedziółko (szef studia),
Leszek Miłoszewski, Jacek Nadratowski,
Anna Sobieska-Wójtowicz,
Włodzimierz Zakrzewski

Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska**

Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

Dorzczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem:

Zofia Magdziak (zastępca), **Anna M. Piotrowska,**
Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac,
Przemysław Harczuk (także SuperExpress), **Mateusz Maranowski** (także Polskie Radio), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Miłosz A. Łodowski**

WYDAWCA:

Orle Pióro sp. z o.o.

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu spółka Orle Pióro
wchodzi w skład grupy kapitałowej PMPG SA,
notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**

Zarząd spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: +48 22 347 50 10

reklama@dorzeczy.pl

PUBLIC RELATIONS:

pr@point-group.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż),

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@mpmg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po
cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę
jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515

Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez **RUCH SA:**

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej
można składać bezpośrednio na stronie
www.prenumerata.ruch.com.pl.

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując
się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta
pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59
– czynne w godz. 7–18.

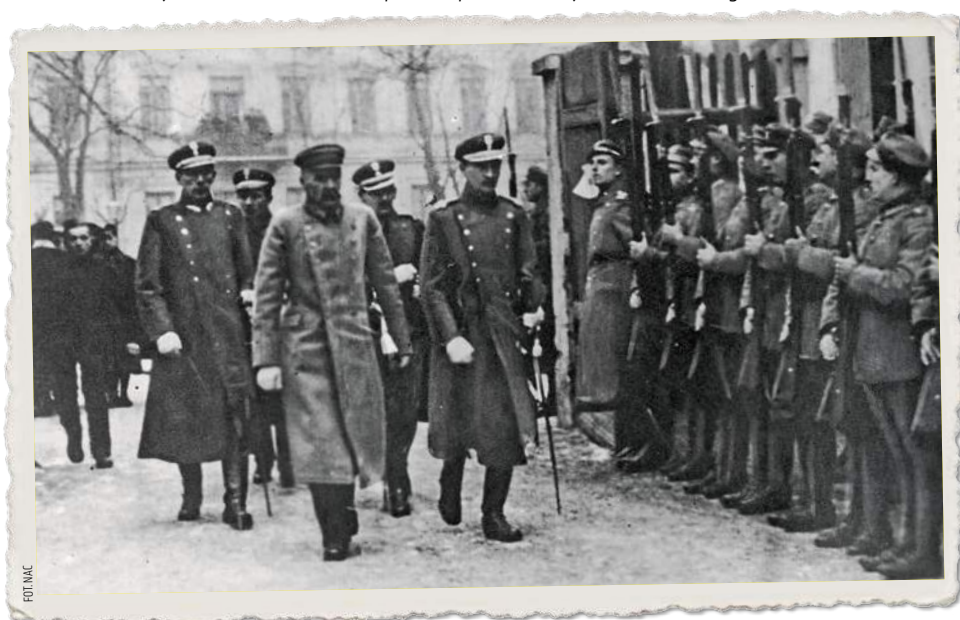
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń
ani nie zwraca materiałów niezamówionych.
Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów.

Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze
rozpowszechnianie materiałów opublikowanych
w miesięczniku „Historia Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w miesięczniku
chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa
zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu
tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki
licencjonowania materiałów prasowych
na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, 10 lutego 1919 r.

Naczelnik Państwa, Józef Piłsudski, w drodze na pierwsze posiedzenie Sejmu Ustawodawczego



Od redaktora



Piotr Zychowicz

Jest co świętować!

Matko Boska, którą ojcowie nasi nazwali królową

Polski i Litwy,

Zbaw Polskę i Litwę.

Od niewoli moskiewskiej, austriackiej i pruskiej

Wyzwól nas, Panie.

O wojnę powszechną za wolność ludów

Prosimy Cię, Panie.

O broń i orły narodowe

Prosimy Cię, Panie.

O niepodległość, całość i wolność Ojczyzny naszej

Prosimy Cię, Panie.

W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego – Amen.

To fragmenty „Litanií pielgrzymkiej” Adama Mickiewicza. Utwór, który powstał w 1832 r., wyrażał największe nadzieje i tęsknoty ówczesnych Polaków. Marzenia Mickiewicza i jego pokolenia zmaterializowały się dopiero w 1918 r.

Muza historii Klio zwróciła wówczas swoje życzliwe oblicze w stronę Rzeczypospolitej.

Wybuchła wojna powszechna, w wyniku której upadły wszystkie trzy mocarstwa zaborcze. W rękach Polaków znalazła się broń. Nasi przodkowie zrobili z niej dobry użytek. Udało im się odbudować państwo. Rzeczpospolita – po 123 latach niewoli – odrodziła się niczym Feniks z popiołów. Rok 1918 jest bez wątpienia jedną z najwspanialszych dat w naszych dziejach.

Redakcja „Historii Do Rzeczy” dołącza do narodowych obchodów stulecia odzyskania niepodległości. I zachęcamy do tego wszystkich naszych Czytelników. Jest co świętować!

W nowym numerze naszego pisma pokazujemy starcie dwóch wielkich koncepcji. Koncepcji federacyjnej Józefa Piłsudskiego i koncepcji inkorporacyjnej Romana Dmowskiego. Był to jeden z najważniejszych sporów w dziejach Rzeczypospolitej. A jego rozstrzygnięcie zaważyło na losach kolejnych pokoleń Polaków. A także Litwinów, Białorusinów i Ukraińców. ©



/ TEMAT NUMERU

.6 PIOTR ZYCHOWICZ

Federacja czy inkorporacja

.10 GIERTYCH KONTRA GLUZA

Debata: Dmowski czy Pilsudski

.12 TOMASZ STAŃCZYK

Walka o wolną Ukrainę

.16 RIMANTAS MIKNYS

Rozwód Jagielly i Jadwigi

.18 MAREK GAŁĘZOWSKI

Pilsudski w roku 1918

/ CZASY I LUDZIE

.22 GRZEGORZ WOŁK

Śmierć Pietraszki

.26 SAUL DAVID

Strzały na Entebbe

.30 JAKUB OSTROMĘCKI

Rambo na ratunek jeńcom

.36 SŁAWOMIR KOPER

Wojna i miłość pięknej hrabiny

.40 WIT SIWIEC

Usłyszcie głos mojego ojca!

.44 MIKOŁAJ IWANOW

Uspiński: władca GUŁagu

.48 ARKADIUSZ KARBOWIAK

Biali Rosjanie przeciw Ticie

.52 MACIEJ ROSALAK

Niereformowalna Rosja

.56 MARCIN BARTNICKI

Zbrodnie Teda Kaczynskiego

.59 PIOTR SEMKA

Zakarpcka beczka prochu

.62 GIDEON GREIF

Ofiary, a nie sprawcy

.66 ZBIGNIEW SIEMASZKO

Sowietom nie wolno ufać

.70 ŁUKASZ CZARNECKI

Golgota japońskich chrześcijan

/ CO CZYTAĆ

.76 KRZYSZTOF MASŁOŃ

Księżyc Marii Kuncewiczowej

/ FELIETONY

.84 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Nagroda imienia Tynfa

.85 PIOTR SEMKA

Pułaski krzepi

.98 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ

Święty Paweł VI

/ KRESY

.86 TOMASZ STAŃCZYK

Litwinki na Wawelu

/ BATALIE I WODZOWIE

.90 MACIEJ ROSALAK

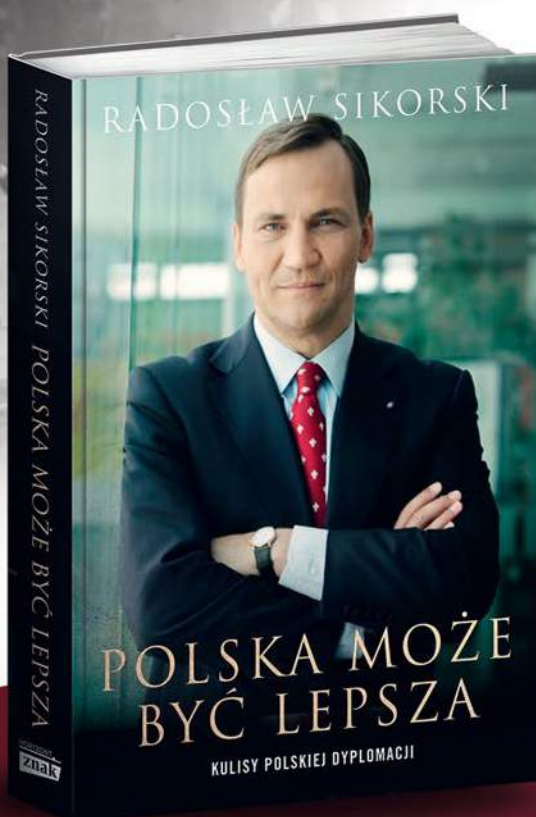
Triumf Mogolów Wielkich

/ KOMIKS

.99 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

I MACIEJ JASIŃSKI

Fortel Pradelloka



PIERWSZA KSIĄŻKA

O KULISACH POLSKIEJ DYPLOMACJI

NOWA KSIĄŻKA

KACPRA ŚLEDZIŃSKIEGO





Piotr Zychowicz

/ Sto lat temu starły się w Polsce dwie koncepcje. I dwie wielkie osobowości – Józef Piłsudski i Roman Dmowski

W 1918 r. wytworzyła się wymarzona koniunktura dla Polski. Jednoczesny upadek wszystkich trzech potęg zaborczych –

Rosji, Niemiec i Austrii – otworzył przed naszymi przodkami wielką szansę na odbudowę państwa. Przystąpili do tego dzieła z wielkim zapałem, ale od razu pojawiło się przed nimi fundamentalne pytanie: Jaka ta Polska ma właściwie być?

Wbrew pozorom odpowiedź nie była wcale oczywista. W epoce, o której mowa, ścierały się bowiem dwie wizje Polski, dwie koncepcje. Pierwsza zakładała, że Rzeczpospolita musi się odrodzić w swoim kształcie historycznym. A więc jako mocarstwo, które byłoby ojczyzną wszystkich narodowości mieszkających na olbrzymich przestrzeniach rozciągających się między Niemcami a Rosją. Ojczyzna Litwinów, Polaków, Rusinów, Białorusinów, Ukraińców, Żydów, Tatałów i innych.

Druga koncepcja zakładała, że Polska odrodzi się jako zupełnie nowy i inny twór. Jako zwarte państwo narodowe. Nacjonalistyczna Polska dla Polaków. Zwolennikiem koncepcji pierwszej był Józef Piłsudski. Zwolennikiem koncepcji drugiej – Roman Dmowski. Dwaj najwięksi Polacy swojej epoki. Starcie tych dwóch koncepcji było więc jednocześnie starciem dwóch wielkich osobowości.

Inkorporacja

Zacznijmy od koncepcji drugiej. Narodziła się na przełomie XIX i XX w. A najlepiej wyłożył ją w swojej programowej książce – „Myśli nowoczesnego Polaka” (1902) – Roman Dmowski. „Patriotyzm starej daty – pisał – stara się o to, żeby



Roman Dmowski FOT. WIKIPEDIA

1918–1923 /

Federacja czy

wszystkim zamieszkującym obszar dawnej Rzeczypospolitej zależało na jej odbudowaniu, żeby i nie-Polacy byli silnie zjednani dla idei niepodległej Polski”.

Myślenie takie Dmowski odrzucał i owych „patriotów starej daty” proponował zastąpić „narodowcami nowej szkoły”. „Państwo może stworzyć tylko naród zdrowy, silny, liczny – podkreślał – spójny i silnie do swej odrębności przywiązany. Państwo polskie stworzy przede wszystkim naród polski, z rdzenia polskiej ludności złożony, polską żyjącą kulturą”.

Sporą satysfakcję musieli czuć Rosjanie, gdy w 1914 r. usłyszeli w Petersburgu z ust Dmowskiego i jego towarzyszy: „Polacy, którzy jeszcze w pierwszej połowie zeszłego stulecia uważali Litwę, Wołyń, Podole i Ukrainę za ziemię polskie, teraz litewskie i ruskie ziemie nie uznają za polskie dzielnice. Polacy nie żądają wcielenia tych ziem w obszar Polski. Polacy

w obecnych czasach, mówiąc o Polsce, rozumieją Polskę etnograficzną”.

A oto wypowiedź Dmowskiego z roku 1919: „To, co na wschodzie tracimy, czego się zrzekamy w porównaniu z obszarem Rzeczypospolitej z 1771 roku, to odchodzi do Rosji. Przykrym to jest naturalnie, że zmniejszamy w ten sposób dawny nasz obszar. Skróćmy tę Polskę trochę, ale zrobimy ją jakąś całością możliwą do istnienia”.

Takie argumenty wywoływały opór polskich konserwatystów. Słusznie przewidywali oni bowiem, że stanie się na odwrót: pomniejszona Rzeczpospolita będzie państwem słabym, które nie zdoła się utrzymać między dwoma kolosami – Niemcami i Rosją. Aby przetrwać w tym sąsiedztwie, kolosem powinna być również Polska.

„Polskie ziemie etnograficzne – dowodził Stanisław Cat-Mackiewicz – dają nam Polskę zbyt słabą. Jeśli Anglia wobec



Józef Piłsudski FOT. NAC

Spór o kształt Rzeczypospolitej

inkorporacja

mocarstw kontynentalnych rządziła się zasadą two powers standard, to znaczy dążyła do posiadania floty o sile równej siłom dwóch najsilniejszych potęg kontynentalnych – zasadą polityki polskiej, położonej pomiędzy Rosją a Niemcami, musi być dążenie do stworzenia organizmu politycznego o sile równej albo Rosji, albo Niemcom. A tego etnograficzna Polska dać nam nie może”.

Istniał jeszcze jeden zasadniczy problem. Stworzenie homogenicznej etnicznie Polski dla Polaków było o tyle trudne, że na wschodzie Polacy żyli przemieszani z przedstawicielami innych narodów Rzplitej – na północy z Litwinami i Białorusinami, na południu z Ukraińcami. Modelowym przykładem był Lwów. Polskie miasto otoczone ukraińskimi wsiami.

„Nie można sobie wyobrazić kraju w Europie – przyznawał Dmowski – w którym by panowała większa kasza. Z jednej strony elementu litewskiego,

z drugiej elementu białoruskiego, z trzeciej pół antypolskiej, pół bolszewickiej anarchii żydowskiej, i wreszcie z czwartej – ludności polskiej opartej w przeważnej mierze na większej własności ziemskiej, która musi tam prędko zniknąć. Kolonizacja nasza na wschodzie nie szła żadnym planem: potworzyły się wyspy ludności polskiej daleko, a w pobliżu są obszary etnograficzne nie nasze”.

Upraszczając, na wschód od Bugu znajdowały się dwa pasy, na których Polacy dominowali lub stanowili spory odsetek mieszkańców. Jeden, północny, ciągnął się przez Grodno, Lidę, Świąciany aż do Dyneburga. Drugi, południowy, przebiegał (z przerwami) przez Galicję i Podole. Nawet Dmowski zdawał sobie sprawę z tego, że w tej sytuacji utworzenie jego wymarzonej narodowej Polski stworzyłoby terytorialnego dziwoląga. Polska wyglądałaby jak łeb ślimaka, który wyciąga czułki daleko na wschód.



Granice takie byłyby oczywiście nie do obrony. Ze strategicznego punktu widzenia byłby to absurd. „Jeżeli chcemy posiadać Wilno z jednej strony, a z drugiej wschodnią Galicję – mówił przywódca endecji – to nie możemy pozwolić, aby się nam obce terytorium werzęnęło aż po Bug”. Aby rozwiązać ten dylemat, Dmowski wpadł na pomysł, żeby terytorium położone między tymi dwoma pasami inkorporować. Czyli wcielić do Polski.

Należało to jednak – według Dmowskiego – zrobić na tyle ostrożnie, żeby w granicach państwa polskiego nie znalazło się zbyt wielu Rusinów i Białorusinów. Przedstawiciele tych narodowości należało „wziąć” tylko tyłu, aby można ich było w przeciągu kilkudziesięciu lat zasymilować i „zamienić w Polaków”. Zmusić ich do wyrzeczenia się ich własnej kultury, języka, narodowości i zamienić w Polaków. Spolonizować.

W literaturze przedmiotu często pojawia się tzw. linia Dmowskiego (patrz: mapa na s. 9), czyli przebieg wschodniej granicy Polski zaproponowany przez przywódcę endecji na konferencji pokojowej w Paryżu. Wydaje się jednak, że linia ta była blefem. Pozycją wyjściową do negocjacji i ustępstw.

Federacja

Przyjrzyjmy się teraz drugiej koncepcji urządzenia Europy Środkowo-Wschodniej, czyli idei federacyjnej Józefa Piłsudskiego. W przeciwieństwie do „pana Romana” Naczelnik Państwa nie wyrzekł się praw do całego terytorium przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Uznając – a często przeceniając – zmiany, jakie w ostatnich kilkudziesięciu latach zaszły na Litwie i Ukrainie, zamierzał pomóc tym młodym narodom zbudować własną państwowość, a następnie chciał dokleić te twory do Polski i połączyć



Polska kawaleria podczas
bitwy nad Niemnem FOT. WIKIPEDIA

■ całość więzami federacji. Gdyby udało mu się zrealizować ten plan, odtworzyłby przedrozbiorową Rzeczpospolitą. Tyle że ubraną w nowy kostium.

Najważniejszym założeniem Piłsudskiego było to, by całe terytorium przedrozbiorowej Rzeczypospolitej znalazło się pod kontrolą Warszawy. I ani jeden jego skrawek nie trafił pod but bolszewików. „Na przełomie 1919 i 1920 roku – pisał współpracownik Naczelnika Bogusław Miedziński – dojrzała w myśleniu Piłsudskiego koncepcja Rzeczypospolitej federacyjnej. Była ona nawrotem do starych tradycji jagiellońskich i do ich, niewykonanego niestety, przedłużenia, jakim była Umowa Hadziacka”.

Przeciwnicy Piłsudskiego oskarżali go o to, że kierował się sentymentem. Sentyment, jeżeli oczywiście tym słowem można określić miłość do ziemi ojczystej, bez wątplenia odgrywał tu dużą rolę. Chodziło jednak o coś znacznie ważniejszego – o geopolityczną konieczność. „Polska – mówił Naczelnik Państwa – ma stać się środkowym punktem między chaosem rosyjskim a zniechęconymi Niemcami, punktem oparcia dla tych, którzy nareszcie chcą wyjść z tej sytuacji”.

Jak konkretnie wyobrażał sobie federację Piłsudski? Podstawowym jej rdzeniem miały być: Polska, Ukraina oraz Wielkie Księstwo Litewskie. Ten ostatni kraj byłby zorganizowany podobnie jak Szwajcaria, czyli podzielony na trzy kantony. Północny dla etnicznych Litwinów (Kowno), środkowy dla Polaków (Wilno) oraz południowy dla Białorusinów (Mińsk). Myśl o powołaniu odrębnej Białorusi, wobec słabości tamtejszego żywiołu narodowego, uznawał Naczelnik Państwa za nierealną.

Według wariantu maksimum w skład federacji miały wejść Estonia i Łotwa. Wśród jej sojuszników miały się zaś znaleźć: Finlandia (na lewej flance), Rumunia (na prawej flance) oraz Azerbejdżan, Gruzja i Armenia (miękkie podbrzusze Rosji). Przywódczą rolę w związku Piłsudski przewidywał, ze względu na największy potencjał, oczywiście dla Polski.

Tak, Piłsudski planował stworzyć mocarstwo sięgające od morza do morza.

„Nasze optimum – pisał w poufnej notatce polski dyplomata Roman Knoll – to Rosja zbliżona do wielkorosyjskich granic etnograficznych, zepchnięta z mocarstwowego stanowiska, dość jednak niebezpieczna dla narodów fińskiego, estońskiego, łotewskiego, litewskiego, białoruskiego i ukraińskiego, żeby narody te szukały w Polsce oparcia i opieki”.

Trudno sobie wyobrazić polskiego patriotę, którego nie porywałaby ta wizja. Olbrzymia, rozpętana przez opozycję kampania przeciwko koncepcji federacyjnej była oparta na nieprawdzie. Narodowcy zarzucali Naczelnikowi Państwa, że przelewa polską krew, realizując romantyczną, altruistyczną koncepcję wyzwalania obcych narodów. Że próbuje zbawić świat i walczy w imię obcych interesów. W rzeczywistości celem idei federacyjnej było uczynienie Polski wielką.

„Nazywam Piłsudskiego ofensywą polityki polskiej – pisał Stanisław Cat-Mackiewicz – Dmowskiego – defensywą. Dmowski był przede wszystkim obrońcą stanu posiadania. Dlatego dbał głównie o zwartość sił narodowych, o usunięcie z terytorium narodowego elementów obcych. Piłsudski to zagon kawalerii obejmujący duże terytorium, Dmowski to forteca zabezpieczająca stan posiadania”.

Z perspektywy czasu wydaje się, że korzystniejszą formułą dla Polski była federacja niż inkorporacja. Oczywiście koncepcja Piłsudskiego miała sporo słabych punktów. Przede wszystkim rozwiązania federacyjnego nie życzyła sobie większość Polaków. Panem polskich pojęć był już bowiem wówczas Roman Dmowski. Również młodszy bracia endecków – nacjonaliści litewscy i ukraińscy – nie życzyli sobie takiego rozwiązania. W koncepcji Piłsudskiego widzieli zagrożenie polską dominacją.

Najłatwiej dogadać się można było z nastawionymi przychylnie do idei Rzeczypospolitej Białorusinami. Z olbrzymim wysiłkiem Piłsudskiemu udało

się również wypracować kompromis z reprezentowanymi przez Symona Petlurę Ukraińcami znad Dniepru. Szowiniści litewscy i Ukraińcy z Galicji dyszelili jednak tak wielką nienawiścią do Polski, że z tym towarzystwem o żadnym polubownym rozwiązaniu mowy być nie mogło. Niestety, ostatecznie Piłsudskiemu zabrakło konsekwencji i determinacji, by swoją wielką koncepcję zrealizować.

Kłeska Piłsudskiego

Jak wyglądała mocarstwowa polityka Piłsudskiego w praktyce? W kwietniu 1919 r. wojska polskie wyzwoliły Wilno, a Naczelnik Państwa wydał piękną odezwę do mieszkańców Wielkiego Księstwa Litewskiego zapowiadającą prawo do samostanowienia tego kraju. Kilka miesięcy później – w sierpniu 1919 r. – udało się zająć Mińsk.

Z kolei w kwietniu 1920 r. Piłsudski zawarł tajny układ z przywódcą Ukraińskiej Republiki Ludowej Symonem Petlurą. W efekcie w maju 1920 r. polskie i ukraińskie wojska wkroczyły do Kijowa.

Wydawało się wówczas, że realizacja idei federacyjnej znajduje się w zasięgu ręki. Pod kontrolą Polaków znajdowały się stolice Litwy, Białorusi i Ukrainy. Niestety, wkrótce bolszewicy przystąpili do wielkiej ofensywy i w sierpniu 1920 r. znaleźli się pod Warszawą. Był to dla Piłsudskiego olbrzymi szok i niezwykle poważny cios.

Na szczęście Polacy odparli czerwonego najeźdźcę. Odbili Wilno, Mińsk i w październiku 1920 r. – po słynnym zagonie kawalerskim na Korosteń – ponownie stanęli u wrót Kijowa. Stworzenie federacji znowu stało się możliwe. Szczególnie że bolszewicka armia została rozłożona na łopatki i tym razem Lenin z Trockim nie byli w stanie tego powstrzymać.

Piłsudski jednak jesienią 1920 r. zarzucił swój wielki projekt. Zrezygnował z federacyjnego marzenia. Sowiecka ofensywa zszarpała jego nerwy, był zmęczony olbrzymim oporem społecznym, z jakim spotykały się jego plany. A poza tym obawiał się, że dalsza polska ofensywa doprowadzi do upadku bolszewików i restauracji białej Rosji. Tej ostatniej Piłsudski obawiał się zaś dużo bardziej niż Rosji czerwonej.

Według legendy marsz Wojska Polskiego powstrzymali politycy sejmowi wysłani do Rygi na negocjacje pokojowe z bolszewikami. To kierowana przez narodowca Stanisława Grabskiego delegacja miała storpedować federacyjny plan Naczelnika Państwa. To tylko część prawdy. Delegaci rzeczywiście odegrali w Rydze złowrogą rolę.

Między innymi postanowili wydać na pastwę bolszewików ziemie już wyzwolone przez Wojsko Polskie! Chociaż pobici bolszewicy gotowi byli pogodzić się z utratą Mińska, to polscy dyplomaci uznali, że polskie oddziały muszą się z niego wycofać.

„Nie mogłem nie zdawać sobie sprawy – wspominał Grabski – że Polska, w której nie było co najmniej 65 procent Polaków, albo nie będzie miała polityki prawdziwie polskiej, albo też będzie musiała narzucać ją połowie swojej ludności policyjną przemocą. Ustalając wschodnią granicę naszą o kilkadziesiąt kilometrów na wschód od Mińska, utworzylibyśmy państwo z co najwyżej 60 procent polskiej ludności. Gdy argumenty te przedstawiłem innym członkom delegacji, uznali oni również, że wbrew wszelkim względom uczuciowym trzeba zrezygnować z włączenia ziemi mińskiej do Polski. I tak też zdecydowała większość naszej delegacji”.

Tak, to nie pomyłka. Polscy delegaci dobrowolnie zrezygnowali z części przedrozbiorowej Rzeczypospolitej! I wydali licznych Polaków z Mińska oraz okolic na pastwę czerwonych katów Czecha.

Piłsudski – mimo że miał takie możliwości – nie zrobił nic, by powstrzymać Grabskiego i jego kolegów. Dlaczego? Ponieważ wyprawa kijowska była ostatnią próbą realizacji koncepcji federacyjnej, czego Naczelnik Państwa od początku nie ukrywał.

„Postawiłem na kartę – mówił gen. Antoniemu Listowskiemu przed wydaniem rozkazu o marszu na Kijów – gram ostatnią stawkę, żeby coś zrobić na przyszłość dla Polski. Choć takim sposobem osłabić możliwość przyszłej potężnej Rosji. Ale w tym sęk, czy ta Ukraina powstanie, czy ma dostatecznie sił i ludzi, żeby się stworzyć i zorganizować.

Petlura tu nie odgrywa żadnej roli – jest narzędziem, nic więcej. A jeżeli nic się nie uda zrobić, pozostawimy ten chaos własnym losom. Niech się burzy, trawi i wyniszcza, osłabia, zjada... w takim

stanie nie będzie też nam groźnym przez długie lata! A dalej... przyszłość wskaże!”.

Wszystko wskazuje na to, że Naczelnik Państwa – dla którego klęska na Ukrainie była szokiem – zdecydował wówczas, iż „plan duży” spalił na panewce i należy wdrożyć „plan mały”. Tym planem małym było zaś machnięcie ręką i przystanie na koncepcję inkorporacyjną Dmowskiego.

„Po bitwie sierpniowej – pisał Stanisław Cat-Mackiewicz – armia polska odniosła szereg sukcesów, wypędzając bolszewików z obszarów wschodnich. Czy mogła iść dalej? Faktem jest, że Piłsudski czuł się zwyciężony przez opinię publiczną, że sejm był przeciwny dalszej wojnie, że opinia polska powszechnie bała się nowej wyprawy kijowskiej, że w dalszej wojnie z bolszewikami nie mógł Piłsudski liczyć nawet na poparcie lewicy, która by mu go na pewno odmówiła. Piłsudski miał teraz pozycję wobec narodu przypominającą do pewnego stopnia niektóre chwile z panowania Władysława IV. Ustąpił”.

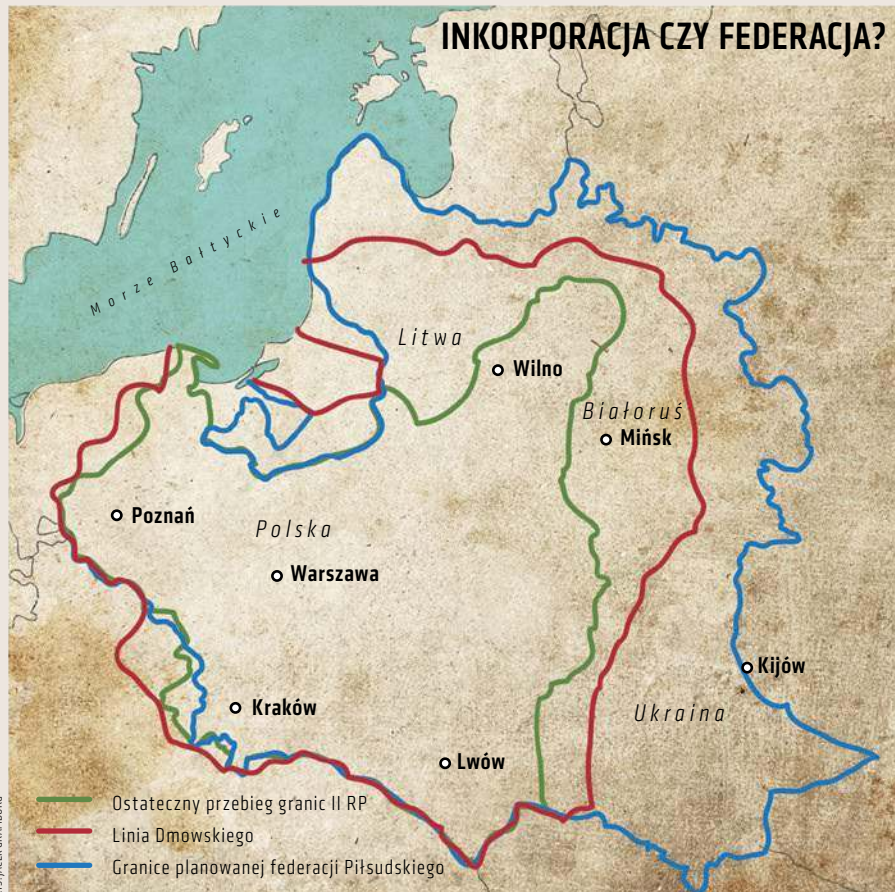
Tak, niestety Piłsudski ustąpił.

W efekcie na mocy podpisanego w 1921 r. traktatu ryskiego – formalnie kończącego wojnę z bolszewikami – powstała Polska zgodna z koncepcjami Dmowskiego. Plan federacji zarzucono, Polska odrodziła się jako państwo narodowe.

W jej granicach znalazło się jednak 1,5 mln Białorusinów oraz 4 mln Ukraińców. Endeckie marzenia o przymusowym spolonizowaniu tych ludzi były śmieszną mrzonką. Stało się odwrotnie. Rzesze Ukraińców, którzy w narodowej Polsce czuli się obywatelami drugiej kategorii, byli nastawione wrogo do państwa.

W efekcie tzw. problem mniejszości stał się najpoważniejszym problemem II RP. Jątrzącą raną, która destabilizowała państwo. Tak, przyczyn wielu katastrof, które spadły na Polskę w trakcie II wojny światowej, należy doszukiwać się w latach 1918–1921. „Ja przegrałem życie – mówił Piłsudski – nie udało mi się stworzyć federacji, z którą Europa musiałaby się liczyć”. Wraz z Piłsudskim przegrała Polska.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



RYŚ: JACEK GRAMBURG

Debata: Dmowski



prof. Maciej Giertych

Giertych: Rację miał szef endecji

PIOTR WŁOCZYK: Czy wielka federacja z Polską w roli głównej nie była wymarzoną scenariuszem dla naszego odradzającego się państwa?

PROF. MACIEJ GIERTYCH: Nie, ponieważ była to kompletnie nierealna koncepcja. W planach Piłsudskiego Polska miała się federować z Ukrainą i Wielkim Księstwem Litewskim (WKL). To ostatnie miało się składać z trzech kantonów: Litwy etnicznej, Białorusi i Wileńszczyzny. Już po Bitwie Warszawskiej Piłsudski zaaranżował powstanie Litwy Środkowej w wyniku tzw. buntu Żeligowskiego. To miał być polski kanton, który miał się stać załącznikiem odbudowy WKL.

Litwini, oczywiście, dążyli do stworzenia państwa, ale miało to być państwo tylko litewskie. W 1922 r. Wileńszczyzna przyłączyła się do Polski, bo Litwy Środkowej nikt tam nie chciał. Litwini zamierzali budować państwo etniczne, a Białorusini nie mieli świadomości narodowej.

To samo widać było na Ukrainie. Żadne poważne siły nie chciały tworzyć państwa ukraińskiego ani łączyć się z Polską. Myśli o federacji były w takiej rzeczywistości po prostu mrzonkami.

Czy można jednak winić Piłsudskiego, że przynajmniej podjął próbę stworzenia czegoś większego? Przecież gdy okazało się, że jest to niemożliwe, nie realizował tego pomysłu na siłę.

Można go za to winić, ponieważ już wówczas, u progu odzyskania przez Polskę niepodległości, było oczywiste, że wdrażanie tej koncepcji jest oderwane od rzeczywistości. Skoro od samego początku nikt dookoła nie wyrażał chęci

zbudowania takiego większego organizmu, to trzeba się było z tym pogodzić i od razu postawić na właściwy kierunek – inkorporację.

Polska Dmowskiego sięgała dużo dalej na wschód niż Polska z wyobrażeń Piłsudskiego. Inna rzecz, że rezultaty tej jagiellońskiej polityki Piłsudskiego były opłakane.

Dlaczego? Przecież udało się stworzyć duże państwo.

Wcześniej jednak, w 1920 r., groziła nam zagłada. Piłsudski w maju 1920 r. zajął Kijów i oddał władzę Petlurze. Ten jednak nie miał możliwości utworzenia państwa ukraińskiego, bo nikt go nie popierał na Ukrainie. W rezultacie ofensywy na Kijów bolszewicka Rosja poszła z nami na wojnę.

Już wówczas oczywiste było, że wdrażanie tej koncepcji jest oderwane od rzeczywistości

Tylko że wcześniej czy później musiało dojść do wojny z Polską. Przecież bolszewicy chcieli przenieść na bagnietach rewolucję na zachód kontynentu. Piłsudski po prostu ubiegł Lenina.

Nieprawda, wojna polsko-rosyjska wcale nie była nieunikniona. W 1919 r. polskie wojska obsadziły granicę mniej więcej na linii Dmowskiego. Bolszewicka Rosja proponowała nam pokój na podstawie tej właśnie linii. Granica wytyczona na jej podstawie miała wszelkie widoki na to, by się utrzymać. Mrzonki Piłsudskiego sprawiły, że doszło do wojny, a potem do pokoju w Rydze, który dał nam mniej niż linia Dmowskiego.



Pamiętajmy jednak, że bolszewicy mieli w 1919 r. olbrzymie problemy na frontach wojny domowej i taka chwila oddechu na zachodzie była wtedy Leninowi bardzo potrzebna. Wróćmy jednak do koncepcji Piłsudskiego. Czy nie warto w polityce mierzyć wysoko?

Odpowiem pytaniem: Czy „mierzeniem wysoko” nie jest raczej realna ocena otoczenia międzynarodowego, którą prezentował Roman Dmowski? Jego polityka wpisywała się w panujące w Europie hasło o samostanowieniu narodów, o likwidacji imperiów. Takie pojęcia jak „car”, „kajzer”, „cesarz” i „sultan” przeszły do historii. Na Międzymorzu powstawały państwa narodowe. ©

Profesor Maciej Giertych jest działaczem narodowym, autorem książki „Mit Piłsudskiego”.

rys. KRZYSZTOF WARCZYŃSKI

czy Piłsudski



Zbigniew Gluza

Gluza: Rację miał Naczelnik

sfederować się z Polską, nie wchodząc w jej skład. Wierzę, że Piłsudski pisał tę odezwę w przekonaniu, iż tak się właśnie stanie. Szkoda, że nie było na to szans.

Czy nie brakowało mu jednak w tym wszystkim konsekwencji?

Z pewnością Piłsudski nie docenił podstawowej sprzeczności. Poprzez Michała Römera wysłał do Kowna sygnał: „Jesteśmy gotowi tworzyć wspólne państwo”, a w tym samym czasie wszedł do Wilna z polskim wojskiem, symbolicznie odbierając Litwinom ich historyczną stolicę. Polacy wypędzili wprawdzie stamtąd bolszewików, ale Litwini musieli to uznać za akt polityki siły. Sam Römer rozumiał dwuznaczność własnej misji, więc nie był zdziwiony, że w Kownie nie zgodzono się na budowę większego organizmu. Litwini chcieli już tworzyć własne państwo narodowe, bez polskiego dyktatu. Ich odmowa w istocie przekreślała całą koncepcję federacyjną.

Piłsudski przecenił w tej sprawie swoją siłę sprawczą?

Wierzył, że niesie go nimb odnowiciela państwa i w związku z tym – jak uważał – miał prawo prowadzić je w wytyczonym przez siebie kierunku. Myślę, że było w tym sporo zadufania. Okazywało się bowiem, że jego wola nie była rozstrzygająca. Przy braku mocniejszego zaplecza politycznego i opornym w tych kwestiach Sejmie Ustawodawczym Naczelnik nie był w stanie skutecznie wprowadzać swych koncepcji. Brakowało dla takiej polityki szerszego poparcia społecznego, a także gotowości potencjalnych wschodnich partnerów.

Tylko czy mogło być inaczej? Przeciwnicy Piłsudskiego twierdzą, że ten projekt z góry skazany był na niepowodzenie, więc szkoda było marnować siły na taką iluzję.

Szanse na to były śladowe. W tym sensie można mówić o iluzji, ale – pięknej iluzji. Warto było próbować i wielka szkoda, że tak fundamentalne racje nie były rozumiane w Sejmie Ustawodawczym. Dominująca w parlamencie prawica trwała w przekonaniu, że nie warto negocjować z żadnym narodem na Wschodzie. Powołując się na prawa Polski do ziem w granicach z 1772 r., zdecydowano więc włączyć w jej granice narody siłą. Wygrała koncepcja imperialna, bo zakładano, że przecież mamy być mocarstwem.

Ogół Polaków był jednak z takiego kształtu granic dumny.

Wszystko to jednak – po kolejnych dwóch dekadach – skończyło się tragicznie. Rzeczpospolita, pozbawiona życzliwych wokół państw sąsiedzkich,

Warto było próbować i wielka szkoda, że tak fundamentalne racje nie były rozumiane w Sejmie Ustawodawczym

a w swoich granicach mająca wrogie sobie mniejszości narodowe, rozpadła się we wrześniu 1939 r. porażająco szybko. Gdyby wdrożona została w 1919 r. koncepcja Piłsudskiego i Römera, napięcia na płaszczyźnie narodowościowej byłyby na pewno mniejsze. Piłsudski musiał zarzucić realizację tej idei, skoro konfliktowała go ona z dużą częścią polskiej sceny politycznej. Nacjonalizm wygrywał wtedy w całym regionie, także w Polsce. Jednak można było już po paru latach dostrzec, że to prowadzi kraj do katastrofy. ©©

Zbigniew Gluza jest publicystą historycznym, twórcą Ośrodka Karta.



PIOTR WŁOCZYK:
Co nam mówi o Piłsudskim próba stworzenia federacji?

ZBIGNIEW GLUZA:

Piłsudski na pewno wierzył w sens budowy szerokiego organizmu federacyjnego. Myślę, że jego odezwa do mieszkańców dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego z 22 kwietnia 1919 r. była rzetelną, szczerą ofertą. Pobrzmiwał w niej czysty ton idealisty. Piłsudski przekonywał, że przyszłość jest wspólna, a Polska nie zdominuje kraju, który ma swój odrębny wewnętrzny ład. Mieszkańcy tej ziemi mieli sami stworzyć państwo – Litwę, która potem mogłaby



Tomasz Stańczyk

/ Polska ofensywa na Kijów miała na celu stworzenie niepodległej Ukrainy, sojusznika przeciw bolszewickiej Rosji

Gdy w listopadzie 1918 r. Józef Piłsudski obejmował władzę w Polsce, była ona państwem bez ustalonych granic. Trzeba było je wywalczyć. Z wielkim realizmem Piłsudski stwierdzał, że jeśli chodzi o granice zachodnie, to wszystko zależy od decyzji ententy. Natomiast na wschodzie Polska musiała zdobyć się sama na wysiłek, by ukształtować swoją granicę. I to wbrew Zachodowi, który bardzo liczył, że odrodzi się biała Rosja, więc Polska może na wschodzie mieć jedynie granice dawnego Królestwa Kongresowego.

Gdy odradzała się Rzeczpospolita, w Rosji trwała wojna domowa i nie wiadomo było, kto będzie zwycięzcą. Dla Józefa Piłsudskiego, Naczelnika Państwa i Wodza Naczelnego, było to obojętne. Czerwona Rosja bowiem, choć deklarowała, że narody mają prawo do samostanowienia, w praktyce uważała, że o tym samostanowieniu będą decydować robotnicy i chłopi. A to z punktu widzenia i zgodnie z nadzieją bolszewików oznaczało, że Polska powinna być komunistyczna. Z kolei biała Rosja godziła się na niepodległość Polski, ale sięgającą jednakże tylko do Bugu. Polskie aspiracje były zaś większe. I nie chodziło wcale o przywrócenie granicy przedrozbiorowej, z 1772 r. Ani Józef Piłsudski, ani Roman Dmowski nie wysuwali takiego postulatu. Obaj chcieli Polski z obszernymi Kresami Wschodnimi, z centrami polskiej kultury, jakimi były Lwów, Wilno i Krzemieniec, oraz milionami Polaków tam mieszkających. Polska Romana Dmowskiego miała graniczyć z Rosją. Natomiast Józef Piłsudski, zdając sobie sprawę z różnicy potencjałów między Polską a każdą Rosją, czerwoną i białą, szukał sojuszników przeciw niej w narodach sąsiednich: Litwinach, Białorusinach i Ukraińcach.



Walka o

Z Litwinami nie było rozmowy. Wbili sobie do głowy, że ich stolicą ma być Wilno, w którym stanowili parę procent mieszkańców. Rzecz jasna aspirowali także do Wileńszczyzny, gdzie wśród ludności zdecydowanie dominowali Polacy. Białorusini próbowali stworzyć własne państwo, lecz rezultaty były mizerne.

Szansa Ukraińców

Największym sojusznikiem Rzeczypospolitej byłoby państwo ukraińskie ze względu na jego potencjał ludnościowy i ekonomiczny. Ogromnym problemem była jednak kwestia granicy między Polską a Ukrainą. Nie dało się jej wynegocjować w drodze dyplomatycznej. Wojna była więc nieuchronna. Polskie aspiracje sięgały co najmniej do Zbrucza, ukraińskie – za Bug i San. Pierwszą wojnę odradzająca się Rzeczpospolita stoczyła od listopada 1918 r. – poczynając od walki o Lwów – o Galicję Wschodnią, wypierając latem 1919 r. wojska Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej za Zbrucz. Tym samym to rodzące się państwo ukraińskie przestało istnieć.

A przecież tak nie musiało być! Józef Piłsudski nie był ani imperialistą, ani maksymalistą. Godził się na oddanie Ukraińcom znacznej części Galicji Wschodniej, pozostawiając wszakże przy Polsce Lwów i zagłębie naftowe. Taka też była propozycja francuskiego gen. Josepha Barthélemy'ego, reprezentanta ententy. Perswadował galicyjskim Ukraińcom:

„Jeśli nie przyjmiecie naszych propozycji, będziecie odpowiedzialni wobec całej ententy. Będziecie mieli wojnę z Polakami, którzy otrzymają pomoc całej świetnie zorganizowanej armii Hallera w sile sześciu dywizji. Z drugiej strony [od wschodu] posuwają się bolszewicy, którzy już zajęli Kijów i większą część waszego terytorium i znajdują się u waszych bram. Jeżeli nasze propozycje przyjmiecie, dołożymy starań, aby uznana została wasza suwerenność. Sam fakt, że z wami prowadzimy rokowania i zwracamy się do was z tym projektem, jest do pewnego stopnia uznaniem waszego państwa, bo nie prowadzi się rozmów z kimś, kto nie istnieje. Następnie z naszą pomocą wybijecie bolszewików, odzyskacie utracone terytorium i nie pojawicie się przed konferencją pokojową z pustymi rękami”.



Generał Iwan Omelianowicz-Pawlenko i ukraińscy żołnierze, 1920 r. FOT. WIKIPEDIA

Razem przeciwko Armii Czerwonej wolną Ukrainę

Galicijscy Ukraińcy, głoszący hasło „Lachy za San!”, zignorowali jednak rady Francuza, dufni, że pokonają Polaków. Stwierdzili, że konflikt z nimi rozstrzygnie „krew i żelazo”. Stracili szansę na budowę swojego państwa w Galicji Wschodniej, które mogłoby się połączyć z naddnieprzańską Ukraińską Republiką Ludową. Wprawdzie taki akt zjednoczenia powstał, lecz pozostał na papierze, na którym go spisano.

Z galicyjskimi Ukraińcami nie było więc szans na porozumienie. Co innego z tymi z Kijowa, z Ukrainy Naddnieprzańskiej, gdzie powstała Ukraińska Republika Ludowa, odrywając ziemie ukraińskie od Rosji. Odradzająca się Polska także z tą Ukrainą toczyła walki, na Wołyniu, podczas których zginął w 1919 r. niedawny legionista, płk Leopold Lis-Kula, bohater czczony w II Rzeczypospolitej. Jednak przywódca państwa ukraińskiego, ataman Symon Petlura, realistycznie zauważał, że państwo ukraińskie nie może walczyć jednocześnie z bolszewicką Rosją, białą Rosją – armią gen. Denikina i z Polską. Walka na trzech frontach mogłaby się skończyć tylko klęską. Pod koniec 1919 r. Petlura był przywódcą

Symon Petlura i Józef Piłsudski w Winnicy, 1920 r. FOT. WIKIPEDIA



państwa, które pod ciosami armii Denikina i przede wszystkim Armii Czerwonej przestało istnieć. Pozostał mu jednak nie najmniejszy atut: armia.

Rosja, niezależnie od koloru, czy to czerwona, czy biała, nie godziła się na niepodległość Ukrainy. A Polska Piłsudskiego szukała w Ukraińcach znad Dniepru sprzymierzeńca przeciw Rosji. Tego samego sojuszu pragnęła Ukraina Petlury. Rozmowy między delegatami Rzeczypospolitej Polskiej i Ukraińskiej Republiki Ludowej rozpoczęły się w 1919 r., przy-

nosły rozejm i zaowocowały w kwietniu 1920 r. podpisaniem układu, w którym Polska – jako jedyny kraj w Europie – uznała niepodległość Ukrainy. Zawarła także konwencję wojskową, której treścią była wspólna walka przeciw bolszewickiej Rosji.

Wspólny interes

Generał Tadeusz Kutrzeba pisał w książce „Wyprawa kijowska

■ w 1920 r.: „Powstanie państwa ukraińskiego jako narodowo samodzielnego organizmu państwowego leżało w strategicznym interesie Polski zagrożonej w swym istnieniu przez zaborczość Rosji. I odwrotnie, samodzielna Ukraina zagrożona w swym istnieniu przez Rosję, zmierzającą do wcielenia Ukrainy, w formie prowincji, w skład wielkiej – obojętnie czy carskiej, czy czerwonej – Rosji, miała tendencję do oparcia się o armię polską. Chociażby dlatego, że innego realnego oparcia mieć nie mogła, a wojując i z Rosją, i z Polską, ryzykowała nie tylko utratę pożądanego przez siebie ustroju państwowego, ale po prostu swoje istnienie. [...] Wydaje mi się, że zamiar marszałka Piłsudskiego dopomożenia Petlurze do zorganizowania Ludowej Republiki Ukraińskiej wynikał zarówno z doraźnych wojennych postulatów w czasie wojny polsko-rosyjskiej w 1920 r., jak i z trwałych postulatów politycznych jako początek gigantycznej idei Marszałka, zmierzającego do ustalenia nowego układu polityczno-strategicznego Europy Wschodniej”.

Dla ukraińskiego przywódcy Symona Petlury cena sojuszu z Polską była ogromnie wysoka. Musiał zrzec się na jej korzyść ziem od Sanu do Zbrucza, na których większość ludności stanowili Ukraińcy, choć w miastach, w tym we Lwowie, dominowali Polacy. Cena wysoka, ściągająca na Petlurę ze strony galicyjskich Ukraińców miano zdrajcy narodu, lecz pozwalała mieć nadzieję, że przy polskiej pomocy powstanie państwo ukraińskie ze stolicą w Kijowie. Petlura zresztą tak naprawdę nie porzucił myśli o włączeniu do Ukrainy ziem po San. Jednak pierwszym celem była odbudowa naddnieprzańskiej Ukraińskiej Republiki Ludowej.

Rozpoczęta w kwietniu 1920 r. polska ofensywa na Kijów, z udziałem formowanych w Polsce dwóch dywizji ukraińskich, miała na celu wyparcie Armii Czerwonej z Ukrainy Naddnieprzańskiej i tym samym stworzenie warunków do powstania niepodległego państwa ukraińskiego.



Polskie oddziały w Kijowie. FOT. WIKIPEDIA

Jasno to zaznaczono w odezwie Józefa Piłsudskiego do Ukraińców: „Wojska polskie pozostaną na Ukrainie przez czas potrzebny po to, aby władze na tych ziemiach mógł objąć prawy rząd ukraiński. Z chwilą, gdy rząd narodowy Rzeczypospolitej Ukraińskiej powoła do życia władze państwowe, gdy na rubieży staną zastępy zbrojne ludu ukraińskiego, zdolne uchronić kraj ten przed nowym najazdem, a wolny naród sam o losach swoich stanowić będzie mocen – żołnierz polski powróci w granice Rzeczypospolitej, spełniwszy szczytne zadanie walki o wolność ludów”.

Niestety, wizja zarysowana w odezwie Józefa Piłsudskiego nie stała się rzeczywistością. Zabrakło czasu. Może trzeba było pół roku, może roku, a nawet więcej, by Symon Petlura odtworzył ukraińskie państwo i zorganizował silną armię. Tymczasem polskie wojsko opuściło Kijów i Ukrainę Naddnieprzańską zaledwie po miesiącu, ustępując pod ciosami ofensywy Armii Czerwonej, zatrzymanej zwycięsko dopiero w sierpniu 1920 r. na przedpolach Warszawy.

Ja was, panowie, przepraszam!

Warunki pokoju ryskiego zawartego w 1921 r. między Rzeczpospolitą Polską a bolszewicką Rosją – i, co gorsza, z uznaną przez Polskę marionetkową bolszewicką Ukrainą – były klęską idei federacyjnej. Polska porzuciła swego ukraińskiego sprzymierzeńca i musiała się wyrzec marzenia o sojuszniczej niepodległej Ukrainie. Musiała przekreślić sojusz z Petlurą i zaprzestać wspierania wolnościowych aspiracji Ukraińców, internować ukraińskich towarzyszy broni oraz wydaląc ukraińskich polityków i wyższych wojskowych. Na bolszewickiej liście był oczywiście Symon Petlura. Przez dwa lata ukrywał go

piłsudczyk Henryk Józewski, po czym Petlura wyjechał do Paryża. Tam został zamordowany w 1926 r. przez Żyda, najpewniej agenta sowieckich służb. Tłumaczył on przed sądem, że była to zemsta za pogromy Żydów dokonywane przez wojska ukraińskie, choć sam Petlura nie tylko nie był za nie odpowiedzialny, lecz wręcz zabraniał wszelkich aktów agresji wobec ludności żydowskiej.

Po zawarciu traktatu ryskiego, podczas spotkania z internowanymi w obozie w Kaliszu oficerami i żołnierzami ukraińskimi, marszałek Józef Piłsudski w emocjonalnym przemówieniu powiedział: „Ja was, panowie, przepraszam, bardzo przepraszam. To nie tak miało być”. Porzucenie ukraińskiego sojusznika przez Rzeczpospolitą była jego osobistą tragedią, ale, co ważniejsze, tragedią Polski, postawionej twarzą w twarz z komunistyczną Rosją. Wojna z nią w latach 1919–1920 była wprawdzie militarnym zwycięstwem, wślawionym Bitwą Warszawską, lecz, niestety, polityczną klęską. Nie udało się doprowadzić do powstania niepodległej Ukrainy, związanej sojuszem przeciw Związkowi Sowieckiemu.

Historyk Jan Jacek Bruski oceniał:

„Sojusz z Polską nie przyniósł URL spodziewanych korzyści. Nie udało się stworzyć naprawdę silnej armii, sytuacja niepodległej Ukrainy na forum międzynarodowym nie poprawiła się znacząco, a polski sprzymierzeniec porzucił ostatecznie partnera, by wejść w układ z jego nieubłagany wrogiem. Nie znaczy to jednak, iż sojusz z Rzeczpospolitą od początku skazany był na porażkę. Niewątpliwie u progu 1920 r. to właśnie orientacja na Warszawę dawała URL największą szansę realizacji niepodległościowego ideału (choć oczywiście kosztem terytorialnych i politycznych koncesji), była to w istocie szansa jedyna. Obaj partnerzy – nierównego i gorzkiego niekiedy – aliansu zdawali sobie sprawę, że nie tylko dla Ukrainy, ale również dla Polski stanowi on wymierną wartość. Niezależnie od wszystkich meandrów polityki Warszawy i popełnionej w Rydze «zdrady» istnienie niepodległego państwa ukraińskiego, stanowiącego bufor ochronny przed Rosją, leżało nadal w najlepiej pojętym interesie Rzeczypospolitej”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

NIEPODLEGŁOŚĆ

Wokół myśli
historycznej
Józefa
Piłsudskiego

31/10/2018 — 27/01/2019



INDEPENDENCE

Around the Historical Thought
of Józef Piłsudski



Wystawa pod Patronatem Honorowym
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy w roku 100-lecia
Odzyskania Niepodległości 1918-2018

Honorary Patronage of the President of
the Republic of Poland Andrzej Duda in
the year of the Centenary of Regaining
Independence 1918-2018

Mecenas Wystawy
Patron of the Exhibition

Mecenas Muzeum Narodowego
w Krakowie i Sponsor Wystawy
Patron of the National Museum in
Krakow & Sponsor of the Exhibition

Partner Strategiczny Muzeum
Narodowego w Krakowie
Strategic Partner of the National
Museum in Krakow

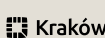


niepodległa | POLSKA
STULECIE ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Wystawa dofinansowana ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
w ramach Programu Wieloletniego NIEPODLEGŁA na lata 2017-2022
Made possible by funding from the Minister of Culture and National Heritage
as part of the Multi-annual NIEPODLEGŁA Program 2017-2022

Patroni medialni / Media Partners



Ilustracja / Illustration: Piotr Stachewicz, Wystawa jubileuszowa Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie, 1904 (fragment) / The Jubilee Exhibition of the Friends of Fine Arts Society, 1904 (fragment), Akademia Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie - Biblioteka Główna / Jan Matejko Academy of Fine Arts in Krakow - The Main Library, fot. / photo by Jakub Płoszaj, Pracownia Fotograficzna MNK / NIMK Photographic Studio; proj. graf. / graphic design by Teren Prywatny

Wywiad /

Z dr. Rimantasem Miknysem, dyrektorem Instytutu Historii Litwy



rozmawia Piotr Włoczyk

Rozwód Jagiell i Jadwigi

Michał Römer (pierwszy z lewej) podczas służby w Legionach Polskich FOT. ARCHIWUM

PIOTR WŁOCZYK: Przy okazji 100. rocznicy odzyskania niepodległości przez Polskę i Litwę nie da się nie wspomnieć o Michale Römerze, którego kolejne tomy monumentalnych „Dzienników” ukazały się właśnie z pańską pomocą. Dlaczego o tym litewskim Polaku, który ostatecznie wybrał Republikę Litewską i odegrał w jej życiu znaczącą rolę, tak często mówi się, że reprezentował ginący gatunek?

DR RIMANTAS MIKNYS: Trzeba zacząć od wyjaśnienia, za kogo Römer się uważał, ponieważ zupełnie nie mieści się on w naszych dzisiejszych kategoriach narodowych. W marcu 1921 r. napisał do bliskiego znajomego, litewskiego dyplomaty Jurgisa Šaulysa, następujące słowa na temat idei krajowej: „Ja nie jestem ani wyłącznie Polakiem, ani wyłącznie Litwinem, ale jestem jednocześnie i Litwinem, i Polakiem. Kim był Adam Mickiewicz? Tego nie wiedzą ani Polacy, ani Litwini, ale ja to wiem, bo sam jestem taki. Bo sam czuję w sobie to, co czuł on. Bo należę do tejże co on rasy psychicznej. Jest to rasa, która wymiera, a to, co wymiera, jest bezpłodne”.

„Rasa psychiczna”... Trudno dziś pojąć taki koncept.

To prawda, ale ten cytat jest bardzo ważny – teraz już wiemy, za kogo Römer się uważał. U progu odzyskania niepodległości przez Polskę i Litwę takich ludzi jak on było bardzo niewiele. Żyli ideą wskrzeszenia państwa wzorowanego na Wielkim Księstwie Litewskim, w którym znaleźliby swoje miejsce zarówno Litwini, jak i Polacy, a także Białorusini.

Römer robił zapiski codziennie, nawet gdy źle się czuł po suto zakrapianej imprezie. Każdego dnia robił analizę najważniejszych wydarzeń. Zderzał koncepcje Piłsudskiego z punktem widzenia litewskich narodowców. Konfrontował ze sobą te idee na gorąco. Spotykał się zarówno ze Smetoną, jak i z Piłsudskim. Niejeden raz prowadził w swoich dziennikach dialog z Piłsudskim. Dlatego te zapiski są tak ważnym źródłem.

Warto powiedzieć o tych ludziach kilka słów więcej. Jaką ideą żyli tzw. krajowcy?

Chcieli, aby przedstawiciele świata polskiego, litewskiego i białoruskiego poculi, że etniczność jest czynnikiem ważnym, ale nie najistotniejszym. Krajowcy wysuwali na pierwszy plan pojęcie obywatelskości. Przekonywali, że nie można uciekać od wspólnoty różnych kultur i narodów zamieszkujących tereny Wielkiego Księstwa Litewskiego, lecz trzeba nauczyć się czerpać z niej siłę. Podstawą kultury jest zawsze prawo. A jakie prawo istniało na omawianych przez nas terenach aż do 1840 r.? Statut Wielkiego Księstwa Litewskiego! Nawet rosyjski zaborca nie zniósł go od razu. Römer przypomina, że jeszcze jego prapradziadek Michał Józef Römer żył pod rządami tego statutu, tak samo zresztą jak Mickiewicz. Pół wieku po upadku Rzeczypospolitej Obojga Narodów tak ważne kulturowo narzędzie jak prawo było litewskie!

W sensie kulturowym Römer był takim samym Litwinem jak Mickiewicz. Mówił nawet o sobie: „Jestem Polakiem litewskim”. Przekonywał, że jeżeli zwią-

zek dawnej, historycznej Litwy i dawnej Polski zostanie utracony, to nie będzie miejsca dla Polaków litewskich takich jak on sam. Walczył po prostu o przetrwanie.

Kiedy zrozumiał, że ta koncepcja jest nierealna?

Z dzienników Römera wiemy, że jeszcze przed I wojną światową zdawał sobie sprawę z tego, iż siła krajowców jest bardzo ograniczona, a ich idea – w przeciwieństwie do kształtujących się nowoczesnych nacjonalizmów – nie ma zbyt wielkiego oddźwięku w ogóle społeczeństwa. I dlatego Römer zaciągnął się do Legionów Polskich.

Dla niektórych może to być paradoks: człowiek, który tak bardzo zasłużył się sprawie budowy niepodległego państwa litewskiego, poszedł walczyć pod rozkazami Piłsudskiego.

Po prostu poszedł się bić o swoją ojczyznę. Chciał, żeby poprzez czyn zbrojny sprawa litewska była widoczna w świecie. Kiedy spotkał się z Piłsudskiego, ten zapytał go: „Gdzie pan chce służyć?”. Römer bez wahania odpowiedział: „W piechocie!”. Piłsudski nie mógł wyjść ze zdziwienia. Namawiał go, żeby poszedł do sztabu, zajął się publicystyką, bo Römer był przecież wybitnym intelektualistą. On się jednak uparł i poszedł do piechoty. Piłsudski był nim zachwycony, miał go za „prawdziwego Litwiną”. Rzadko się bowiem zdarzało, żeby arystokrata służył w piechocie razem z chłopami.

Pisanie wychodziło Römerowi świetnie. A jak szło mu wojowanie?

Miał okulary grube jak denka od butelek. Mówił, że nie wiedział, ilu ludzi położył trupem, bo strzelał na oślep. Nie wytrzymał do końca wojny, bo okopy nie były na jego zdrowie – miał problemy z nogą i trafił do szpitala. W każdym razie wierzył, że Piłsudski pomoże podnieść sprawę litewską na skalę między-narodową. Wierzył w to aż do „buntu” Żeligowskiego, czyli do października 1920 r. Potem odrzucił propozycję objęcia funkcji premiera Litwy Środkowej. Po przejęciu Wilna przez Polaków gorzko skonstataował, że endecja pokonała Piłsudskiego.

W 1922 r. – po wyborach do sejm Litwy Środkowej – gdy jasne było, że Wileńszczyzna zostanie inkorporowana do Polski, powiedział, że ginie tym samym

tak Polska, jak Litwa. To był krach federalnej idei Piłsudskiego. Polska i Litwa wchodziły na drogę narodową. A Römer przestrzegał, że oznacza to panowanie Rosji i Niemiec w tej części Europy. Wskazywał, że te państwa są potężne, a podążające osobno Polskę i Litwę nazywał brutalnie „błotem”. Nie mógł przeżyć tego, że polski i litewski nacjonalizm wygrywa z ideą wspólnotową.

Brzydził się nacjonalizmem?

Nie, ponieważ twierdził, że budowanie świadomości narodowej wśród ludu, głównie wśród chłopów, jest bardzo ważne dla uzyskania przez nich w końcu tożsamości. Nie zgadzał się jednak na odgradzanie się nacjonalizmami od innych. Chciał stworzyć organizm służący wszystkim mieszkańcom tamtych ziem. W wielokulturowości widział siłę, a nie zagrożenie.

Przejdźmy do kości niezgody – Wilna. Jak budowniczości Litwy wyobrażali sobie włączenie tego miasta do swojego państwa? W Wilnie dominowała przecież ludność polska. Nie widzieli sprzeczności w budowaniu etnicznej Litwy i domaganiu się dużego miasta, w którym Litwini stanowili mniej niż 2 proc. mieszkańców?

Litewscy narodowcy przewidywali oczywiście autonomię dla ziemi wileńskiej. Nikt nie planował wyrzucania stamtąd Polaków. Narodowcy wiedzieli, że trzeba będzie pogodzić się z polskością tego terenu i usankcjonować stan faktyczny w rozwiązaniach prawnych. Litwini mieli już zresztą w tym doświadczenie, ponieważ wcześniej przyznali szeroką swobodę życia kulturalnego litewskim Żydom.

Nie przewidywali wielkich problemów z tak dużą liczbą Polaków żyjących w granicach ich państwa?

Takie problemy mogłyby się pojawić, gdyby Polska wtrącała się w sprawy Polaków zamieszkujących litewską Wileńszczyznę. Takie akcje „pomocowe” ze strony Warszawy byłyby zresztą bardzo

prawdopodobne, gdyby Wilno przypadło Litwie.

Polacy chyba do dziś nie do końca rozumieją głęboką traumę, jaką opanowanie Wilna przez gen. Żeligowskiego wywołało u Litwinów.

Podczas kształtowania się litewskiej tożsamości narodowej, tak jak w przypadku tworzenia się innych nowoczesnych narodów, ważne było, kto jest „swój”, a kto „obcy”. Początkowo podział przebiegał głównie między polskojęzycznym dworem i litewskojęzyczną wsią. Utrata Wilna utwierdziła Litwinów w tym, kto jest tym „obcym”. Nie Żydzi, nawet nie Rosjanie, tylko właśnie Polacy. Wszyscy Polacy. „Ci, którzy odebrali nam centrum naszej historii i swojskości” – tak to widziała litewska elita. To była wielka trauma, która utwierdziła Litwinów w przekonaniu, że Polak to zaborca.

Jednak utrata Wilna pomogła w pewnym sensie Litwinom. To był główny problem, przy którym inne spory polityczne schodziły na drugi plan. Römer pisał, że odebranie Wilna przyspieszyło utworzenie nowoczesnej narodowości litewskiej.

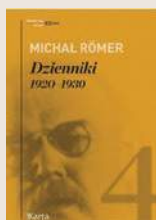
Najstarsze pokolenie Litwinów ma tę wileńską traumę zakodowaną w głowach. Nawet w moim pokoleniu to myślenie jest widoczne gdzieś w tle, ale teraz już wygląda to inaczej. Dzisiaj Litwini mają wobec Polski inne uczucia, przede wszystkim wdzięczność za pomoc, którą Polska okazała nam w 1991 r., podczas wyswobodzenia się ze Związku Sowieckiego. „Polacy są jednak inni” – pamiętam, że tak właśnie dziwili się wówczas Litwini. Flagi biało-czerwone zaczęły być kojarzone z pomocą, a nie z przemocą. Tamta wielka trauma to już dziś historia, a teraz nawet jesteśmy razem w swojej federacji – Römer i Piłsudski mogliby z tego powodu odczuwać satysfakcję.

Ten bolesny rozwój Jagiełły z Jadwigą z początku XX w. był nieunikniony?

Myślę, że była pewna szansa – choć bardzo mała – by do niego nie doszło. Nie wszystko jednak zależało tylko od „Jagiełły” i „Jadwigi”. Ogromną rolę odgrywała przecież geopolityka – tamten świat nie był przyjazny dla takich wspólnot.

Doktor Rimantas Miknys, dyrektor Instytutu Historii Litwy, specjalizuje się w dziejach relacji polsko-litewskich. Jest konsultantem naukowym „Dzienników” Michała Römera, które wydawane są nakładem Ośrodka Karta.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



MICHAŁ RÖMER
„DZIENNIKI 1920-1930”

KARTA

Klęska państw centralnych w I wojnie światowej otworzyła bramy więzienne także twierdzy w Magdeburgu. 10 listopada 1918 r. o godz. 7 Józef Piłsudski, wraz z uwolnionym z nim stamtąd Kazimierzem Sosnkowskim, przybył pociągiem z Berlina do Warszawy, nadal okupowanej przez Niemców. Na Dworcu Wiedeńskim powitali ich książę Zdzisław Lubomirski, członek Rady Regencyjnej, kilku dawnych legionistów, a także stary przyjaciel „Żiuksa” – Aleksander Prystor. Następnego dnia, 11 listopada 1918 r., Rada Regencyjna powierzyła Piłsudskiemu dowództwo nad Polską Siłą Zbrojną. Rozpoczęła się odbudowa Niepodległej.

Na wzór Kościuszki

Piłsudski natychmiast rozpoczął formowanie wojska polskiego, 12 listopada 1918 r. wydając swój pierwszy rozkaz. Warszawa była już wolna dzięki umowie, którą zawarł z przedstawicielami garnizonu niemieckiego. Wojska niemieckie opuściły Królestwo Polskie, pozostawiając znaczną część broni oraz innego sprzętu wojskowego. Umowa będąca osobistym sukcesem Piłsudskiego obowiązywała również siły niemieckie znajdujące się na północno-wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej. Piłsudski negocjował, że ewakuują się one do Niemiec przez Prusy Wschodnie, omijając ziemię polskie.

Objęcie przez Piłsudskiego komendy nad powstającym wojskiem 11 listopada 1918 r. i oswobodzenie Warszawy z rąk Niemców słusznie uznano za dzień odzyskania niepodległości Polski. Zbiegł się on z zawieszeniem broni na froncie zachodnim i zakończeniem I wojny światowej. Niektórzy chętnie dostrzegają w tym wydarzeniu główną przyczynę przywrócenia niepodległego bytu, negując przy tej okazji znaczenie czynu zbrojnego Legionów Polskich i Polskiej Organizacji Wojskowej.

Argumentując, podają przykład Czechosłowacji, która uzyskała niepodległość bez zbrojnego wystąpienia, jedynie wskutek rozpadu Austro-Węgier i sprawnej akcji dyplomatycznej polityków czeskich na Zachodzie. Pomijają jednak to, że w odróżnieniu od Czechosłowacji



Marek Gałęzowski

100 lat temu ziściły się marzenia Polaków. Polska odzyskała niepodległość. Jaką rolę odegrał w tym Naczelnik Państwa?

Niepodległość / Zmagania o suwerenność i granice

Piłsudski w roku 1918

Polska była podzielona między trzy państwa zaborcze, a także to, że nie tylko Czesi i Słowacy, lecz także – jak zauważył Jerzy Łojek – „żaden z narodów Europy Południowo-Wschodniej nie był zaangażowany w bezpośredni konflikt z Rosją, widząc w niej raczej sprzymierzeńca. W tym tkwi najbardziej istotna różnica między rozwojem tych krajów a nami”.

Czechosłowacja, inaczej niż Polska, nie była również zaangażowana w konflikt z Niemcami – wszak ci nie kwestionowali wówczas przynależności do niej Sudeatów. A wspomniana akcja dyplomatyczna odnosiła się do kraju, który właśnie na zawsze zniknął z mapy Europy. Nic dziwnego, że Czechom okazywano tak wielką sympatię na Zachodzie.



Przyjazd Piłsudskiego do Warszawy w listopadzie 1918 r. nie został uwieczniony przez fotografa. Przez wiele lat wykorzystywano zatem wcześniejsze zdjęcie z grudnia 1916 r. FOT. NAC

dalszego sprawowania tego najwyższego stanowiska w państwie.

„Koordynator narodowego wysiłku”

Za objęciem przez komendanta I Brygady zwierzchnictwa nad odradzającą się Polską przemawiała nie tylko jego dotychczasowa walka o niepodległość, lecz także popularność i sympatia, które zdobył, kiedy z powodu sprzeciwu wobec okupantów niemieckiego i austriackiego został przez nich uwięziony. „Piłsudski był w tym czasie jedynym politykiem, który miał wystarczający autorytet i kompetencje, by objąć kierownictwo państwa w chwili jego organizowania. Był jedynym politykiem tego formatu, który rozumiał konieczność skonsolidowania opinii i nie dążył do rządów prawicowych bądź wyraźnie lewicowych, ale myślał o związaniu z państwem możliwie wszystkich Polaków” – pisał Andrzej Friszke.

Widziano w nim męża opatrnościowego, kogoś, kto jest w stanie zapewnić stabilną i zdecydowaną władzę w sytuacji, gdy rodzącej się państwowości zagrażało wiele niebezpieczeństw z zewnątrz. Takiemu nastawieniu sprzyjało również to, że Piłsudski przestał być już dawno człowiekiem jednej partii. „Podejmowane bowiem przezeń od powrotu do kraju poczynania są wymownym świadectwem, że pragnął on odegrać rolę koordynatora narodowego wysiłku, zdolnego do stworzenia z Polski w dobie powojennego chaosu państwa, które w tej części Europy stanowiłoby ostoję ładu, zyskując tym samym mocarstwowe znaczenie” – prze-

nikliwie dostrzegał biograf Marszałka, Włodzimierz Suleja.

O tym, że Piłsudski nie chce być łączony z żadnym ugrupowaniem politycznym, rychło przekonali się jego dotychczasowi współpracownicy Witold Jodko-Narkiewicz i Władysław Baranowski, którzy w połowie stycznia 1919 r. udali się z wizytą do Belwederu. W związku z pogłoskami o przewidywanej zmianie lewicowego rządu Moraczewskiego zamierzali oni przekonać Komendanta o konieczności utrzymania dotychczasowego gabinetu. Odpowiedź Piłsudskiego tak relacjonował Baranowski: „»Nic nie rozumiem mojej sytuacji i całej sytuacji w ogóle. Nie chodzi o lewicę czy o prawicę, mam to w d... nie jestem tu od lewicy i dla niej, jestem dla całości [...]. Sprawy wewnętrzne załatwi Sejm, który na to właśnie zwołuję. Jaki będzie: lewy czy prawy – zobaczymy. Wszystkie moje wysiłki muszą iść w kierunku armii. O to właśnie się staram [...]. Zagranicę znacznie i wiecie, jak tam jest; będzie tam z nimi

gadał Moraczewski, widzicie to? Czy nie lepiej będzie gadał Paderewski, który ma z nimi wspólny język? [...] Wszak chodzi o granice i inne szczegóły dla nas tak ważne. W Paryżu przyzwyczaili się do Dmowskiego [...]. Co tam Dmowski będzie żądał, jeśli będzie nawet żądał za wiele, to nie szkodzi [...]. Wy tylko patrzcie na dziś. Rządy ludowe!

Kpię sobie, czy rządy ludowe, czy inne w tej chwili, byle rządy, co przyniosą Polsce, co trzeba. Gdy będę miał wojsko, będę miał wszystko w rękę». Na jeszcze jakieś obiekcje przez nas wysunięte, nie pamiętam jakie, komendant rozkrzyczał się na dobre i podniósł na łóżku: »Mam dość tych gadań, tych podpowiadań!... do d... z waszymi radami, do d... – wołał. – Potrzebuję żołnierza, »



Tymczasem już czwartego dnia po powrocie Piłsudskiego do kraju Rada Regencyjna przekazała mu władzę polityczną. Został Naczelnikiem Państwa, dysponującym pełnią władzy na wzór naczelnika insurekcji 1794 r. gen. Tadeusza Kościuszki. 16 listopada 1918 r. Piłsudski wysłał depeszę, w której jako Naczelnny Wódz Armii Polskiej informował wszystkie rządy i narody walczące w zakończonej właśnie wojnie oraz neutralne o powstaniu niepodległego państwa polskiego, „obejmującego wszystkie ziemie zjednoczonej Polski”. Dwa dni później powołał pierwszy polski rząd, na którego czele stanął Jędrzej Moraczewski.

W ciągu kilku tygodni Piłsudskiemu podporządkowały się inne ośrodki władzy na ziemiach polskich, oprócz Wielkopolski, która jeszcze przez kilka miesięcy uznawała zwierzchność paryskiego Komitetu Narodowego Polskiego. To Naczelnik Państwa sygnował wówczas swoim nazwiskiem wszystkie akty urzędowe Rzeczypospolitej, w tym dotyczące wyborów do Sejmu Ustawodawczego, który w drugiej połowie lutego 1919 r. uchwalił powierzenie mu

■ słyszycie!«. Atmosfera stawała się niebezpieczna, trzeba było dyplomatycznymi odpowiedziami zgodzić [się] na opinie komendanta i wycofać”.

To przekazanie reprezentacji Polski na konferencji pokojowej przywódcy Narodowej Demokracji Romanowi Dmowskiemu, do którego Piłsudski skierował osobisty list z ofertą współpracy, świadczyło o tym, że Naczelnik Państwa służy całemu społeczeństwu, a za swój priorytet uznaje stworzenie siły zbrojnej i zapewnienie Polsce granic i bezpieczeństwa. Nie był już Piłsudski socjalistą, ale „państwowcem [...], demokratą, wyczulonym na kwestie wolności, praw robotniczych i socjalnych [...]”. Był niewątpliwie przywódcą obozu republikańskiego, demokratycznego, ale dbał o kompromis z prawicą, bez którego nie mogłaby istnieć niepodległa Polska” (Friszke).

Próbę nawiązania bliższego kontaktu z Dmowskim podjął też Sosnkowski. „Doszędłem do przekonania, że w początkowych okresach odbudowy państwa oraz w obliczu wojen o granice największą siłą wewnętrzną i najskuteczniejsze wyniki zbiorowych wysiłków mogła zapewnić Polska zgodna współpraca Piłsudskiego z Dmowskim. U schyłku 1919 r. oraz w pierwszej połowie 1920 poświęciłem niemało zabiegów urzeczywistnieniu tej myśli. Z Naczelnikiem Państwa widywałem się codziennie; z Dmowskim spotykałem się od czasu do czasu [...]. Niestety, gdy po wielu rozmowach Komendant oznajmił wobec mnie swoją zgodę na próbę takiej współpracy z Dmowskim, ten ostatni po dłuższych wahaniach zajął stanowisko odmowne”. Sosnkowski oceniał: „Powodzenie mych ówczesnych starań mogłoby zaoszczędzić młodemu państwu wielu tragedii i nieszczęść, wielu wstrząsów osłabiających Polskę i zatruwających nasze życie publiczne”.

Lwów

To dążenie Piłsudskiego do współpracy dowodziło wielkiej odpowiedzialności, niezwykle potrzebnej, gdy w dopiero co odzyskanym kraju poszczególne stronnictwa, nie zwracając uwagi na zagrożenie zewnętrzne, rzucały się sobie do gardeł, jednocześnie atakując Naczelnika Państwa. Wysuwano wobec niego tak oszczercze zarzuty jak brak udzielenia skutecznej pomocy Lwowowi walczą-

cemu z Ukraińcami. Te konsekwentnie szerzone, obraźliwe plotki „godziły nie tylko w osobę Piłsudskiego. [...] podważały autorytet władz państwa, wytwarzały szkodliwy, nabierający cech trwałości obyczaj” (Suleja).

Tymczasem Piłsudski wrócił do okupowanej przez Niemców Warszawy 10 listopada 1918 r., 10 dni po rozpoczęciu walk o Lwów. Już 12 dni później jeden z jego najlepszych oficerów, legionista I Brygady ppłk Michał Tokarzewski-Karaszewicz, poprowadził zwycięską odsiecz miastu, o którym Marszałek tak podniośle mówił: „Lwów! – któreż polskie serce nie drgnie na to miano”. Chociaż wojska ukraińskie musiały wycofać się ze Lwowa, zmagania o miasto i wschodnią część niedawnego jeszcze zaboru austriackiego wciąż trwały. Zwycięska odsiecz Lwowa nie zakończyła więc kampanii oszczerstw – teraz pomawiano Piłsudskiego o to, że przeciwdziałał wprowadzeniu do Polski Armii Błękitnej gen. Józefa Hallera (którego Narodowa Demokracja przeciwstawiała Piłsudskiemu jako kandydata na naczelnego wodza, chętnie zapominając o służbie generała w Legionach Polskich, które zjadale potęgę państwa). O tym, że Piłsudski zabiegał o ten powrót, a w rzeczywistości przeciwdziałała temu Francja i Wielka Brytania, aby przypadkiem Polacy nie zajęli zbyt wielu obszarów, które oba te państwa planowały oddać białej Rosji po jej spodziewanym zwycięstwie nad bolszewikami, paszkwilanci nie wspominali. Warto w tym miejscu podkreślić, że ziemie, którymi z taką łatwością oba mocarstwa chciały dysponować, nigdy nie należały do Rosji ani w ogóle nie były zamieszkane przez Rosjan, lecz przez Polaków, Ukraińców i Żydów. Jak widać, argument narodowy używany był tylko wtedy, gdy nie godził w plany ententy.

Kiedy płk Tokarzewski siedł na Lwów, wojsko polskie dopiero powstawało. Wojsko, przed którym „w zaraniu jego istnienia wyrosły wielkie zadania”, jak mówił później gen. Sosnkowski, dodając: „Wynik wojny światowej dał nam egzystencję bez granic; dzień rozejmu na froncie zachodnim jest dla Polski początkiem długotrwałej wojny o niepodległość zdefiniowaną, czyli wojny o granice. Wojny te Polacy stoczyć musieli własnymi siłami”.

Oprócz zmagania w Małopolsce Wschodniej z Ukraińcami na północy wojska bolszewickie na początku 1919 r.

zajęły Wilno, w Wielkopolsce prowadzono walkę z Niemcami, nierozstrzygnięta była sprawa przynależności Górnego Śląska, na Śląsk Cieszyński uderzyli Czesi. Budowa armii polskiej w tak trudnych okolicznościach była kolejnym wielkim sukcesem Naczelnika Państwa i grona jego współpracowników, z wiceministrem (później ministrem) spraw wojskowych gen. Sosnkowskim na czele. Nie tylko organizacyjnym – wszak „wszystko to, co jest u nas w mundurze wojskowym, daje siłę i potęgę państwa. Daje niezmogoną siłę, stanowiącą o naszym istnieniu, o naszej potędze, o naszej wolności”. „Bez wojska nasze znaczenie w świecie całym jest zerem” – powie później Piłsudski.

22 grudnia 1918 r. Naczelnik Państwa udał się do Lwowa, pod którym nadal toczyły się walki, i osobiście dokonał wizytacji oddziałów znajdujących się na pierwszej linii niezwykle zaciętych bojów. Na zapewnienia żołnierzy i oficerów, że „cały Lwów będzie bronił swego prawa przynależenia do polskiego państwa, Piłsudski rzekł: »To dobrze. Tak być musi«. Szczerze przy tym wyrażał przekonanie, że Polska nie chce się mieszać w sprawy wewnętrzne sąsiadów, lecz pozwolić nie może, „by pod jakimkolwiek bądź pozorem, chociażby pod pozorem rzekomego dobrodziejstwa, naruszano nasze prawo do samodzielnego życia. Nie oddamy ani piędzi ziemi polskiej i nie pozwolimy, by uszczuplono nasze granice, do których mamy prawo”.

Wdzięczność narodowa

W przypadku kształtu granicy zachodniej i północnej władze polskie nie miały jednak właściwie żadnej możliwości manewru politycznego, oczekując na postanowienia konferencji pokojowej. Marszałek, jeszcze w czasie trwania powstania wielkopolskiego, mówił: „Już byłem gotów wysłać wojsko polskie do poznańskiego, gdy przedstawiciele entente'y znajdujący się w Warszawie oświadczyli mi, że nie powinniśmy nic robić, gdyż sprawa ta będzie rozwiązana przez konferencję pokojową i że musimy się liczyć z warunkami entente'y, jeśli chcemy jej pomocy na tej konferencji dla uzyskania naszego zjednoczenia”.

Słowa te powinny obalić nieprawdziwe opinie o rzekomej indyferencji Piłsud-



obu tych państw leżały decyzje o polskiej granicy zachodniej.

Natychmiast po ustaleniu wersalskich, w końcu czerwca 1919 r., pod osobistym dowództwem Naczelnego Wodza przeprowadzono zwycięską ofensywę polską w Małopolsce Wschodniej, w której wzięła udział m.in. sprowadzona z Francji Błękitna Armia gen. Hallera. Nieco wcześniej spektakularne sukcesy odniesiono w walkach z bolszewikami. W kwietniu 1919 r. odebrano im Wilno – znakomity manewr polskiej kawalerii, który dał zwycięstwo wojskom polskim, był wynikiem operacji przygotowanej znów przez Piłsudskiego.

W Warszawie tych sukcesów Naczelnika Państwa jak gdyby nie dostrzegano, o czym informował go Sosnkowski: „Wróciłem właśnie z Dworca Wiedeńskiego. Haller przyjechał. Jeszcze raz to samo, cośmy już niejednokrotnie widzieli: tłumy, cechy, strażacy, orkiestra, chorągwie, specyficzny entuzjazm warszawskiej ulicy, spod którego wionie pustka i bezmyślność. Znów mowy bez końca, frazesy niezliczone, jeszcze jeden »zbawiciel świata«, który ma go uwolnić

od anarchii, nieporządku, bolszewizmu i od »niepowołanych i fałszywych proroków« [...]. Kontrminy przeciw wileńskiej glorie zakładane są w sposób następujący: 1. Jakież to nietakt brać Wilno wbrew woli Koalicji, jakież to nietakt wyjechać z Warszawy, gdy przyjechali sprzymierzeńcy z [gen. Paulem] Henrysem etc., etc. 2. Tylko zawiść do Hallera podyktowała Piłsudskiemu wileńską eskapadę 3. No czy to ładnie? Szeptacyki trudził się, przygotował cały plan – przyjechał Piłsudski i zbiera owoce jego pracy. Tak się mówi w szerokich sferach syreniego grodu”.

Piłsudski jednak „po przejściu bagna oglądał lekko zamoczone nogi i szedł dalej”. Ważne były trwałe wartości. Ważne było oswobodzenie Wilna – jeden z największych osobistych triumfów Wielkiego Marszałka i jedno z najpiękniejszych przeżyć w jego życiu – jak mówił: „Gdy do Wilna swego, jako zwycięzca, wkra- czał, gdy konno po ulicach Wilna jechał, gdy przede mną szwadron podkowami po bruku tętnił”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, profesorem Uczelni Łazarskiego.

skiego w kwestii ziem zachodnich Polski w pierwszych miesiącach sprawowania władzy w kraju. Należy podkreślić, że to właśnie sprawa granicy zachodniej była dlań wówczas priorytetowa. Dlatego wojnę w południowo-wschodniej części kraju mógł rozstrzygnąć dopiero po zawarciu traktatu wersalskiego. Podkreślić należy, że polskie działania na wschodzie były bardzo niechętnie przyjmowane przez Wielką Brytanię i Francję. Ich opinii nie można było lekceważyć, gdyż w gestii

W KSIĘGARNIACH



LEGIONY

Droga do legendy

Koprowski łamie monopol Piłsudskiego na Legiony

Patroni medialni:



Replika

www.replika.eu

Tel. 61 868 25 37

Tel. 515 339 739



1977 r. / Tajemnica tajnych służb PRL

Śmierć Pietraszki



Grzegorz Wołk

/ W 1977 r. z jeziora wyłowiono ciało studenta Stanisława Pietraszki. Był ostatnim człowiekiem, który widział żywego Stanisława Pyjasa

Kilka dni przed juwenaliami, 7 maja 1977 r., w Krakowie przy ul. Szewskiej 7 odnaleziono ciało skatowanego Stanisława Pyjasa. Ten student piątego roku filologii polskiej był aktywnym opozycjonistą. Jego śmierć nie była przypadkowa. Przyjaciele ze studiów od początku podejrzewali, że stała za nią SB. Postanowili za wszelką cenę dojść prawdy. Ich prywatne śledztwo wątpliwości nie rozwiało,

ponieważ w tajemniczych okolicznościach umierali kolejni świadkowie. W październiku 1977 r. spadł ze schodów Marian Węclewicz, współpracujący z milicją bokserską, który mógł być sprawcą śmiertelnego pobicia Pyjasa. Wcześniej, w środku wakacji 1977 r., z Jeziora Solińskiego wyłowiono zwłoki innego studenta UJ, Stanisława Pietraszki. On z kolei był ostatnią osobą, która widziała Pyjasa żywego, spacerującego w dniu śmierci z nieznanym mężczyzną. Być może mordercą...

Pietraszko i Pyjas byli rówieśnikami – urodzili się w 1953 r. Pierwszy w żywieckiej wsi Radziechowy, drugi w Gilowicach. Niedaleko od siebie, raptem 20 km. Poznali się w Żywcu, gdzie uczyli się w równoległych klasach liceum ogólnokształcącego. Nie przyjaźnili się blisko, ale gdy obaj wylądowali w Krakowie i pomieszkowali w legendarnym Żączku, podtrzymywali kontakty. Każdy z nich miał inną paczkę przyjaciół. Pyjas trzymał się głównie z humanistami Lesławem Maleszką i Bronisławem Wildsteinem. Pietraszko studiował fizykę, angażował się w oficjalną działalność studencką. Wybrano go na członka rady mieszkańców akademika, był także kierownikiem klubu studenckiego Nowy Żączek. Pyjas zaangażował się w działalność opozycyjną, od której Pietraszko, tak jak zresztą

większość studentów, stronił.

W maju 1977 r. Pietraszko zapewne myślał o tym, że to jego ostatnie juwenalia – był na ostatnim roku. Raczej nie planował powrotu do rodzinnej miejscowości, gdzie ojciec prowadził małe 3,5-hektarowe gospodarstwo rolne. Rodzeństwo Pietraszki pracowało w różnych miejscach: dwóch braci w Indukcie w Bielsku-Białej, kolejny pomagał rodzicom prowadzić gospodarstwo rolne, jedna siostra była zaś ekspedientką, druga – tkaczką. Jeden z braci należał do PZPR. Stanisław musiał być dumą rodziny, gdyż jako jedyny podjął studia.

W wieczór zabójstwa Pyjasa Pietraszko planował odprężyć się przed telewizorem. Chciał obejrzeć najpierw mecz tenisowy Polska-Francja, później hokej. Szwecja grała z Czechosłowacją. Gdy



Stanisław Pietraszko, jego grób i pogrzeb FOT. JPN

rozpoczął się pierwsza rozgrywka, wyszedł jednak z Żaczka, by kupić klisze do aparatu fotograficznego i wówczas, stojąc przed kioskiem Ruchu, zobaczył Stanisława Pyjasa w towarzystwie nieznanego mężczyzny. Wybiła godz. 17.40. Pyjas chwilę wcześniej pożegnał kolegów, z którymi wypił dwa lub trzy piwa, zajął na chwilę do Bogusława Sonika, by zostawić mu dokument z informacjami o esbeckich nadużyciach podczas przeszukiwania mieszkania Bronisława Wildsteina. Dokument miał trafić do Warszawy, do Komitetu Obrony Robotników. Pyjas minął Pietraszkę pod kioskiem. Przywitali się tylko, nawet nie porozmawiali, Pyjas nie przedstawił nieznanego „kolegi”. Pietraszko podejrzewał, że obaj udali się do pobliskiej piwiarni Pod Płachtą. Późniejsze śledztwo potwierdziło, że Pyjas mógł tam przebywać.

Zeznania

Kiedy Pietraszko dowiedział się o śmierci Pyjasa? Zapewne szybko, gdyż akademik huczał wręcz od plotek na ten temat. Ta śmierć

go dotknęła i pchnęła do aktywności opozycyjnej. Uczestniczył w „czarnych juwenaliach”, które zorganizowali koledzy zamordowanego. Rozwieszał klepsydry, przygotowywał czarne flagi. Jednak na propozycję podpisania się pod dokumentem powołującym Studencki Komitet Solidarności zareagował negatywnie. Nie wiadomo dlaczego. Może nie chciał się mieszać w „politykę”? Podpisał jednakże protest studentów przeciwko tendencyjnemu przedstawianiu w oficjalnej prasie przebiegu „czarnych juwenaliów”.

Pietraszko musiał się także wahać, czy złożyć zeznania w prokuraturze. W końcu wiedział, że sprawcami zbrodni są najpewniej funkcjonariusze SB i jeżeli to faktycznie oni, wówczas może mu grozić niebezpieczeństwo. Ostatecznie zgłosił się do Prokuratury Wojewódzkiej w Krakowie i 18 maja złożył zeznania. Było to już po „czarnych juwenaliach” i powstaniu SKS.

Na przesłuchanie stawiał się z mec. Andrzejem Rozmarynowiczem, pełnomocnikiem rodziny Pyjasa. Przesłuchiwał go zaś w charakterze świadka wiceprokurator Zbigniew Stańczewski. Student zeznał pokrótce, skąd znał Stanisława Pyjasa oraz jak wyglądały okoliczności ich ostatniego spotkania. Opowiedział o miejscu, w którym się widzieli. Co ważne – opisał także „kolegę” Pyjasa. Był to młody (22–26-letni) mężczyzna mierzący ok. 180 cm wzrostu o krótkich jasnych włosach. Ubrany był „po studencku”, w sweter, ale Pietraszko nie zapamiętał, jakiego koloru. Stwierdził także, że nie jest w stanie opisać dokładnie rysów twarzy nieznanego

osobnika, ale przypomina mu jednego ze studentów mieszkających w Żaczku. Nie pamiętał jego nazwiska, ale podał numer jego pokoju w akademiku.

Miesiąc później, 22 czerwca 1977 r., Pietraszkę ponownie wezwano do prokuratury rejonowej. Miał pomóc w sporządzeniu portretu pamięciowego osoby, z którą widział Pyjasa. Rysował ppor. Julian Kozioł z Wydziału Kryminalistyki KWMO. Do komendy zaproszono także studenta podobnego wedle Pietraszki do osoby, z którą widział po raz ostatni Pyjasa. Rysownik zadawał pytania, notował, a końcowym efektem jego pracy były trzy portrety pamięciowe (dwa en face i jeden profilowy). Niestety, nie zachowały się w aktach śledztwa. Kiedy i w jakich okolicznościach zaginęły? Tego się już zapewne nie dowiemy. Faktem jest, że sporządzony w czerwcu 1977 r. portret pamięciowy był jednym z najważniejszych dowodów w całej sprawie.

Gdy Pietraszce pokazano gotowe rysunki, zeznał on do protokołu, że opisywanego człowieka widział zaledwie 15–17 sekund. Zbyt krótko, by dostrzec i zapamiętać jakieś cechy charakterystyczne. Nie był w stanie

wyjaśnić, na czym polegało podobieństwo w wyglądzie tego osobnika i studenta, którego wymienił podczas pierwszego zeznania. Tutaj dotykamy ważnego aspektu sprawy: Czy Pietraszko faktycznie nie zapamiętał wyglądu opisywanego człowieka, czy może świadomie nie mówił prawdy? Może uznał, że składając zeznania, z których niewiele wyniknie, „kupi” sobie bezpieczeństwo ze strony SB? W końcu jaki sens miałyby likwidowanie świadka, który niewiele wnosił do sprawy, a także był na tyle znany, że jakikolwiek tajemniczy wypadek wzbudziłby podejrzenia? Pietraszko podczas przesłuchania mówił m.in.: „Gdyby dziś przede mną stanął ten osobnik, to twierdzę, że nie byłbym w stanie oświadczyć się, czy to był akurat ten, o którym zeznawałem”. Później okazano mu zdjęcia. Nie przyniosło to żadnych efektów. Świadek powtórzył, że nawet gdyby wśród tych zdjęć była fotografia podejrzanego, mógłby jej nie rozpoznać. Wartość takich zeznań była ograniczona.

Niezależnie od prokuratury sprawę badali opozycjoniści. Efekty okazały się mizerne. W kwietniu 1978 r., gdy Pietraszko już nie żył,



Jezioro Solińskie, miejsce śmierci Stanisława Pietraszki

FOT. WIKIPEDIA

„Biuletyn Informacyjny” KOR podał, że osoba z portretu pamięciowego odpowiada wyglądowni Mariana Pałamarza, krakowskiego esbeka zajmującego się inwigilacją opozycji studenckiej. Po czasie okazało się, że była to prawdopodobnie udana prowokacja SB. Pałamarz, mający wówczas 51 lat, nie wyglądał jak student. Rok później oskarżył on redaktorów pisma o zniesławienie i sprawę wygrał. Cała operacja obniżyła wiarygodność „Biuletynu Informacyjnego”, ale też pokazała, że ludzie pragnący wyjaśnienia sprawy są wpuszczani w ślepe uliczki, podrzuca się im fałszywe tropy.

Bieszczady

Majowo-czerwcowe przesłuchania Pietraszki zbiegły się w czasie z ostatnimi egzaminami, po których akademik zaczął się wyludniać. Studenci wyjechali na wakacje lub powrócili do rodzinnych miejscowości. W lipcu Stanisław Pietraszko wybrał się pod namiot w Bieszczady. Umówił się na wspólny wyjazd ze znajomymi z akademika o opozycyjnych sympatiach. Dołączył do nich 27 lipca. Okazało się, że po drodze skradziono mu namiot i część bagażu. Jednak dla młodego człowieka to nie był problem. Przy pomocy przyjaciół rozgościł się w Polańczyku. Studenci korzystali z miejscowych atrakcji, grali w siatkówkę lub karty. Wieczory spędzali w pobliskiej piwiarni.

Pietraszko 29 lipca ok. godz. 14 wziął ręcznik i powiedział znajomym, że idzie popływać. Od tej pory nikt nie widział go żywego. Tego samego dnia jeden z jego znajomych odnalazł nad wodą trampki i ręcznik. Wzbudziło to zrozumiały

niekopój – przyjaciele zgłosili milicjantowi zaginięcie kolegi. Pływające w jeziorze zwłoki wyłowił w środku nocy z 1 na 2 sierpnia przypadkowy człowiek. Sekcja zwłok wykazała utonięcie jako przyczynę śmierci. Wedle sporządzonej podczas śledztwa dokumentacji działanie osób trzecich wykluczono.

Śmierć Pietraszki wzbudziła jednak podejrzenia w gronie jego znajomych. To, że kilka tygodni wcześniej zeznawał w sprawie zabójstwa Stanisława Pyjasa, miało niebagatelne znaczenie. Wątpliwości budziły także okoliczności domniemanego utonięcia. Członkowie jego rodziny zgodnie twierdzili, że słabo pływał i unikał kąpeli. Studenci zaangażowani w SKS twierdzili, że ich kolega cierpiał na wodowstręt i nie zbliżał się nawet do zbiorników wodnych, nie wspominając już o pływaniu.

Rodzina oraz SKS-owcy próbowali wyjaśnić okoliczności tej śmierci. Po umorzeniu śledztwa bezskutecznie proszono o pomoc Radę Państwa. Gdy wybuchła rewolucja Solidarności, rodzina zwróciła się do Prokuratury Generalnej o wznowienie śledztwa. Także tym razem bezskutecznie. Gdy w 1991 r. wznowiono śledztwo w sprawie śmierci Stanisława Pyja-

sa, okazało się, że dokumentacja dotycząca okoliczności śmierci Pietraszki została wybrakowana. Nie było żadnego punktu zaczepienia, by podjąć nowe śledztwo i ewentualnie podważyć wcześniejsze ustalenia. W warunkach PRL była to zbrodnia doskonała. Utonięcie było solidnie udokumentowane. Za drugą możliwością – tj. morderstwem – przemawiały jedynie poszlaki. Zbieg okoliczności, w którego wyniku kluczowy świadek zbrodni dokonanej zapewne przez funkcjonariuszy SB ginie kilka tygodni po złożeniu zeznań. Dzieje się to na zupełnym odludziu,

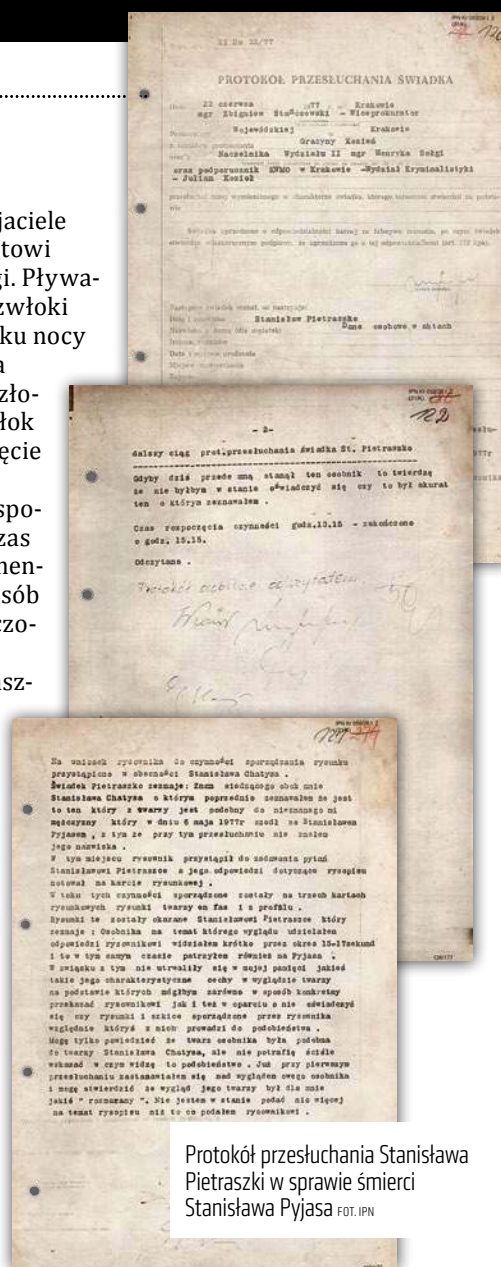
bez świadków. Dużo tych przypadków. Za dużo.

Osaczanie

Zwłoki Stanisława Pietraszki trafiły do rodzinnej miejscowości 5 sierpnia, a pogrzeb odbył się dzień później. Uczestniczyło w nim ok. 500 osób, z czego jedną dziesiątą stanowili studenci. Monitorujący uroczystości funkcjonariusze podkreślali, że podczas pogrzebu nie doszło do wystąpień o charakterze „politycznym”. Na wszelki wypadek dbali jednak o to, by ulotki bądź napisy nie pojawiły się np. w Zadzuszki czy w rocznicę jego śmierci.

Wydział III SB KWMO z Bielska-Białej dopiero 5 października 1977 r. otrzymał formalne polecenie ze stołecznej centrali, by „zająć się” rodziną Pietraszków. Chodziło o sprawdzenie, co jego bliscy myślą o śmierci Stanisława i czy nie współpracują z „Graczami”, tj. Komitetem Obrony Robotników. Wszczęto wówczas sprawę operacyjnego sprawdzenia pod dość makabrycznym kryptonimem Pływak. Niemal od razu uzyskano informacje, że z rodziną skontaktowali się Józef Ruszar i Bogusław Sonik z krakowskiego SKS oraz Wojciech Ostrowski, który zainteresował się sprawą w ramach działalności Biura Interwencyjnego KOR.

Działania operacyjne bielska SB podjęta jednak dużo wcześniej. Niemal od razu po odnalezieniu zwłok Pietraszki. Co ważne, o sprawie informował bielskich esbeków krakowski Wydział III (od zwalczania opozycji), a bezpośrednie meldunki trafiały do szefa MSW i dyrektora Departamentu III MSW. „Zwykłe” utonięcie studenta w bieszczadzkiej głuszy takiego rezonansu by nie spowodowało.



Protokół przesłuchania Stanisława Pietraszki w sprawie śmierci Stanisława Pyjasa FOT. IPN

Funkcjonariusze SB wytworzyli agenturę, która miała dojść do rodziny Pietraszków. Zadania były dwa: wyciszyć sprawę i odciągnąć rodzinę od działań opozycji. Sprawdzano zatem korespondencję rodziny, typowano kolejnych informatorów w miejscach pracy i wśród znajomych, obserwowano dom rodziny. Z uwagi na to, że ojciec Stanisława był członkiem koła ZBoWiD, a brat aktywistą PZPR, także tą drogą zamierzano utrudnić dążenia rodziny do wyjaśnienia śmierci ich syna i brata. Usiłowano także wpłynąć na nią przez miejscowego proboszcza, ten jednak sprawę szybko uciął, odsyłając esbeków do kurii.

Wszystkie te działania zakończyły się częściową porażką SB. Rodzina nie tylko udzieliła pełnomocnictwa w sprawie śmierci syna mec. Rozmarynowiczowi, lecz także często przyjmowała krakowskich studentów pojawiających się w Radziechowicach. Z wywiadów środowiskowych zebranych przez SB wynikało, że rodzina Pietraszków była od początku przekonana, iż śledztwo w sprawie utonięcia prowadzone było nieudolnie. Niektórzy z nich stwierdzali publicznie, że było to morderstwo dokonane przez funkcjonariuszy. Esbecy nie zdecydowali się na zastraszenie. Żeby uspokoić rodzinę, w Żywcu pojawił się prowadzący postępowanie prokurator, który rozwiewał wszelkie ich wątpliwości. Agenci ulokowani w otoczeniu Pietraszków potwierdzili, że spotkanie faktycznie przyniosło efekty. To była woda na młyn SB, która postanowiła iść za ciosem i doprowadzić do cofnięcia udzielonego przez rodzinę pełnomocnictwa. Zwłaszcza że przestała ona w tym czasie przyjmować studentów. Wizyty kolegów zmarłego i powracanie podczas nich do rozmów na temat

zmarłego musiały budzić zbyt duże emocje. Proces poróżnienia rodziny ze studentami był rozłożony w czasie. O ile pełnomocnictwa nie wycofano, o tyle SB udało się ograniczyć kontakty z opozycjonistami. W pierwszą rocznicę śmierci Stanisława Pietraszki w uroczystościach udział brali jedynie najbliżsi. Jednak rodzina dalej była pod ścisłą kontrolą SB. Wciąż wokół niej kręcili się agenci, sprawdzano jej korespondencję, a w rocznicę śmierci Stanisława wykonano zdjęcia uczestnikom uroczystości na cmentarzu.

Zamykając sprawę „Pływak” w sierpniu 1978 r., kpt. Jerzy Frydрых podkreślał, że zakończyła się ona sukcesem. Według niego było nim przerwanie kontaktów Pietraszków z opozycją. Podkreślał dużą rolę w tej operacji szefostwa regionalnego ZBoWiD oraz komórek PZPR, a także rozmowę z prokuratorem (którą to metodę zalecał stosować w podobnych przypadkach w przyszłości). O dramacie rodziny przekonał się o dokonanym morderstwie nie pisał. Osaczona przez władze miała świadomość, że w konflikcie z państwem pozostała ze wsparciem zaledwie kilku opozycyjnych studentów z odległego Krakowa. Ojciec, świadom straty, w gronie najbliższych przekonywał, że muszą żyć dalej. Z kolei matka podczas jednej z rozmów ze łzami w oczach stwierdziła, że podczas okupacji Niemcy zburzyli jej dom, a Polska Ludowa zabrała jej najdroższą osobę. Na nic się zdały działania rodziny zmierzające do wyjaśnienia okoliczności śmierci Stanisława Pietraszki. Władze PRL nie były zainteresowane jej wyjaśnieniem. Tajemnica dramatu, który rozegrał się nad brzegiem bieszczadzkiego jeziora lipcową nocą 1977 r., wciąż pozostaje nierozwikłana.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Zapraszamy do salonów **empik**
i na **empik.com**



Czy historia Polski w XX wieku mogła potoczyć się inaczej?

Kulisy powstania
najwymyślniejszych
broni Izraela



Izrael-Palestyna.
Kolejna wojna.
Jakie są prawdziwe
przyczyny konfliktu
na Bliskim
Wschodzie?



Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.



FB/DWREBIS



www.rebis.com.pl



Rozmowa / Z brytyjskim historykiem prof. Saulem Davidem



rozmawia Piotr Zychowicz



Strzały na Entebbe

FOT. ALAMY/BEWA

/ Izraelscy komandosi odbili w Ugandzie stu zakładników. To była najbardziej brawurowa akcja w historii służb specjalnych

PIOTR ZYCHOWICZ: Czy to prawda, że Idi Amin trzymał w lodówce głowy swoich wrogów?

PROF. SAUL DAVID: (śmiech) Pogłoski o kanibalizmie ugandyjskiego dyktatora są nieodłączną częścią jego legendy. Bez wątplenia Amin znęcał się nad swoimi ofiarami w sposób straszliwy. Torturował je i rąbał na kawałki. Czy jednak rzeczywiście zjadał ich ciała? Nie ma na to rozstrzygających dowodów. Osobiście w to wątpię.

Jego kariera rozpoczęła się w brytyjskiej armii kolonialnej. Czy to prawda, że zaczynał jako pomocnik kucharza?

Amin w latach 40. i 50. służył w słynnym regimencie King's African Rifles. Jego żołnierzy rekrutowano w Ugandzie i sąsiedniej Kenii. Piął się tam po szczeblach kariery. Został sierżantem, a na końcu chorążym. To była najwyższa ranga, jaką nadawano czarnym żołnierzom. Stopnie oficerskie zdobywał już po 1961 r. w armii Ugandy.

Jak oceniali go jego brytyjscy oficerowie?

Dość wysoko. Chociaż wydaje się, że zdawali sobie sprawę z jego ograniczeń. Amin świetnie się prezentował. To był blisko dwumetrowy, ciężki mężczyzna. Prawdziwy atleta.

Czy to prawda, że w trakcie tłumienia rebelii Mau Mau w Kenii dopuścił się zbrodni wojennych? Między innymi spacyfikował kenijską wioskę?

Niektórzy członkowie brytyjskiej armii rzeczywiście dopuścili się zbrodni wojennych. Czy Amin był w to zaangażowany? Rozstrzygających dowodów na to nie ma.

Pytam, bo niemiecki biograf Amina – Erich Wiedermann – twierdził, że to Brytyjczycy zrobili z niego bestię.

To klasyczne podejście lewicowców. Zrzucenie zbrodni popełnianych przez czarnych dyktatorów na kolonialne mocarstwa. To wszystko wina tych paskudnych Europejczyków! Tymczasem odpowiedź jest znacznie prostsza. Idi Amin był złym człowiekiem. Sadystą i potworem. Po tym, gdy w 1971 r. dokonał wojskowego zamachu stanu i przejął władzę w Ugandzie, dopuścił się zbrodni na wielką skalę. I to były jego zbrodnie. Nie widzę powodu, żeby obciążać winą za nie Wielką Brytanię. Zresztą podczas pracy nad książką rozmawiałem z ludźmi, którzy go znali. Powiedzieli, że w codziennych kontaktach był to czarujący człowiek...

Czarujący człowiek, który wymordował w Ugandzie 300 tys. ludzi...

Nie chcę pomniejszać jego zbrodni. Pokazuję tylko, dlaczego tak długo odnosił sukcesy. Tak jak Adolf Hitler miał magne-

tyczną osobowość, charyzmę, potrafił pociągnąć za sobą tłumy. A jednocześnie był socjopatą. U dyktatorów to są często cechy idące ze sobą w parze.

Jak określiłby pan jego reżim i ideologię? Był faszystą? Komunista? A może typowym afrykańskim kacykiem-satrapą?

Trudno go zaszufładować. Bez wątplenia była to dyktatura wojskowa. Jednocześnie Amin utrzymywał bliskie relacje z ludźmi o lewicowych tendencjach. Dyktatorem Libii płk. Muammar Kaddafim, Organizacją Wyzwolenia Palestyny i rozmaitymi organizacjami terrorystycznymi. Nie wynikało to jednak z jakichś ugruntowanych poglądów politycznych. Raczej z oportunizmu.

W 1976 r. o Idim Aminie usłyszał cały świat.

Tak, 27 czerwca komando terrorystów porwał samolot linii Air France lecący z Tel Awiwu do Paryża. Czworo zamachowców wsiadła na pokład podczas międzylądowania w Atenach. Gdy maszyna znalazła się w powietrzu, terrorystów załogę i pasażerów bronią.

Ile osób znajdowało się na pokładzie?

Około 250.

Kim byli zamachowcy?

Dwóch było bojownikami Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny, a dwoje – mężczyzna i kobieta – członkami niemieckiej grupy terrorystycznej Komórki Rewolucyjne. Była to ekstremistyczna, skrajnie lewicowa organizacja, która działała w Niemczech w latach 70. i 80. Jej celem było – zgodnie z nazwą – obalenie ustroju kapitalistycznego w Niemczech. Ludzie ci, w większości lewicowi intelektualiści, uważali, że niemiecki establishment jest nafaszerowany narodowymi socjalistami.

Dlaczego sprzymierzyli się Palestyńczykami?

Na świecie działała wówczas lewicowa międzynarodówka terrorystyczna. Oprócz niemieckich lewaków i Palestyńczyków w jej skład wchodziła między innymi IRA. Ludzie ci mieli wspólny

cel – zniszczenie „imperialistycznych reżimów”.

Co terrorysty zrobili po wystartowaniu?

Kazali pilotom lecieć do Libii. Tam samolot zatankował i poleciał dalej. Czyli do Ugandy. Terrorysty próbowali przekonać świat, że wylądowali na lotnisku w Entebbe przez przypadek, bo skończyło im się paliwo. Rozmawiałem jednak z towarzyszami broni niemieckich terrorystów, którzy brali udział w szykownej operacji. Zdradzili mi, że lądowanie w Ugandzie było częścią planu. Idi Amin zgodził się na ich przylot i ich oczekiwał.

Dlaczego akurat Uganda?

Z dwóch powodów. Po pierwsze Idi Amin nienawidził Izraela i wspierał terrorizm. W momencie wylądowania na lotnisku Entebbe porywacze znaleźli się pod ochroną ugandyjskiego państwa. Po drugie Uganda leżała daleko od Izraela. A co za tym idzie – jak się wydawało się terrorystom – Izraelczycy nie byli w stanie przyjąć z pomocą swoim obywatelom.

Co się stało po przybyciu do Entebbe?

Terrorysty wyprowadzili ludzi z samolotu i umieścili w budynku terminalu lotniska. Cały teren został obstawiony przez ugandyjską armię. Po 24 godzinach porywacze ogłosili światu swoje żądania. Domagali się okupu i wypuszczenia swoich towarzyszy – palestyńskich bojowników przetrzymywanych w izraelskich więzieniach. A także aresztowanych niemieckich ekstremistów ze słynnej Grupy Baader-Meinhof. Zagrozili, że jeżeli ich żądania nie zostaną spełnione w ciągu dwóch dni, to zaczną mordować zakład-

ników. Wkrótce na lotnisko z inspekcją przybył Idi Amin.

Jaka była reakcja Izraela?

Premier Icchak Rabin zwrócił się do swojego szefa sztabu i zapytał, czy ma jakiś plan. Ten rozłożył bezradnie ręce. Wówczas Rabin powiedział, że jeżeli wojsko błyskawicznie czegoś nie wymyśli, to będzie negocjował z terrorystami. Rozważył wypuszczenie palestyńskich terrorystów.

To ryzykowna taktyka.

Izrael trzymał się wówczas – i trzyma się do dziś – żelaznej zasady, że jeżeli jego obywatele dostaną się w ręce terrorystów jako zakładnicy, to rząd nie może pozwolić im zginąć. Jeżeli nie ma możliwości rozwiązania siłowego, to państwo żydowskie idzie na ustępstwa. Izrael uważa bowiem, że życie każdego Żyda należy ratować za wszelką cenę. Jak pan na pewno wie, Ameryka i Wielka Brytania mają zupełnie inną politykę. My nigdy nie negocjujemy z terrorystami.

Izrael podjął negocjacje?

Tak, przekazał Ugandzie informację, że gotowy jest rozmawiać. W efekcie terrorysty przedłużyli termin ultimatum do 4 lipca. Zwolnili też niemal wszystkich nieizraelskich pasażerów. W ich rękach pozostało 106 osób. W tym 12 członków załogi, którzy odmówili opuszczenia pasażerów.

Izraelskie wojsko jednak wymyśliło plan.

Tak, na szczęście tak. Pierwszy, podstawowy problem, z jakim musieli się zmierzyć Izraelczycy, to oczywiście odległość. Chociaż mieli samoloty transportowe – herculesy C-130 – które mogły dolecieć do Ugandy, maszyny te nie miały na tyle dużych baków, by wykonać lot powrotny. W regionie Izrael nie miał zaś żadnych przyjaciół, nie było żadnego miejsca, w którym samoloty mogłyby zatankować.

Jak Izraelczycy rozwiązali ten problem?

Okazało się, że w swojej talii posiadali jednego asa. Były to nieoficjalne kontakty wywiadow-



Izraelscy komandosi wracający z rajdu na Entebbe

FOT. MINISTERSTWO OBRONY IZRAELA

■ cze między Mossadem a służbami głównego rywala Ugandy – Kenii. Obie strony zawarły szybkie, ściśle tajne porozumienie. Kenijczycy zgodzili się na lądowanie i zatankowanie izraelskich samolotów na swoim terytorium. Izraelskie służby medyczne błyskawicznie zbudowały w Kenii szpital polowy, w którym miano przyjąć ewentualnych rannych. Wszystko odbyło się w największej tajemnicy.

Co się działo w Izraelu?

Zbudowano częściową replikę lotniska w Entebbe, na której komandos ci ćwiczyli odbicie zakładników.

Akcja „Piorun” – jak ją nazwano – rozpoczęła się 4 lipca.

Pierwszy samolot z izraelskimi komandosami wylądował na lotnisku w Entebbe przed północą. Z wnętrza samolotu wyjechała czarna limuzyna – mercedes-benz. A także dwa dżipy wylądowane komandosami z elitarniej jednostki Sayeret Matkal. Konwój spokojnie ruszył w stronę terminalu.

Na czym polegał podstęp?

Izraelczycy wiedzieli, że najważniejsi oficerowie ugandyjskiej armii jeżdżą takimi mercedesami. Liczyli więc na to, że żołnierze ugandyjscy pilnujący terminalu pomyślą, iż zbliża się do nich któryś z generałów.

Tak się stało?

Tak, początkowo Ugandyjczyci niczego nie podejrzewali. Stali spokojnie i przyglądali się nadjeżdżającym samochodom. Bez wątplenia pomyślałby wypalił, gdyby nie głupi błąd popełniony przez dowodzącego akcją oficera – Jonatana Netanjahu.

Brata obecnego premiera Izraela.

Dokładnie tak. Otóż Netanjahu, który jechał w pierwszym

dżipie, wyciągnął pistolet z tłumikiem i zaczął strzelać do strażników. Zrobił to zbyt wcześnie. Nie trafił i wywiązała się strzelanina. Był to błąd wręcz katastrofalny, który mógł zaważyć całą misterną operację. Terrorysty pilnujący zakładników usłyszeli bowiem strzały i mogli ich wymordować.

Nie zrobili tego jednak.

Tak, trzeba przyznać, że wykazali się humanitaryzmem. Mieli dość czasu, żeby urządzić krwawą jatkę. Po prostu wystrzelać wszystkich zakładników. Podjęli jednak decyzję, że tego nie zrobią. Celem ich operacji było przecież wydobyć towarzyszy walki z więzień, a nie masowy mord. Takiego zachowania po terrorystach działających w naszych czasach raczej trudno byłoby się spodziewać.

Mówi pan, że Netanjahu popełnił głupi błąd. Za ten błąd zapłacił jednak życiem.

Nie chcę ujmować mu bohaterstwa. Człowiek, który oddał życie za ojczyznę, zasługuje na najwyższy szacunek. Joni Netanjahu był świetnym żołnierzem. Istnieją jednak dowody na to, że po wielu operacjach, w których brał udział, był po prostu wypalony, przemęczony. Jeden z izraelskich oficerów powiedział mi, że przed operacją na Entebbe planowano go odwołać ze stanowiska.

Czyli Netanjahu przyczynił się do własnej śmierci?

Niestety, tak. Izraelczycy za-



SAUL DAVID
„OPERATION THUNDERBOLT: FLIGHT 139 AND THE RAID ON ENTEBBE AIRPORT”
LITTLE, BROWN AND COMPANY

Został śmiertelnie ranny.

Co się działo we wnętrzu budynku lotniska?

Izraelczycy byli przerażeni. Bali się, że gdy wkroczą do środka, wszyscy zakładnicy będą już martwi. Tymczasem terrorysty zdecydowali się na walkę. Gdy pierwszy z żołnierzy dobiegł do wejścia, w drzwiach stanął Wilfried Böse. Otworzył ogień, ale nie trafił. Izraelczyk poczuł, jak kule świsnęły mu nad głową. Odpowiedział strzałami i zabił niemieckiego terrorystę na miejscu.

Gdzie była reszta terrorystów?

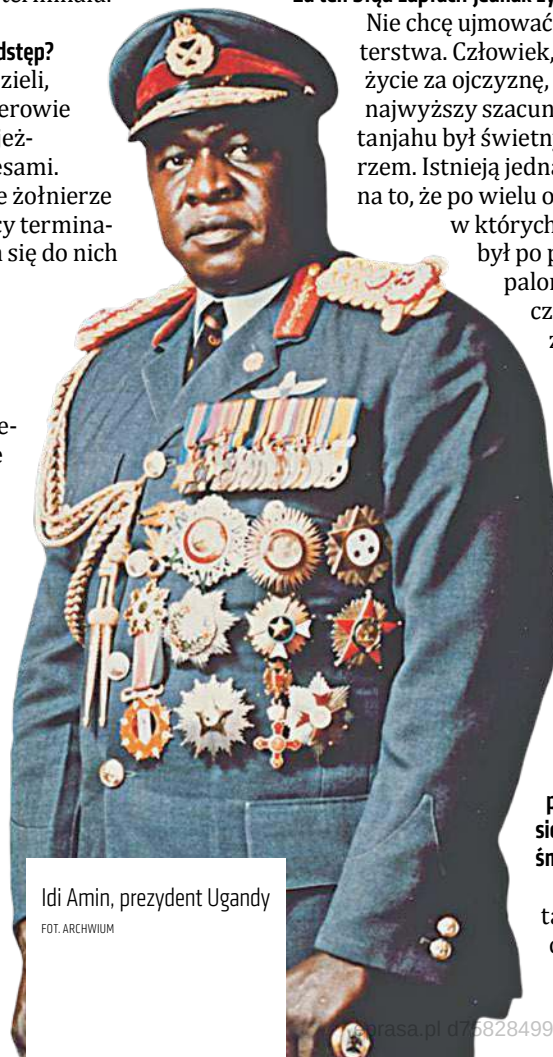
W środku. Chociaż mogli strzelać do wbiegających do środka komandosów, nie zrobili tego. Być może wynikało to z tego, że byli źle wyćwiczeni, może spanikowali. Izraelczycy wdarli się do terminalu i zabili resztę zamachowców oprócz jednego, który schronił się za betonowym słupem. Wywiązała się krótka walka, ale terrorysta nie miał szans. Po 30 sekundach było po sprawie. Wszyscy zamachowcy nie żyli.

W trakcie tych 30 sekund nie zginęli jednak tylko terrorysty.

Niestety, nie. To tragiczny wymiar akcji „Piorun”. Jeden z dowódców komandosów powiedział mi, że w tego typu operacjach – gdy wszystko rozgrywa się w ciągu ułamków sekund – żołnierze strzelają do wszystkich, którzy stoją. Tak są wytrenowani. Założenie jest bowiem takie, że w momencie wybuchu strzelaniny wszyscy zakładnicy odruchowo rzucają się na ziemię. Oczywiście może się tak zdarzyć, że któryś z porwanych cywili będzie stał, ale podczas akcji nie można podejmować najmniejszego ryzyka. Zasada jest więc taka: ten kto stoi – ginie.

W Entebbe tak się właśnie stało.

Proszę sobie wyobrazić, co tam się działo! Huk wystrzałów, eksplozje granatów. Krzyki przerażonych cywili, gęste kłęby dymu. Chaos. Do środka zo-



Idi Amin, prezydent Ugandy

FOT. ARCHIWUM

stał wrzucony granat fosforowy. Jeden mężczyzna zerwał się na nogi, bo od fosforu zaczął płonąć koc, którym był przykryty. Gdyby nie wstał – spłonąłby żywcem. W tej samej sekundzie został jednak nafaszerowany ołowiem przez izraelskich komandosów. Jego rodzina nigdy nie dowiedziała się prawdy. Ustaliłem to dopiero podczas pracy nad książką. W sumie zginęło trzech zakładników. Wszystko wskazuje na to, że wszyscy zostali zabici przez Izraelczyków.

Sto osób jednak uratowano.

Tak. Komandosi próbowali wyprowadzić zakładników na zewnątrz, ogień ugandyjskich żołnierzy był jednak zbyt silny. Żołnierze strzelali między innymi z wieży kontrolnej. Rozpoczęła się zacięta bitwa, Izraelczycy użyli ciężkich karabinów maszynowych i ręcznych wyrzutni granatów. Jeden z pocisków rozbił wieżę kontrolną. Dopiero gdy komandosi udało się zdusić ogień przeciwnika, wszyscy pobiegli do samolotów. Maszyny wzbily się w niebo. Od momentu wylądowania do startu minęły 52 minuty.

Czy Uganda nie miała sił powietrznych? Dlaczego Ugandyjczycy nie próbowali zestrzelić herculesów?

Uganda miała siły powietrzne, dysponowała nowoczesnymi myśliwcami produkcji sowieckiej. Nie wzbily się one w powietrze z dwóch powodów. Po pierwsze spora część ugandyjskich samolotów została wysadzona w powietrze przez Izraelczyków. To była przysługa, o jaką poprosili ich Kenijczycy. Zapłata za zezwolenie na zatankowanie na kenijskim lotnisku. Po drugie Ugandyjczycy nie mieli dobrze wyszkolonych pilotów, którzy potrafiliby walczyć nocą.

Niebywała operacja.

Tak, naprawdę niebywała. To była najbardziej brawurowa i szalona akcja w całej historii służb specjalnych. Izraelczycy mieli sporo szczęścia, ale planowanie i wyszkolenie komandosów było naprawdę znakomite. Proszę zwrócić uwagę, jak olbrzymie przeszkody musieli pokonać tej nocy. Olbrzymia odległość, bitwa z ugandyjską armią, opór ze strony terrorystów. Wszystko nocą, na obcym terytorium. Izraelczycy wykonali wspaniałą robotę. Wypełnili misję, która wydawała się niemożliwa.



Dowódca zespołu samolotów izraelskich witany po powrocie z akcji w Entebbe FOT. ARCHIWUM

Jaka była reakcja Idiiego Amina, gdy dowiedział się, co się stało?

Na początku się schował. Największą obawą dyktatorów, którzy przejmują władzę w wyniku puczu, jest pucz. Gdy usłyszał strzały dobiegające ze strony lotniska, przestraszył się, że doszło do zamachu stanu i zostanie zamordowany. Dopiero nad ranem odważył się pojechać na lotnisko. Na miejscu dostał oczywiście szału, wpadł w amok. Był wściekły na Izraelczyków i Kenijczyków. Uważał, że został przez nich upokorzony.

Co zrobił?

Zaczął mordować wszystkich, którzy znajdowali się pod jego władzą. Kazał zamordować kilkuset etnicznych Kenijczyków, którzy mieszkali na pograniczu, po ugandyjskiej stronie granicy. Zamordował pracowników wieży kontrolnej w Entebbe za to, że pozwolili Izraelczykom wylądować. Zemścił się także na Brusie MacKenziem.

Kto to był?

Biały Kenijczyk, minister w rządzie w Nairobi. To właśnie on doprowadził do zawarcia układu między Mossadem a kenijskimi tajnymi służbami. Ugandyjscy agenci wsadzili bombę do jego prywatnego samolotu.

To była typowa afrykańska wendeta. Bomba została podobno ukryta w wypchanym łbie antylopy. Amin zamordował jednak jeszcze kogoś.

Tak, panią Dorę Bloch. 74-letnią Brytyjkę z izraelskim paszportem. Była jedną z pasażerek samolotu Air France. Na terminalu coś utknęło jej w gardle. Zaczęła się dusić. Terrorysty ją zwolnili i została przewieziona do szpitala w Kampali. Tam ją uratowano. Ugandyjski minister zdrowia nie zgodził się jed-

nak na jej powrót na lotnisko. Uznał, że w szpitalu będzie bezpieczniejsza. Chciał ją uratować przed terrorystami.

Był to fatalny błąd.

Minister nie mógł tego przewidzieć! Nie mógł przewidzieć, że pozostali pasażerowie zostaną uratowani przez komandosów. W efekcie jednak Dora Bloch została w łapskach Amina. Dyktator kazał szefowi swojej tajnej policji ją zamordować. Dora Bloch została wywleczone z szpitalnego łóżka i uprowadzona. Jej okaleczone ciało zostało porzucone na polu.

Powiedział pan, że Idi Amin miał paranoję na punkcie zamachu stanu. Chyba jednak nie była to paranoja. Wkrótce rzeczywiście stracił władzę.

Idi Amin został obalony trzy lata po operacji „Piorun”. W Ugandzie wybuchła rebelia, wojna domowa. Do kraju wkroczyły wówczas wojska sąsiedniej Tanzanii. Reżim załamał się z hukiem, a dyktator w 1979 r. musiał w panice uciekać z kraju.

Gdzie?

Najpierw do Libii, a później do Arabii Saudyjskiej, która udzieliła mu azylu. Dostał od tamtejszego rządu dom, ale żył w dość skromnych warunkach. Był podobno bardzo nieszczęśliwy. Umarł w 2003 r.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Saul David

jest brytyjskim historykiem. Wykłada na University of Buckingham. Specjalizuje się w dziejach Afryki. Napisał m.in. „The Indian Mutiny: 1857” oraz „Zulu: The Heroism and Tragedy of the Zulu War”.



Film / Najśłynniejszy komandos Ameryki



Jakub Ostromecki

Rambo na ratunek jeńcom

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Sylvester Stallone w filmie „Rambo II” FOT. MATERIAŁY PRASOWE

/ Historia pokazana w „Rambo II” wcale nie jest oderwana od rzeczywistości. Amerykanie faktycznie zamierzali odbić swoich żołnierzy w Wietnamie

Nikt przy zdrowych zmysłach nie traktuje serio filmu „Rambo II”. Historia odbicia amerykańskich jeńców przetrzymywanych w Demokratycznej Republice Wietnamu wiele lat po zakończeniu wojny wietnamskiej, nakręcona w stylu „zabili go i uciekł”, jest w stu procentach fikcyjna. Nie znaczy to jednak, że w czasie toczącego się konfliktu lub długo po nim nie organizowano prawdziwych misji ratowniczych. Film trafił w koniunkturę. Według ankiety „The Wall Street Journal” przeprowadzonej w 1991 r. 70 proc. Amerykanów wierzyło, że w DRW wciąż przetrzymywani są amerykańscy jeńcy, którzy nie zostali wypuszczeni w 1973 r.

Wielu czytelników i zarazem miłośników kina akcji pamiętających złote czasy

kasetowego piractwa schyłkowego PRL zna film na pamięć. Jest początek lat 80. John Rambo, weteran wojny wietnamskiej, odsiaduje wyrok za jatki z pierwszej części cyklu, kiedy to zdziesiątkował zawziętą na niego gwardię narodową i lokalną policję. Jego dawny dowódca z Zielonych Beretów, płk Samuel Trautman, wyciąga go z więzienia w zamian za udział w straceńczej misji polegającej na przeniknięciu na obszar DRW i uwolnieniu przetrzymywanych tam jeńców. Rambo podejmuje się zadania. Przez resztę filmu, strzelając z biodra z kaemu M60, kosi komunistów całymi plutonami. Misja nie idzie gładko – w pewnym momencie Rambo trafia w ręce żołnierzy DRW. Jest torturowany, a na domiar złego u boku wietnamskich komunistów pojawiają się Sowietci. Gdzieś w tle przemyka wątek miłosny. W końcu jeńcy, całymi latami torturowani, psychicznie wyniszczeni, zostają uwolnieni. Film mocno uderza w „obłudnych i zdradzieckich krawiaczy z CIA” – do czego jeszcze powrócimy.

Tortury

Jak wyglądały realia życia w północnowietnamskim obozie jenieckim?

„Nie jesteś jeńcem! Jesteś zbrodniarzem wojennym! I już wietnamski lud cię za to osądzi”. „Nie chroni się żadne prawo międzynarodowe”. „Masz problem medyczny i polityczny. W naszym kraju leczymy dopiero po rozwiązaniu kwestii politycznych”. Takie zdania słyszał każdy amerykański jeńiec znajdujący się w DRW w czasie toczzonej w latach 1965–1973 wojny. Jeńcy ci w przynajmniej większości byli lotnikami (USAF lub US Navy) zestrzelonymi w trakcie bombardowań, które miały zmusić Hanoi do zaprzestania infiltracji czy, tak jak w czasie kampanii La Drang, jawnych napaści na Wietnam Południowy. Jednym z pilotów, którzy przeszli przez komunistyczną niewolę, był niedawno zmarły senator i kandydat na prezydenta USA John McCain. Losy jego i innych lotników opisano w pracy „Defiant” Alvina Townleya.

DRW nie zamierzała przestrzegać konwencji genewskiej. Jeńcom nie wolno było się porozumiewać i tak długo, jak to możliwe, byli od siebie izolowani. W czasie brutalnych przesłuchań pytano o plany operacyjne, szkolenie czy technologię. Nie to było jednak najważniejsze. Północnowietnamskim komunistom chodziło o cel polityczny: „przyznanie się przed kamerami do popełnionych zbrodni i potępie-



nie imperialistycznej agresji". Większość jeńców odmawiała, poddawano ich więc torturom. Jeńcy, wśród nich John McCain, zapamiętali zwłaszcza jednego oprawcę, którego przezwali „Pi-geye” („Knurze Ślepia”). Funkcjonariusz ów zakładał nieszczęśnikom kajdanki na nogi, połączone żelaznym prętem między goleniami. Żelastwo było jednak za ciasne jak na budowę przeciętnego Amerykanina, wrzynało się więc w ciało, powodując rany i zakażenia. Po tym siepacz przystępował do tortury zwanej strappado. Polegała ona na wykręceniu rąk do tyłu i jednoczesnym uniesieniu ich nad głowę, co powodowało potworny ból w mostku, klatce piersiowej i barkach. Przy przedłużającej się torturze kości ramion były wyrwane ze stawów. Czasem wieszano nieszczęśnika na linie u sufitu, co jeszcze bardziej potęgowało ból. Inną torturą stosowaną przez „Knurze Ślepia” było ściskanie i podwiązywanie kolan oraz łokci i trzymanie w pozycji w kucki, co powodowało odpływ krwi i straszne bóle pleców. Tortury te w założeniu miały nie pozostawiać widocznych uszkodzeń ciała.

Gnicie ran było nagminne. Wielu lotników w czasie katapultowania się i lądowania doznawało złamań czy innych kontuzji kończyn. Nie leczono ich tak długo, aż jeńiec zgodził się na warunki oprawców. Mało kto po takim traktowaniu nie podpisałby wszystkiego, co mu się podetknie. Jeden z lotników Charles Tanner zakpił jednak z przesładowców. W oświadczeniu stwierdził, że dwóch pilotów US Navy – Ben Casey i Clark Kent – odmówiło bombardowania DRW, za co zostali ukarani przez imperialistyczny rząd. Przekaz poszedł w świat. Wielu czytelników gazet parsknęło wówczas śmiechem. Wymienieni „piloci” byli znanymi w całych Stanach komikami. Komunistyczna Partia USA poinformowała jednak wietnamskich towarzyszy o niecnym kłamstwie, co dla lotnika skończyło się izolatką i kolejnymi torturami. Film „Rambo II” nie przesadza więc znowu, gdy pokazuje tortury stosowane przez DRW. Dodajmy jeszcze, że śmiertelność w obozach wynosiła blisko 10 proc. Dla porównania – w II wojnie światowej w obozach japońskich ginęło

25 proc. Brytyjczyków, w czechosłowackich (komunistycznych) zaś 5 proc. Niemców.

„Ivory Coast”

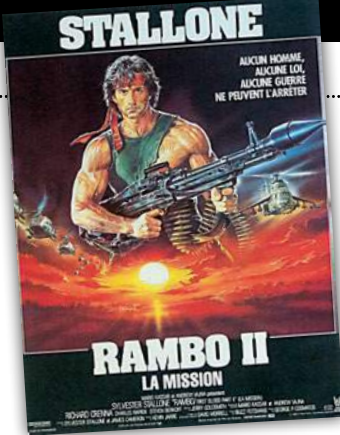
Wydarzeniem, do którego ewentualnie mogłoby nawiązywać „Rambo II”, była operacja „Ivory Coast” przeprowadzona w listopadzie 1970 r. Jej celem był obóz w So'n Tây, gdzie według danych wywiadowczych miało znajdować się kilkudziesięciu jeńców. W operacji wzięli udział żołnierze Sił Specjalnych USA (Zielone Berety), którzy przedostali się na teren obozu helikopterami. Komandosi wdarli się do budynków, ale cele, w których mieli być Amerykanie, były puste. Z powodu wyschnięcia obozowej studni władze DRW przeniosły ich wcześniej w inne miejsce. Doszło do trwającej 27 minut intensywnej strzelaniny, w której zdecydowanymi wygranymi byli Amerykanie – zabili kilkudziesięciu północnowietnamskich strażników, przy stratach własnych wynoszących jedynie dwóch rannych. Żołnierze lecący w jednym z helikopterów omyłkowo

desantowali się naprzeciwko budynków, które według części z nich okazały się... koszarami dla doradców z Chin i z Sowietów. Tutaj też udało się zlikwidować wielu komunistów przy zerowych stratach własnych, nie licząc helikoptera, który nie przetrwał nagłego lądowania w zbyt ciasnym podwórku. Nawiązując zatem do sensacyjnej fabuły: Rambo musiałby dysponować siłą równą wzmocnionemu plutonowi, wsparciem helikopterów oraz samolotów szturmowych, które odwracały uwagę północnych Wietnamczyków od tego, co się dzieje w So'n Tây. Rajd na So'n Tây nie uwolnił jeńców, o dziwo jednak poprawił ich los – wystraszeni komuniści skoncentrowali ich teraz we wspólnych pomieszczeniach, było też mniej tortur.

W 1973 r. doszło do rozmów pokojowych między DRW a USA. W wyniku operacji „Homecoming” komuniści wypuścili z niewoli 591 jeńców. Amerykanie nie mogli doliczyć się 2550. Z tej liczby 1,2 tys. sklasyfikowano jako „zabitych bez odnalezienia ciała”, a 1350 jako „zaginionych w akcji z ewentualnością trafienia do niewoli”. To ta ostatnia liczba stała się źródłem późniejszych kłopotów. Sprawą owych żołnierzy zajęła się senacka komisja Johna Kerry'ego, w której uczestniczył też John McCain. Raport z prac ogłoszono w styczniu 1993 r. W kwestii



John McCain (późniejszy senator) jako jeńiec wojenny w szpitalu w Hanoi. FOT. ARCHIWUM



■ ewentualnego pozostawienia jeńców bezpośrednio po operacji „Homecoming” w Indochinach jeszcze w latach 70. komisja stwierdziła: „Nie ma dowodów, iż nasi jeńcy przetrwali w niewoli, ale nie ma również dowodu na to, iż wszyscy, którzy nie wrócili [z Wietnamu – przyp. red.], polegli. Istnieją ponadto dowody, które mogłyby wskazywać na możliwość przetrwania, przynajmniej w małej liczbie, po operacji »Homecoming«”. Co do stanu na rok 1993, komisja stwierdziła: „Na dzień dzisiejszy nie ma przekonujących dowodów, które wskazywałyby, iż jacyś amerykańscy jeńcy żyją jeszcze w niewoli”. Dwóch senatorów zgłosiło wotum separatum, aktywiści działający na rzecz domniemanych przetrzymywanych jeńców nazwali zaś McCaina zdrajcą.

Oszuści i Eric Haney

Komisje komisjami, ale przeciętny Amerykanin wiedział swoje. W latach 80. w amerykańskich mediach pojawiali się weterani przeróżnych formacji US Army twierdzący, że właśnie szykują się do odbicia jeńców. Wszyscy okazali się hochsztaplerami, a kilku sprawiło wrażenie nie zrównoważonych psychicznie mitomanów. Jednym z nich był niejaki Jack Bailey, były porucznik US Air Force. Miał w Tajlandii statek „Akuna II” służący niegdyś do przemytu, który miał rzekomo służyć do transportowania uratowanych żołnierzy. Jak się jednak okazało, w czasie trwania całej hucpy stał dwa lata beczynnie w porcie. W książce „Vietnam shadows: The war, its ghosts, and its legacy” Arnold R. Isaacs opisuje działalność powstałej z inicjatywy Bailey’a spółki Operation Rescue. Bailey rozsyłał po całych Stanach listy namawiające do wpłat na szczytny cel: „Możesz zbudzić się jutro rano i dowiedzieć się, że pierwszy amerykański jeńiec został właśnie uwolniony. Tak bardzo jesteśmy blisko”. Na zlecenie Bailey’a działała profesjonalna firma zajmująca się zbieraniem funduszy Eberle and Associates. Przygotowała nawet odezwy pisane drżącą ręką przez rzekomych członków grup ratowniczych, w których proszono o wsparcie finansowe: „Wybaczenie charakteru pisma, ale piszę do was z pokładu »Akuny II« kołyszającej się na Morzu Południowochińskim”. Jak

wykazało późniejsze śledztwo senatu, w latach 1985–1990 Bailey uzbierał 2 283 472 dol. 88,8 proc. zysku poszło na promocję i dalsze łowienie naiwnych. Aby wzmocnić swą wiarygodność, Bailey ogłosił, że odnalazł ciała dwóch zestrzelonych w czasie wojny pilotów amerykańskich. Po jakimś czasie okazało się, że szczątki należały do zmarłych Wietnamczyków. Innym razem publikował zdjęcie mężczyzny łudząco przypominającego zaginionego amerykańskiego żołnierza. Na fotografii uwieczniony był jednak niemiecki przemytnik zajmujący się nielegalnym handlem ptakami egzotycznymi.

Innym hochsztaplerem działającym w latach 1981–1986 był Bo Gritz, były żołnierz Zielonych Beretów, który – jak wykazała gazeta „Soldier of Fortune” – zmyślił lwia część opowieści na temat swojego pobytu w Wietnamie. Zadanie, którego się podjął, wymagałoby jak najmniej rozgłosu. Gritz podróżował jednak w 1980 r. po Tajlandii i robił wszystko, aby usłyszano o nim jak najwięcej – kazał np. paradować swoim pracownikom w koszulkach promujących akcję odbicia jeńców z Laosu i DRW. Na akcję wyłudził nawet pieniądze od Clint’a Eastwooda, a na Florydzie założył „centrum treningowe”, gdzie ochotnicy, zamiast uczyć się technik walki, musieli spędzać czas na wysłuchiowaniu sekciarskich przemówień.

Sprawę odbicia jeńców można by zatem skwitować jako zbiorową histerię i machlojkę, gdyby nie jeden człowiek – Eric Haney. Żołnierz ten był operatorem amerykańskiej jednostki antyterrorystycznej Delta Force. Uczestniczył w formowaniu jednostki, walczył w Bejrucie, Hondurasie, Grenadzie, Panamie. Jego wspomnienia wydano również w Polsce. Haney poświęcił kilka stron książki na opis przygotowań do misji mającej uwolnić amerykańskich jeńców – przetrzymywanych już nie w DRW, ale w sąsiednim Laosie. Haney nie był oszustem, tak jak Bailey czy Gritz. Nikt do dziś nie kwestionuje nabytych przez niego umiejętności ani osiągnięć. Po opublikowaniu jego wspomnień wśród weteranów pojawił się jednak ferment, który mógłby podważyć wiarygodność autora. Jego byli koledzy oprócz zwykłego szpanerstwa zarzucali mu, że zmyślił kilka sytuacji, które miały

się zdarzyć w czasie misji Delt. Przygany owe dotyczą jednak nie Wietnamu, ale operacji w Hondurasie i Iranie. W pierwszej sytuacji kwestionowano, że Haney zastrzelił „odwroconego” dawnego

znajomka z Delt, który przystąpił do nikaraguańskich komunistów po tym, jak kilka lat wcześniej w dziwnych okolicznościach zniknął z wojska. W wątku irańskim Haney miał zaś zmyślić bójkę, do której miało dojść z anonimowym Irańczykiem podczas słynnej spalonej misji.

Tak czy inaczej według Haneya w roku 1981 Delta przygotowywała się do misji w Laosie. W czasie przygotowań komandosi ćwiczyli cały wachlarz działań: tankowanie w powietrzu na małej wysokości i symulowanie odbicia jeńców na prawdziwych pilotach, którzy przez kilka dni trzymani byli w warunkach jak najbardziej przypominających ostre więzienie. Gdy Delta szykowała się do wyruszenia, nagle w mediach pojawił się opisany wyżej Gritz. Misję odwołano, ale – o dziwo – rok później Delta rozpoczęła kolejne przygotowania do tej samej misji. I znów w kulminacyjnym momencie wszystko zniweczył znany hochsztapler.

Haney rzucił gorzko: „Zaczęłem wierzyć, że Gritza wykorzystali ludzie, którzy dobrze wiedzieli o jego skłonnościach”. Według byłego komandosa Delt sprawy jeńców wciąż przetrzymywanych w DRW lub Laosie po operacji „Homecoming” była przedmiotem tajnych targów między prezydentem Nixonem a Hanoi. Po aferze Watergate nowa administracja, bojąc się nastrojów antywojennych, ukręciła sprawę łeb rękami CIA. Haney konkluduje: „Na najwyższych szczeblach władzy nic nie jest ważniejsze niż kariera i reputacja. Dlatego wysiłki, by zlokalizować i uratować jeńców, musiały być zduszone w zarodku bez względu na koszt”.

W filmie „Rambo II” CIA w pewnym momencie skazuje Johna Rambo i uratowanych jeńców na zatracenie. Rambo dociera jednak do bazy i mści się na swoich zdrajcach.

Wychodzi na to, że Haney i jego koledzy z Delt mogliby stanowić pierwowzór sensacyjnego bohatera w większym stopniu, niż nam się wydaje.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Filmopedia[☆]

FILM

od 1946 roku

Największa baza
dorobku polskiej kultury filmowej
65 lat historii filmu | **2536** wydań

ODWIEDŹ STRONĘ
filmopedia.org
I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Projekt współfinansowany przez
Polski Instytut Sztuki Filmowej



POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ



Sławomir Koper

Młoda polska arystokratka została podwójną agentką, wywodząc w pole Niemców. Współpracowała m.in. z adm. Wilhelmem Canarisem

Klementyna Mańkowska pochodziła z bardzo zamożnej rodziny ziemiańskiej z Kresów, była córką ordynata na Wysuczce, Cyryla Czarkowskiego-Gołejewskiego. W 1933 r. wyszła za mąż za hr. Andrzeja Mańkowskiego, właściciela dóbr Winnogóra w Wielkopolsce, w prostej linii potomkiem gen. Jana Henryka Dąbrowskiego. Tuż przed wybuchem wojny Mańkowski został zmobilizowany i w stopniu porucznika trafił na front. Klementyna wraz z dwoma małymi synkami pozostała w Winnogórze.

Niebawem w majątku pojawili się oficerowie Wehrmachtu, pałac zajęto na potrzeby służby kwatermistrzowskiej. Hrabinie pozwolono jednak zajmować pokoje, które wybrała. Miała szczęście – oficerowie, którzy przybyli do pałacu, byli ludźmi z jej sfery. Szczególnie jeden z oficerów miał odegrać rolę w jej życiu: płk Ernst Georg, hrabia von Rothkirch.

Stosunki układały się tak dobrze, że niemieccy oficerowie pomogli nawet Klementynie odnaleźć ранego męża w szpitalu w Sochaczewie. Wszystko miało jednak swój kres. W grudniu Mańkowscy zostali wywłaszczeni, przy czym na spakowanie dostali zaledwie kwadrans. Wywieziono ich do Generalnego Gubernatorstwa. Trafili do Warszawy, gdzie w salonie hrabiny Teresy Łubieńskiej Klementyna poznała Stefana Witkowskiego, twórcę legendarnych „Muskietierów”. To właśnie tam hrabina została zwerbowana do konspiracji.

„Od początku Witkowski postanowił koncentrować swoje wysiłki na wywiadzie – wspominała Mańkowska. – Wyłożył mi swój pogląd na to, jak ważną rolę w walce z naszym okupantem mogłaby



FOT. ARCHIWUM

1910–2003 / Niezwykłe losy
Klementyny Mańkowskiej

Wojna i miłość pięknej hrabiny

odegrać dobrze zorganizowana przez ruch oporu w porozumieniu z okupantem siatka szpiegowska. Powiedział mi, że ma kontakty z Paryżem, Londynem i spodziewa się zrobić z nich dobry użytek. Moje stosunki z oficerami niemieckiego sztabu mogłyby w tym być bardzo użyteczne”.

Noirmoutier

Początkowo Witkowski zlecał Mańkowskiej łatwe zadania, z czasem jednak przygotował znacznie trudniejszą misję do wykonania.

„Nadszedł czas, żeby pani wyjechała do Francji – tłumaczył. – Wojna potrwa długo. Jest wielce prawdopodobne, że Niemcy zaatakują Francję. Wówczas będziemy musieli zorganizować łączność Polska-Francja-Anglia. Andrzej może wstąpić do armii polskiej we Francji, a pani musi się postarać urządzić na północy lub północnym zachodzie. W Normandii lub Bretanii”.

Arystokratyczne koneksje okazały się bardzo przydatne i Mańkowska wraz z mężem i dziećmi uzyskali wizę do Włoch. Andrzej udał się do Francji, gdzie wstąpił do armii polskiej, niebawem jego śladami podążyła Klementyna wraz z dziećmi. Trafiła do La Roche-sur-Yon, a następnie osiadła na wyspce Noirmoutier.

Niedługo po przybyciu Mańkowskiej na wyspę Wehrmacht rozpoczął ofensywę na zachodzie Europy i w czerwcu 1940 r. Francja skapitulowała. Noirmoutier znalazła się w strefie okupowanej, co zwiększyło możliwości wywiadowcze Klementyny. Znalazła bowiem zatrudnienie w miejscowym merostwie jako tłumacz, a do jej obowiązków należały kontakty z niemiecką komendanturą oraz strażą celną.

Hrabina Mańkowska była arystokratką, a to stawiało ją w uprzywilejowanej sytuacji nawet wobec okupantów. Gdy za współpracę z organizacją dostarczającą polskim żołnierzom dokumenty, cywilne ubrania i żywność została aresztowana przez gestapo, udało jej się wyjść z opresji.

Hrabinę przewieziono do więzienia w Nantes. Dostała pojedynczą celę. Gdy zaś przewożono ją do Rennes, oficer SS na jej sugestię zatrzymał się przed

jednym z lokali, aby Mańkowska mogła napić się kawy.

Po pierwszym dniu przesłuchań w Paryżu została zwolniona z więzienia (!) i odwieziona do ośrodka dla Polaków prowadzonego przez markizę de Bonnières, Polkę z pochodzenia. Następnego dnia wznowiono badanie w siedzibie gestapo, jednak hrabina została zwolniona. Dostała nawet bilet pierwszej klasy na pociąg, a przesłuchujący ją gestapowiec... zaprosił ją na wieczór do Opery Paryskiej.

Klementyna powróciła do Noirmoutier i ponownie podjęła pracę w charakterze tłumacza. Chętnie spotykała się z niemieckimi oficerami odwiedzającymi wyspę, starając się zapamiętać jak najwięcej z rozmów z nimi. Skrzętnie gromadziła dokumenty z wzorami druków i pieczętek, prosiła znajomych oficerów o listy polecające, mające jej ułatwić życie. W rzeczywistości uważała, że tego rodzaju dokumenty będą interesowały szefa „Muszkietierów”.

Dalsze sukcesy

Nie było to jednak proste zadanie, hrabina nie mogła pojechać do Warszawy bez odpowiednich zezwoleń. Szczególnie obiekcje miała centrala Abwehry. Mańkowska pojechała do Paryża i poprosiła o pomoc swojego niedawnego prześladowcę z gestapo, dr. Karla Schwerbla. Załatwił wszystkie potrzebne zezwolenia.

Na dworcu w Paryżu Klementynę skierowano do wagonu trzeciej klasy, jednak interwencja u niemieckiej obsługi

pociągu przyniosła sukces. Do Berlina dojechała w pustym przedziale zarezerwowanym dla kurierów.

Witkowski uznał informacje hrabiny za bardzo ważne i opracował z nią system kontaktów na terenie Francji. Przy okazji poinformował też, że interesuje się nią Abwehra, której funkcjonariusze mieli ją uważać za osobę bardzo inteligentną i niebezpieczną.

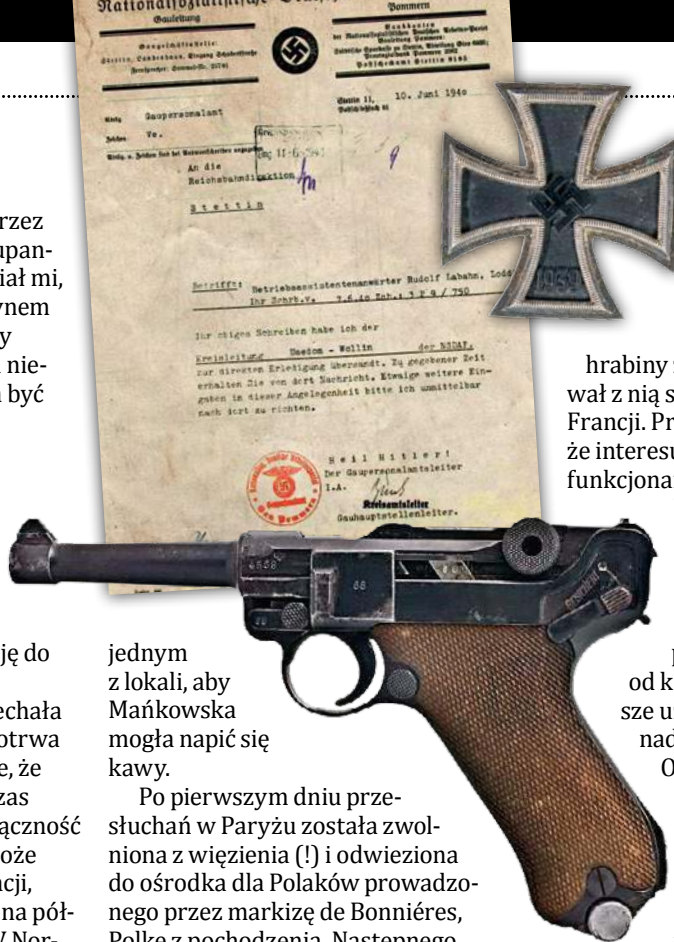
Po powrocie do Francji rzucała się w wir pracy konspiracyjnej, Abwehra także nie próżnowała. Obserwowano ją od kilku miesięcy, a funkcjonariusze uznali, że Mańkowska idealnie nadaje się na niemiecką agentkę. Oczywiście nic nie wiedzieli o jej kontaktach z „Muszkietierami”. W lipcu 1941 r. na Noirmoutier pojawił się oficer Abwehry, por. Hans Alexander. Zaproponował współpracę i zasugerował, że istnieje możliwość zwrotu posiadłości w Polsce.

Lwowska miłość

Hrabina była zachwycona, przy okazji postanowiła jednak załatwić kilka spraw. Postawiła warunek, że będzie musiała pojechać po swoją matkę przebywającą w Wysuczce, aby ściągnąć ją do siebie do opieki nad dziećmi. Dzięki temu mogła też udać się do Warszawy, aby odebrać instrukcje od Witkowskiego.

Klementyna pojechała przez Paryż i Berlin do Warszawy, gdzie złożyła meldunek Witkowskiemu. Następnie otrzymała zgodę od władz niemieckich na podróż do Lwowa przez Kraków. Tereny, gdzie znajdował się majątek jej rodziców, niedawno zostały zajęte przez Wehrmacht i podróż tam uznawano za dość ryzykowną.

Nie wiadomo, jak zakończyłaby się cała eskapada, gdyby nie przypadkowe spotkanie we Lwowie. Załatwiając dokumenty na dalszą podróż w komendanturze Wehrmachtu, hrabina zauważyła na jednym z pokoi tabliczkę z nazwiskiem generała, hrabiego von Rothkircha, którego poznała w Winnogórze jesienią 1939 r. Niemiec natychmiast się nią zajął, zorganizował podróż do Wysuczki,



■ praktycznie nie odstępował jej we Lwowie ani o krok. Zapraszał ją na kolacje...

Sprawiał wrażenie zakochanego, a chyba i Mańkowskiej nie był obojętny. Niemiec zadbał o wszystko – Mańkowska pojechała w rodzinne strony pociągiem, potem specjalnie podstawionym samochodem. Spotkała się z matką, która żyła w domu zarządcy folwarku. Pałac bowiem został zrujnowany przez Sowietów. Starsza pani bardzo ucieszyła się z wizyty córki, jednak odmówiła wyjazdu do Francji. Nie chciała opuszczać stron, w których przeżyła najpiękniejsze chwile życia, postanowiła też czekać na męża, którego wywieźli Sowietci. Nie wiedziała wówczas, że został zamordowany w ramach zbrodni katyńskiej.

Pomimo złożonej obietnicy gen. von Rothkirch nie czekał na Klementynę na dworcu. Został nagle przeniesiony do Kijowa, zdołał jednak wysłać po hrabinę kierowcę i zamówił do pokoju hotelowego duży bukiet róż w kolorach białym i czerwonym. Dołączony do niego był jego list:

„Żło, które miało się stać, nadeszło. SS i gestapo przejmują władzę w prowincji Lemberg. Proszę, aby Pani szybko wracała do Francji. Będę oczekiwał trzeciego skrzyżowania naszych dróg. Marzę o tym. Z całego serca zawsze przy Pani. E.R.

P.S. Ma pani zarezerwowane miejsce w pociągu do Warszawy na wtorek 18 listopada na godzinę 20.20. Proszę zniszczyć ten list”.

Spotkanie z Canarisem

W Warszawie przygotowano dla niej materiały, które miała dostarczyć do Anglii. Część, w postaci mikrofilmów, trafiła do specjalnie przygotowanego portfela, natomiast część zasyty w odpowiednio spreparowanej damskiej halce.

Mańkowska powróciła do Noirmoutier, często jednak wyjeżdżała do Paryża, gdzie spotykała się z por. Alexandrem. Udało się jej go przekonać, że zabierze ze sobą do Anglii dzieci, przy okazji podpisała jednak zobowiązanie do współpracy z Abwehrą. Została oficjalnie przeniesiona na posadę tłumacza do Tours, lecz w rzeczywistości przechodziła inten-



Inżynier Stefan Witkowski, szef „Muszkietierów” FOT. ARCHIWUM

sywne szkolenie pod okiem oficerów Abwehry. Szczególną uwagę poświęcono metodom szyfrowania i komunikacji.

Pewnego dnia por. Alexander polecił jej przygotować kolację na 12 osób. Wśród gości miał być przybyły z Berlina kmdr von Bonin. Hrabina poznała go kilka godzin przed przyjęciem, gdy zaprosił ją na rozmowę w cztery oczy. Rzekomym komandorem okazał się szef Abwehry, adm. Wilhelm Canaris.

„Spotkałem w Berlinie mojego przyjaciela – mówił Canaris – generała, który został właśnie przeniesiony ze Lwowa do Kijowa. Kiedy dowiedział się, że jadę do Francji, uparczywie nalegał, abym czuwał nad osobą szczególnie mu drogą. Obiecałem mu, że zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, i pomogę pani. I jeszcze jedno: po przybyciu do Anglii proszę nie podejmować żadnej działalności dla nas”.

W Anglii

Przerzut hrabiny wraz dziećmi do Anglii odbył bez większych problemów, jednak Mańkowska, spotykając się z polskimi oficerami wywiadu, dostrzegła ich ogromną niechęć do „Muszkietierów” i Witkowskiego. Nie wiedziała, że w tym czasie w Warszawie dobiegł końca ostatni akt tragedii Witkowskiego, który został skazany na karę śmierci przez AK i zastrzelony.

Tak jak było to ustalone w Warszawie, została aresztowana na angielskim lotnisku. Podały to oficjalnie media, co dla jej współpracowników w okupowanym kraju było sygnałem, że misja się powiodła. Przez najbliższe tygodnie zeznawała Anglikom o wszystkim, co wydarzyło się w jej życiu od 1939 r.

Przesłuchujący Mańkowską brytyjski oficer poradził jej, aby nie została w Londynie. Bardziej dosadnie ujął to gen. Sosnkowski, który powiedział, że musi jak najszybciej opuścić brytyjską stolicę, gdyż zechcą się jej pozbyć. Stwierdził, że o wypadek na ulicy nietrudno... Załatwił jej posadę sekretarki w szpitalu w Edynburgu, a wraz z nią do Szkocji wyjechały dzieci. Wielkim plusem przyjazdu do Anglii było spotkanie z niewidzianym od trzech lat mężem.

Ostrzeżenie Sosnkowskiego nie było żartem – współpraca z „Muszkietierami” kończyła się źle. W 1951 r. na francuskiej Riwierze została zamordowana wdowa po marszałku Śmigłym-Rydzem, która miała dokumenty „Muszkietierów”.

Ostatnie lata

Mańkowsy zdawali sobie sprawę z zagrożenia, dlatego niebawem po wojnie wyjechali na wiele lat do Konga, czasami tylko odwiedzając Londyn. Tam hrabina dowiedziała się, że polski rząd emigracyjny zaprotestował przeciwko przyznaniu jej brytyjskiego Krzyża Jerzego, uznając, że nie może go otrzymać była podwładna Witkowskiego. Ale przyznano jej polski Krzyż Zasługi z Mieczami.

„W lipcu 1952 r. – wspominała Mańkowska – otrzymałam długi list od rotmistrza von Nickischa-Rosenegka, który we wrześniu 1939 r. kwaterował w naszym pałacu. »Całkiem niedawno spotkałem w Monachium generała von Rothkircha. Na moje pytanie, czy się ożenił, odpowiedział ze smutkiem: «Nie, ciągle czekam na trzecie skrzyżowanie mojej drogi z drogą tej, którą kochałem i będę kochał przez całe życie. Być może jestem romantykiem, ale nic na to nie poradzę. Szukałem jej, ale wszystkie moje poszukiwania były daremne»«”.

Hrabina nie odpowiedziała na ten list, a Nickisch nie przyznał się, że znał jej adres. Dlatego też nigdy nie doszło do ponownego spotkania tych dwojga bliskich sobie ludzi.

Wiele lat po wojnie Mańkowsy przenieśli się na wyspę Noirmoutier, a potem do pałacu Sermoise nieopodal Nevers. Andrzej Mańkowski zmarł w październiku 2001 r., a żona podążyła za nim półtora roku później. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

XXVII TARGI KSIĄŻKI HISTORYCZNEJ

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE – MUZEUM, ARKADY KUBICKIEGO

WSTĘP WOLNY

niepodległa

POLSKA
STULECIE ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI

Projekt realizowany
w ramach obchodów stulecia
odzyskania niepodległości

29 LISTOPADA – 2 GRUDNIA 2018 R. GODZ. 10:00-18:00



1918-2018

Patronat Narodowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy
W STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

TARGI KSIĄŻKI
HISTORYCZNEJ



www.historiaikultura.pl

Ponad 200 wystawców z całej Polski • Największa oferta książek historycznych • IX Salon Książki Muzealnej
Pokazy grup rekonstrukcyjnych • Zajęcia dla młodzieży i dzieci • Konferencje i spotkania z autorami

Organizatorzy



NARODOWY
INSTYTUT MUZEALNICTWA
I OCHRONY ZBIORÓW



Stowarzyszenie
Muzeów Publicznych
Oddział Warszawski



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

eprasa.pl d758284998

Samospalenie Ryszarda
Siwca na Stadionie
Dziesięciolecia
w Warszawie FOT. IPN

1968 r. / 50. rocznica śmierci Ryszarda Siwca



rozmawia Piotr Włoczyk



Usłyszcie krzyk mojego ojca!

/ – Początkowo nie domyślałem się, jak dramatyczna była prawda na temat okoliczności śmierci mojego ojca. Tylko mama знаła całą prawdę – mówi Wit Siwiec, syn Ryszarda Siwca

PIOTR WŁOCZYK: Z jaką wiedzą siedł pan na pogrzeb swojego ojca?

WIT SIWIEC: „Tata zginął w Warszawie w wypadku samochodowym” – tylko tyle powiedziała nam mama. Oprócz mnie w domu byli jeszcze: dwie starsze siostry i dwóch młodszych braci. O szczegóły wtedy jeszcze nie dopytywałem, zresztą rodzeństwo też nie poruszało tego tematu w pierwszych dniach, tygodniach. Do myślenia dało mi jednak to, jak wyglądał u nas w Przemyślu dzień pogrzebu.

W jakim sensie?

Ojca żegnały tysiące ludzi, to naprawdę było morze głów. Zastanawiało mnie, dlaczego tylu ludzi przyszło na pogrzeb człowieka, który – jak wtedy myśleliśmy – zginął w wypadku?

Szliśmy na piechotę. Milicja zablokowała pobliskie ulice. Im bliżej byliśmy cmentarza, tym więcej schodziło się ludzi. Nawiasem mówiąc, w 2013 r. uczestniczyłem w Przemyślu w pogrzebie abp. Ignacego Tokarczuka, człowieka bardzo zasłużonego i bardzo znanego. Jestem pewien,

że na pogrzebie arcybiskupa nie było tylu ludzi, ilu przyszło wtedy pożegnać mego ojca... Te tłumy były dla mnie pierwszym znakiem, że w śmierci ojca musiało być coś niezwykłego.

Potem były kolejne sygnały?

Kilka dni po pogrzebie podszedł do mnie na szkolnym korytarzu nauczyciel i powiedział: „Wit, twój ojciec był wielkim bohaterem”. Zaczęłam się zastanawiać, co takiego zrobił ojciec, że zasłużył sobie na takie słowa? Czy człowiek, który zginął w wypadku samochodowym, mógł się nagle stać bohaterem? Wiedziałem wtedy, że ojciec był bardzo dobrym człowiekiem, ale nie widziałem w jego życiu niczego tak spektakularnego, co pozwalałoby go nazywać bohaterem. Wtedy jeszcze nie domyślałem się, jak dramatyczna była prawda na temat okoliczności śmierci mego ojca. Tylko mama znała całą prawdę. Wiedziała o tym, ponieważ rozmawiała z ojcem w szpitalu w Warszawie.

Ryszard Siwiec dokonał aktu samospalenia 8 września 1968 r., podczas centralnych dożynek na warszawskim Stadionie Dziesięciolecia w obecności 100 tys. widzów. Na trybunach była wówczas cała hierarchia partyjna, z Władysławem Gomułką na czele. Po rozruczeniu ulotek pański ojciec – płonął – krzyczał jeszcze, dlaczego to robi. Powtórzył to wszystko w rozmowie z pańską matką następnego dnia?

Tak. Tato jeszcze był przytomny i mama mogła z nim rozmawiać. Tłumaczył, że był to akt protestu przeciw komunistycznej agresji na Czechosłowację. Mówił, że musiał sięgnąć po ostateczny środek, żeby wstrząsnąć ludźmi, obudzić w nich sprzeciw wobec tego nieludzkiego systemu. Tylko co mama miała powiedzieć swoim dzieciom? Jak mogła im od razu powiedzieć prawdę? Kto by to zrozumiał? Przecież świadome wybranie śmierci w taki sposób wydaje się czymś niepojętym.

Początkowo byłem posłuszny mamie – temat nie istniał. Pochowaliśmy tatę i – tak jak życzyła sobie tego mama – nie rozmawialiśmy o tym. Jednak tygodnie, miesiące później ta sprawa coraz bardziej nie dawała mi spokoju. Zaczęłam szukać prawdy. Nie dowiedziałem się jej jednak od mamy, tylko od znajomych rodziców. Kiedy już mniej więcej wiedziałem, co się stało, stanąłem przed mamą i zapytałem ją o tamten dzień. Mama wyznała mi z bólem prawdę. To już było po tym, gdy Radio

Wolna Europa podało niepełną informację o czynie ojca.

Miał pan wtedy 17 lat. Jakie wrażenie zrobiła na panu prawda?

Wiedząc, jak zginął mój ojciec, zacząłem rozumieć, z jakimi myślami siedł na stadion z rozpuszczalnikami w tecze, ale nie mogę powiedzieć, że w pełni to wówczas rozumiałem. Myślę, że dopiero po wielu, wielu latach, gdy dorosłem, nabrałem życiowego doświadczenia, zrozumiałem, dlaczego ojciec to zrobił.

Jak pan dziś na to patrzy?

Poświęcenie ojca jest czymś niesamowitym, niewyobrażalnym. Przecież śmierć w płomieniach jest potwornie bolesna, każdy zdaje sobie z tego sprawę. W pełni świadome wybranie takiego losu w proteście przeciw niesprawiedliwości to według mnie absolutny szczyt bohaterstwa. W filmie dokumentalnym z 1991 r. o moim ojcu pt. „Usłyszcie mój krzyk” powiedziałem, że od kiedy dotarło do mnie, kim był mój ojciec, nie muszę szukać innych wzorców w życiu. Mój bohater, wzorzec, cały czas żył ze mną w jednym domu.

Jeszcze zanim pański ojciec umarł, w czasie pobytu w szpitalu, komuniści próbowali zrobić z niego szaleńca...

Chociaż biorę poprawkę na to, że ci ludzie byli zdolni do najgorszych podłości i że nie był to pierwszy raz, gdy swojego przeciwnika komunisty nazywali wariatem, to kłamstwo szczególnie bolało moją rodzinę. To było jak posypywanie rany solą.

Spiker radiowy, który 8 września 1968 r. relacjonował dożynki na Stadionie Dziesięciolecia, stwierdził w filmie „Usłyszcie mój krzyk”, że protest pańskiego ojca nie był skuteczny, bo w transmisji na żywo wydarzenie to zostało przemilczane – na płycie trwały akurat tańce. Jego zdaniem byłoby lepiej, gdyby pański ojciec zrobił to w czasie przemówienia Władysława Gomułki. Wtedy – jego zdaniem – nie dałoby się przemilczeć tego protestu.

Każdy ma prawo do własnej oceny. Być może w dniu, gdy mój ojciec płonął na stadionie, jego protest nie był tak bardzo skuteczny (choć zapewne ojciec liczył na to, że świat się o tym szybko dowie – dlatego wybrał takie, a nie inne miejsce). Myślę jednak, że dzisiaj – jeżeli ktokolwiek miał co do tej sprawy wątpliwości – widać, że jego czyn przyniósł skutek.

W nagrany tuż przed śmiercią przesłaniu mój ojciec apelował przecież do młodzieży: najpierw ze Związku Sowieckiego, a potem szerzej – do młodzieży z całego świata, żeby nie służyła kłamstwu. Ojciec wznosił się tym samym ponad wszelkie podziały, bo to przesłanie jest uniwersalne. To dla mnie niesamowity tekst. Jego apel skierowany był oczywiście głównie do jego rodaków, ale to było posłanie do wszystkich i na przyszłość: nie dajcie się wykorzystywać nieludzkim systemom. Myślę, że echo tego przesłania jest częścią szerszego procesu powrotu do wartości patriotycznych, co widać u dzisiejszej polskiej młodzieży.

Zwykle po takich niewygodnych dla władz PRL zgonach pojawiała się wokół rodziny Służba Bezpieczeństwa, która starała się nie dopuścić do rozgłaszania prawdy, czasem wręcz zastraszala bliskich. Zaobserwował pan po pogrzebie ojca jakąś specjalną „opiekę”?

Tak, esbecja krążyła wokół nas. Nawet ja – młody przecież chłopak – miałem wówczas własnego „opiekuna”. Codziennie rano czekał na mnie w bramie po przeciwnej stronie ulicy i podążał za mną przez cały Przemysł aż do szkoły. Jechał ze mną tym samym autobusem, odprowadzał mnie pod drzwi szkoły. Po lekcjach to samo w drugą stronę. Gdy tylko zauważyłem, że mam „ogon”, zacząłem chodzić do szkoły na piechotę różnymi drogami, ale mój „opiekun” nie odstępował mnie na krok. Ta gra skończyła się na wiosnę, kiedy przesiadłem się na rower.

Dlaczego Ryszard Siwiec – filozof wykształcony na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie – po wojnie nie zdecydował się na pracę w edukacji? Zamiast tego współprowadził w Przemysłu wytwórnię wina, a po nacjonalizacji tego przedsiębiorstwa stał się jego pracownikiem.

Ojciec nie chciał pracować w komunistycznej oświacie, chociaż miał taką propozycję po wojnie. Po prostu nie miał zamiaru legitymizować w żaden sposób systemu, który zaprogramowany był na niszczenie młodego pokolenia polskich patriotów. Ojciec od samego początku wiedział, czym grozi Polsce komunizm, jak groźna jest ta choroba.

Co wiadomo o wojennych losach pańskiego ojca?

Na tym polega całe nieszczęście – ojciec nie opowiadał o swojej przeszłości, nie kreował się na bohatera. Dzisiaj przecież każdy lubi robić z siebie wielkiego



Ryszard Siwiec chwilę po ugaszeniu na nim płomieni
FOT. IPN

■ bojownika. Często widzę to na uroczystościach ku czci mojego ojca – oficjele nierzadko opowiadają więcej o swoich dokonaniach w czasie walki z komuną niż o moim ojcu. To był zupełnie inny typ człowieka. Zachowywał to wszystko dla siebie. Dopiero po latach odnaleźliśmy ciekawe zdjęcia taty z okresu wojny. Wydobyliśmy też pewne historie od osób, z którymi się wtedy przyjaźnił. Wiadomo, że ojciec zniknął z Przemyśla i działał w AK w Lasach Janowskich.

O tym, że był bardzo aktywny w czasie wojny, świadczą jego przyjaźnie z tamtych lat. Ojca odwiedzało wielu AK-owców, ich opowieści były fascynujące. Nawiasem mówiąc, ojciec nie miał pochmurnego usposobienia, potrafił być duszą towarzystwa, świetnie wychodziło mu zabawianie gości. Uwielbiał angielski humor.

We wspomnianym filmie dokumentalnym „Usłyszcie mój krzyk” znajoma pańskiego ojca mówiła, że niedługo przed jego aktem protestu dało się wyczuć, że był jak wulkan, w którym zbiera potężne wzburzenie.

Ja tego nie zauważyłem. Myślę, że nikt z rodziny tego nie widział. Ojciec wydawał się z mojej perspektywy cały czas taki sam. Rozmawiałem potem z mamą o tym wszystkim. Powiedziała mi, że tata w okolicy ostatnich Świąt Wielkanocnych był bardzo zamyślony, zachowywał się inaczej. Myślę jednak, że nie mogła przypuszczać, iż ojciec rozmyślał już nad swoim protestem. Chociaż oczywiście tą kroplą, która przelała w jego przypadku czarę goryczy, była inwazja na Czechosłowację, do której doszło w sierpniu 1968 r.

Ta niezgoda na PRL siedziała w nim bardzo głęboko, ale ojciec był generalnie spokojnym człowiekiem. Niezwykłe

rzadko zdarzały mu się wybuchy. Bardzo interesował się tym, co robimy w szkole. Pamiętam, że przyszedł kiedyś do mnie i powiedział: „Pokaż, czego tam was uczą o historii”. Dałem mu podręcznik – przeczytał o II wojnie światowej coś, co nim wstrząsnęło. Cisnął książką z całej siły o podłogę. Bałem się wtedy, że będę miał w szkole nieprzyjemności z powodu potarganego podręcznika. Szczególnie bolały ojca kłamstwa, które komuniści wtłaczali młodzieży do głów.

Jakie miał na to antidotum?

Radio to była u nas podstawa. Pierwszą rzeczą, którą ojciec robił po przyjściu z pracy, było włączenie Radia Wolna Euro-

pa. Rytuałem było jedzenie obiadu przy tym radiu.

O Katyniu dowiedziałem się oczywiście od ojca. Od dziecka wiedziałem, co tam się stało. Z tego wynikały zresztą pewne kłopoty w szkole. Człowiek jako dzieciak nie miał problemów, żeby na historii powiedzieć pani nauczycielce przy całej klasie, że pewne sprawy wyglądały zupełnie inaczej, niż opisuje to podręcznik. Efektem było oczywiście wezwanie do szkoły rodziców, żeby wytłumaczyli dziecku, że to wcale nie było tak, jak to było w rzeczywistości.

Ojciec chwalił pana za takie wystąpienia?

Mówił mi, że dobrze jest mówić prawdę, ale uczył mnie, żebym nie przekraczał pewnej granicy oporu, bo przecież szkołę trzeba było skończyć...

Pańska siostra powiedziała we wspomnianym już filmie dokumentalnym: „Ojciec był bardzo prawym człowiekiem. Tak prawym, że czasem trudno to było znieść”.

Tato miał bardzo ostry kodeks moralny, którym się kierował: „Tak, tak; nie, nie”. Miał po prostu alergię na kłamstwo. Pomimo że był – jak to siostra ujęła – człowiekiem prawym aż do bólu, był wspaniałym ojcem. Bardzo wrażliwym, ciepłym. Bardzo się interesował naszym życiem.

Po Ryszardzie Siwcu zostało kilka niesamowitych pamiątek. Chyba najbardziej znaną jest nagranie z jego przesłaniem, które zrobił tuż przed swoim protestem. Jest też pożegnalny list, który pański ojciec napisał do matki, jadąc tamtego dnia do Warszawy. Przechwyliła go jednak SB i dotarł do państwa dopiero po 22 latach. Co jeszcze zostało panu po ojcu?

Tamtego ranka tato wszedł do pokoju, w którym spałem, i zapytał mnie, czy zamienię się z nim na zegarki. Powiedziałem, że tak, i wtedy tato zostawił swój zegarek na szafce nocnej, a zabrał mój. Potem nachylił się nade mną, zrobił mi na czoło znak krzyża i pocałował...

Nie da się nie zauważyć, że od dobrych kilku lat w Polsce widać „boom” na upamiętnianie bohaterów walki o wolność. Jak Polska zadbała o pamięć o Ryszardzie Siwcu?

W tym roku przypada 100. rocznica odzyskania niepodległości, a we wrześniu obchodziliśmy 50. rocznicę śmierci mojego ojca. Zostałem zaproszony do Warszawy, poszedłem pod pomnik ku pamięci ojca pod Stadionem Narodowym.



Upamiętnienie Ryszarda Siwca przy Stadionie Narodowym w Warszawie
FOT. WIKIPEDIA

Byłem tam dokładnie 8 września. Prawdę mówiąc, przykro mi się zrobiło, gdy zobaczyłem to miejsce. Zarośnięte krzakami, sam pomnik zaniedbany, w pajęczynach... Pod pomnikiem leżały dwa wieńce. Jeden od „braci Czechów”. Drugi podpisany: „Bracia Słowacy”. Trzeciego nie było...

Chce pan powiedzieć, że Ryszard Siwiec więcej znaczy dla naszych południowych sąsiadów niż dla nas?

Na to by wyglądało. Jestem im ogromnie wdzięczny, bo to właśnie Czesi jako pierwsi uhonorowali mojego ojca. W Polsce dopiero Kwaśniewski przypomniał sobie, że był ktoś taki jak Ryszard Siwiec, i postanowił ojca odznaczyć pośmiertnie.

Ucieszyło to państwa?

Nigdy w życiu. Jako rodzina powiedzieliśmy zgodnie: „nie”. Nie można przyjąć nagrody od przedstawiciela opcji, która była katem dla Polaków. Dla nas prezydentura Kwaśniewskiego była przedłużeniem władzy przyniesionej na sowieckich tankach. Zgodziliśmy się dopiero na upamiętnienie ojca przez śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Jak przez te wszystkie lata wyglądała walka rodziny o pamięć o Ryszardzie Siwcu?

Absolutnie przełomowy dla pamięci o ojcu był film Macieja Drygasa „Usłyszcie mój krzyk”, który ukazał się w 1991 r. Ten dokument najbardziej przyczynił się do opowiedzenia jego historii. Jednak już wcześniej, jeszcze za czasów PRL, staraliśmy się coś zrobić w tej sprawie.

W 1979 r. wydaliśmy broszurę o ojcu, która miała kilkanaście stron. To była pierwsza próba opowiedzenia świata historii Ryszarda Siwca. Stała za tym cała rodzina.

Kiedyś, już po upadku komunizmu, zostałem zaproszony do Czech na wystawę poświęconą ludziom niezłomnym, walczącym z tamtym systemem. Jej początek poświęcony był mojemu ojcu – w dużym formacie wydrukowano kilka stron z tej broszurki. Powiedziałem wtedy organizatorom: „Słuchajcie, ale to, co tam napisałem, to nie jest do końca prawda”.

Jak to?

Po prostu moja wiedza z 1979 r. była niepełna, momentami nawet nieprawdziwa. Przykładowo napisałem, że ojciec wbiegł na płytę stadionu, machając polską flagą i wołając: „Za wolność waszą i naszą”, a następnie podpałił się. Potem okazało się, że to oczywiście była nieprawda. Ojciec podpałił się, stojąc na trybunach. Moi rozmówcy odpowiedzieli jednak: „To jest nieistotny szczegół”.

Okazało się, że dla nich najważniejsze było sedno protestu ojca – człowiek podpałił się, by wyrazić swój sprzeciw wobec niewolenia innych narodów. Aby wstrząsnąć sumieniami innych ludzi.

Nasza rodzinna broszura trafiła w końcu do rąk prezydenta Václava Havla. Po zapoznaniu się z nią prezydent Havel stwierdził, że trzeba uhonorować ojca. Zastanawia mnie tylko, dlaczego Jan Palač, który cztery miesiące po moim ojcu dokonał samospalenia w akcie protestu,

jest tak ważny dla Czechów, a w Polsce Ryszard Siwiec nie jest tak szeroko znany...

Na pewno duma z ojca miesza się u pana z żalem, że odszedł przedwcześnie.

Oczywiście, to się ze sobą łączy, ale dziś czuję jednak więcej dumy, że ojciec znalazł w sobie tyle siły, by wykrzyzczeć w tak spektakularny sposób swój protest. Mamie było oczywiście bez ojca bardzo ciężko utrzymać rodzinę, ale wspinała sobie poradziła w tych ciężkich warunkach – pokazała w ten sposób mnóstwo siły.

Gdyby wiedział pan tamtego poranka, jak to wszystko się skończy, próbowałby pan zatrzymać ojca w domu?

Mimo wszystko myślę, że pozwoliłbym mu wyjść z domu... Ojciec był świadomy tego, co miał zamiar zrobić, i naprawdę chciał wykrzyzczeć głośno, że nie godzi się na niewolenie ludzi. Trzeba to uszanować.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Wit Siwiec

(ur. 1952 r.) jest synem Ryszarda Siwca, który w 1968 r. dokonał samospalenia na Stadionie Dziesięciolecia w geście protestu przeciw inwazji na Czechosłowację. Wit Siwiec był działaczem Solidarności, w stanie wojennym został internowany.

REKLAMA



Przestroga historii dla współczesnych polityków i wyborców.

„The Times”

Byłam sekretarką Goebbelsa

PATRONI
MEDIALNI



lubimyczytać.pl

HISTORYKON.PL



HISTORIA .ORG.PL



Związek Sowiecki / Kat i organizator łagrów

Władca GUŁagu



Mikołaj Iwanow

**/ Dmitrij
Uspienski kazał
rozbierać się do
naga młodym
kobietom przed
rozstrzelaniem**

Stalinowski Związek Sowiecki był totalitarnym państwem, w którym bezwzględny krwawy terror harmonijnie współistniał z demagogią. Państwowy i najbardziej sprawiedliwy system społeczny – komunizm. Paradoksalnie, ta swoiście rozumiana „sprawiedliwość społeczna” opierała się przede wszystkim na przymusie i krwawym terrorze, a nie na – jak pisano w programach partyjnych – na wychowa-



Więźniowie łagrów byli niewolnikami skazanymi na zagładę. FOT. ARCHIWUM

ofiarności w walce o nowy „wspaniały” ustroj komunistyczny, podczas wielkiego terroru stali się, według Stalina, przykładami tchórzostwa i zdrady, „wściekłymi psami kapitalistycznymi”, których należało bezwzględnie zniszczyć.

W przeciwieństwie do stalinowskiego reżimu niemiecki system narodowosocjalistyczny był jasny i przejrzysty. Tutaj też rządził terror, ale jasno określony, mający konkretnych wrogów: Żydów, Romów, homoseksualistów i innych. Żyd był wrogiem numer jeden i jako taki był skazany na zagładę.

A w Związku Sowieckim panowała skrajna demagogia. W 1936 r. Rada Najwyższa ZSRS zatwierdziła nową konstytucję, która obywatelom Kraju Rad gwarantowała wszystkie podstawowe swobody demokratyczne. I prawo do sprawiedliwego sądu, co w czasie wszechwładzy zbrodniczych „trójek” NKWD, skazujących na rozstrzelanie praktycznie bez sądu i wysłuchania nawet oskarżonych, można oceniać jako triumf skrajnej demagogii.

Kolejną cechą charakterystyczną terroru komunistycznego była jego dwulicowość. Najbardziej jaskrawo przejawiała się ona w pierwszej połowie lat 30., jeszcze przed rozpoczęciem wielkiego terroru. Partyjna machina propagandowa nie szczędziła wysiłków, aby przedstawić terror jako najlepszy środek wychowania wrogów ustroju, sposób tworzenia „nowego człowieka komunistycznego” bezgranicznie oddanego nowej władzy. Teoretycznie funkcjonariusze każdego łagru mieli być wychowawcami i nauczycielami, a więźniowie posłusznymi uczniami. W rzeczywistości NKWD-ziści byli katami, a więźniowie niewolnikami, skazanymi na przymusową pracę i zagładę.

Historia komunistycznego terroru to dzieje wyjątkowej zbrodni, ale nawet na tle tej ohydnej krwawej łaźni, urządzonej przez Stalina i jego otoczenie, mogą wprawić w osłupienie zwykłego czytelnika.

Syn księdza

Wyjątkowym zbrodniarzem był Dmitrij Uspienski. Kat na miarę tych z niemieckich obozów w Auschwitz-Birkenau, Majdanka i Treblinki. Najciekawsze w jego biografii jest to, że gdy Stalin, kończąc lata wielkiego terroru w roku 1939, zdecydo-

wał się zniszczyć prawie wszystkich jego wykonawców, Uspienski ocalał. Dlaczego?

Dmitrij Uspienski urodził się w 1902 r. w rodzinie prawosławnego księdza. Tym pochodzeniem nie pasował do nowej bolszewickiej władzy. Aby jednak uzyskać zaufanie bolszewików, dokonał rzeczy niespotykanej, nawet w czasie panującego w Rosji czerwonego terroru – zabił własnego ojca. Czyn ten od razu otworzył mu drzwi do krwawej Czeki, na której czele stał Feliks Dzierżyński i z którą był związany od 1920 r. aż do końca swego długiego życia. Wpisywał ten ohydny czyn ojcostwa do swej biografii czekisty jako dowód swej twardości klasowej i wierności partii komunistycznej.

Kariera w szeregach Czeki początkowo nie wyróżniała się zbyt na tle innych zwolenników łatwych rozpraw z „nienawidzonymi burżujami”. Jednak wizerunek ojcostwa wzbudzał mieszane uczucia nawet wśród czekistów, których jeszcze obowiązywał wprowadzony przez Dzierżyńskiego kodeks „bolszewicko-czekistowskiej sprawiedliwości”. Wszystko się zmieniło po śmierci Dzierżyńskiego w 1926 r. Czeki, przemianowana na OGPU, potrzebowała morderców ze skłonnościami sadystycznymi. Przyszedł więc czas dla takich ludzi jak Uspienski.

W 1927 r. Uspienski został skierowany na Wyspy Sołowieckie, gdzie był największy obóz koncentracyjny ZSRS. Został szefem obozowego wydziału wychowawczo-edukacyjnego. Wydział ten nie miał prawie nic wspólnego z wychowaniem, a tym bardziej z edukacją. Szef wydziału przez więźniów był nazywany „katem-wielbicielem”, bo lubił brać udział w egzekucjach. Wymyślał wówczas najbardziej sadystyczne metody zagłady. Zasmakował w rozstrzelaniu młodych kobiet. Przed egzekucją zmuszał je do rozbierania się do naga. W sołowieckim archiwum zachowało się kilka rysunków wykonanych w tej sytuacji przez Uspienskiego. Informacja o tych upodobaniach Uspienskiego dotarła do kierownictwa GPU – NKWD. Uspienski musiał zaniechać podobnych praktyk, jednakże przezwisko „kat-malarz” towarzyszyło mu do końca życia.

W nocy z 28 na 29 października 1928 r. pod kierownictwem Uspienskiego rozstrzelano ponad 400 więźniów. Wielu z nich zamordował on sam. Zostało to docenione. Uspienski awansował na naczelnika sołowieckiego łagru. Pod jego

niu przez edukację nowego człowieka. Był to terror tak okrutny, że zapisał się jako jedno z najgorszych doświadczeń w ciągu całej historii cywilizacji.

Ideologiczną podstawą sowieckiego terroru była sformułowana przez Stalina koncepcja „zaostrożenia się walki klasowej w toku procesu zakończenia zbudowania społeczeństwa socjalistycznego”. Według Stalina partia miała się przygotować do kolejnego śmiertelnego starcia z wrogami ustroju. „Nigdy nie istniała sytuacja, w której odchodzące klasy dobrowolnie oddawały swe pozycje – mówił Stalin w lipcu 1928 r. na plenum KC WKP(b) – i nie próbowały organizować sprzeciwu. Nigdy nie było ani nigdy nie będzie tego, aby ruch klasy robotniczej ku socjalizmowi w warunkach społeczeństwa klasowego nie powodował walki i niepokoju. Odwrotnie, ruch ku socjalizmowi nie może nie powodować wzrostu przeciwdziałania elementów wyzyskujących. Ten opór eksploatatorów nie może nie prowadzić ku niechybnemu zaostrożeniu się walki klasowej”.

Terror komunistyczny to gra bez reguł. Nawet poplecznicy Lenina, starzy bolszewicy, którzy początkowo byli ostoją nowej władzy komunistycznej i uosabiali symbole niezłomności oraz



W roku obchodów setnej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości, na ścianie Zespołu Szkół przy ul. Teatralnej w Pile pojawił się historyczny mural. Widnieją na nim wizerunki trzech mężów stanu i polityków, którzy zapisali się na kartach historii swoją działalnością niepodległościową. Mecenasek projektu jest Enea

Piła z nowym murałem patriotycznym

Enea włączyła się w ogólnopolski Program Wieloletni „Niepodległa”, który wspiera inicjatywy upamiętniające setną rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości. Angażując się w projekt murali patriotycznych, przypominamy wydarzenia i osoby związane z walką oraz odzyskaniem niepodległości. Pierwszy mural, nawiązujący do zwycięskiego powstania wielkopolskiego, został odsłonięty w czerwcu w Poznaniu.

Ignacy Jan Paderewski, Józef Piłsudski i Roman Dmowski – bo o nich mowa – mieli jeden cel: żyć w niepodległej ojczyźnie. Mimo odmiennych poglądów na kształt nowej Polski wolność i niepodległość cenili jako wartości bezwzględne i nadrzędne, oddając się całkowicie sprawie polskiej.

– Nasza historia dowodzi, że potrzeba było

wielu bohaterów i woli walki, by po ponad wieku Polska powróciła na mapę Europy. Społeczeństwo potrzebowało liderów, mądrych mężów stanu, którzy potrafili przekonać innych do swoich wizji życia w wolnej Polsce – mówił Zbigniew Piętka, wiceprezes Enei ds. korporacyjnych.

– Odsłonięty dziś mural w nowoczesny sposób pokazuje historię w przestrzeni publicznej, dostępną dla wszystkich. Jest efektem dumy z naszej historii i narodowych osiągnięć – dodał Zbigniew Piętka.

Mural na ścianie pilskiego Zespołu Szkół zaprojektował prof. Arkadiusz Marcinkowski. Patronat nad projektem murali patriotycznych objęli: Urząd Wojewódzki w Poznaniu, „Niepodległa” i Wyższa Szkoła Umiejętności Społecznych w Poznaniu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Partnerzy i patroni projektu



Młodzi artyści, którzy wystąpili podczas uroczystości odsłonięcia muralu



Arkadiusz Karbowski

/ Rosyjscy emigranci stworzyli na Bałkanach u boku Niemców korpus, który walczył z czerwoną partyzantką. Po wojnie zostali przez Brytyjczyków potraktowani w niezwykle sposób

Kłęsa poniesiona przez formacje kontrrewolucyjne w wojnie domowej, jaka toczyła się w Rosji w latach 1917–1920, spowodowała, że w różnych krajach europejskich znaleźli się uciekający przed bolszewickim terrorem przedstawiciele białej rosyjskiej emigracji. Spora liczba uchodźców – tak cywilnych, jak wojskowych – osiedliła się m.in. w Jugosławii. O wyborze tego kraju zdecydowały sięgająca XIX w. tradycja serbsko-rosyjskiej współpracy politycznej oraz poczucie kulturowej i religijnej bliskości. Rosyjska społeczność w Królestwie Serbów, Chorwatów i Słoweńców dość szybko zintegrowała się z nowym państwem. Główną strukturą organizacyjną emigracyjnych środowisk wojskowych był Rosyjski Związek Ogólnowojskowy – ROWS. Jego założycielem i pierwszym przywódcą był przedwcześnie zmarły w 1928 r. gen. Piotr Wrangel – ostatni głównodowodzący Sił Zbrojnych Południa Rosji. Przywódcy ROWS marzyli o tym, by kiedyś znów stanąć do walki o wyzwolenie swej ojczyzny. Wydawało się, że ta oczekiwana chwila nadeszła 22 czerwca 1941 r.

W obronie Jugosławii

Tego dnia wojska III Rzeszy dokonały inwazji na ZSRS. Nieco wcześniej, 6 kwietnia 1941 r., ofiarą połączonych



Żołnierz rosyjskiego korpusu FOT. ARCHIWUM

1941–1945 / Korpus w niemieckiej służbie

Biali Rosjanie przeciw Ticie

sił niemiecko-włosko-węgierskich padła Jugosławia. Podczas działań wojennych Rosjanie godnie wypełnili swój obywatelski obowiązek wobec przybranej ojczyzny. Niektórzy z nich w kwietniowej kampanii utracili życie, a inni wraz ze swymi serbskimi towarzyszami broni trafili do obozów jenieckich. Po upadku państwa jugosłowiańskiego dla przywódców rosyjskich najważniejszą kwestią było zapewnienie opieki swym rodakom. Jeszcze w kwietniu 1941 r. dziennikarz rosyjskiego pochodzenia Aleksandr Iwanow wystąpił do niemieckich władz wojskowych z propozycją utworzenia organizacji reprezentującej interesy białej emigracji w Jugosławii. W efekcie różnych zabiegów 22 maja 1941 r. powstało Biuro na rzecz Pomocy i Obrony Interesów Rosyjskich Emigrantów w Serbii. Na jego czele stanął gen. Michał Skorodumow, legendarny weteran I wojny, były generał Ochotniczej Armii Południa Rosji. Po klęsce sił kontrrewolucyjnych osiadł on w Jugosławii, prowadząc intensywną działalność społeczno-polityczną. Jej efektem było wybudowanie w 1935 r. pomnika poświęconego poległym w czasie I wojny żołnierzom rosyjskim. Skorodumow musiał zmierzyć się z pogorszeniem przyjaźni do tej pory relacji serbsko-rosyjskich, do czego doszło po upadku Jugosławii i ataku Rzeszy Niemieckiej na „ojczyznę światowego proletariatu”. Powodem były coraz wyraźniejsze prosowieckie i prokomunistyczne sympatie części serbskiego społeczeństwa. Biali emigranci z oczywistych względów nie byli w stanie zaakceptować takiej optyki. Oni – w przeciwieństwie do serbskich przyjaciół – mieli już okazję doświadczyć na własnej skórze dobrodziejstw „bolszewickiego raj”. Prezentowanie antykomunistycznej postawy powodowało, że coraz powszechniej zdarzały się akty antyrosyjskiego terroru. Rosnąca w siłę komunistyczna partyzantka inicjowała

go, uderzając raz za razem w przedstawicieli kolaboranckiej – jak postrzegali Rosjan „czerwoni” – społeczności.

Do 1 września 1941 r. liczba śmiertelnych ofiar wyniosła 250 osób. Wśród nich znajdowały się kobiety i dzieci. Aby zapewnić emigrantom bezpieczeństwo, gen. Skorodumow podjął inicjatywę na rzecz powołania specjalnej autonomicznej rosyjskiej formacji wojskowej. Niemcy po długich wahaniach ostatecznie wyrazili na jej powstanie zgodę. Nadano jej nazwę Samodzielny Rosyjski Korpus (SRK). 12 września 1941 r. gen. Skorodumow, w dniu pamięci kanonizowanego przez Cerkiew Prawosławną księcia Aleksandra Newskiego, ogłosił odezwę, w której deklarował: „Z Bożą pomocą w obliczu ogólnej jednomyślności, wypełniając nasz dług w stosunku do kraju, który nas przyjął, zaprowadzę was do Rosji”. Niestety, tego właśnie nie życzył sobie kanclerz Adolf Hitler. Przywódca III Rzeszy starał się nie dopuścić do tego, by przedstawiciele jakichkolwiek środowisk emigracyjnych znaleźli się na okupowanych przez armię niemiecką obszarach ZSRS. W jego przekonaniu ZSRS można było pokonać tylko siłą niemieckiego oręża. Poza tym dla nazistów carski gen. Skorodumow i jemu podobni byli elementem uosabiającym najgorsze zło dawnego nieistniejącego już i znienawidzonego świata związanego z la belle époque, a kształtowanego przez idee monarchizmu i konserwatyzmu. Dlatego zbyt niezależny i samodzielny w swym postępowaniu gen. Skorodumow został 14 września 1941 r. aresztowany przez gestapo.

Przeciw komunistom

Na szczęście nie przebywał on w areszcie zbyt długo, bo zaledwie trzy tygodnie, po czym został zwolniony. Nie pozwolono mu jednak powrócić na swoje dawne stanowisko. Zastąpił go dotychczasowy szef sztabu korpusu gen. Boris Szejfon. Szejfon w czasie wojny domowej w Rosji służył w formacjach białogwardyjskich. Latem 1920 r. znalazł się w Polsce w sztabie rosyjskiej 3. Armii, z którą ewakuował się na Krym. Kiedy stanął na czele SRK w Jugosławii, miał on działać jako rosyjska jednostka zwalczą-

jąca komunistyczną partyzantkę. Niemcy dla utrzymywania kontaktów z korpusem powołali oficerów łącznikowych. Początkowo taką funkcję pełnił płk Kurt Heyser, a potem zastąpił go płk Hugo Schroder. W chwili kiedy unormowały się relacje z Niemcami, do ataku na żołnierzy korpusu przystąpili komuniści, mordując na ulicach Belgradu pierwszych ochotników Aleksandra Nestoruka, Konstantina Hołjaro i Konstantina Kutenko. Wbrew oczekiwaniom „czerwonych” zbrodnie nie zatrzymały chętnych do zaciągania się w szeregi tej formacji. Mogły to uczynić osoby w wieku od 18 do 55 lat. Do końca 1941 r. liczba ochotników wynosiła 1,5 tys. żołnierzy, a w kolejnych latach systematycznie rosła, osiągając 12 września 1944 r. stan 11 197 żołnierzy i oficerów (przez korpus przewinęło się 17 090 osób).

Pierwszymi ochotnikami byli głównie Rosjanie zamieszkujący tereny Serbii. Potem dołączyli do nich wolontariusze z: Rumunii – 5067 osób, Bułgarii – 1961, Węgier – 288, Chorwacji – 272, Grecji – 58, Polski – 19, Łotwy – 8, Niemiec – 7, Francji – 2 i Włoch – 6. W 1943 r. do korpusu trafiło 316 sowieckich jeńców wojennych. W ciągu tygodnia służyli dwóch z nich zdezerterowało. Dezerckie dotyczyły nie tylko nowo przyjętych sowieckich ochotników. 27 września 1943 r. szeregi 1. pułku kozackiego opuściło 17 tzw. starszych wiekiem dezertorów. Zasadniczy trzon korpusu składał się z byłych żołnierzy armii carskiej oraz oddziałów białogwardyjskich. Przekładało się to na strukturę wiekową jednostki. Większość żołnierzy – weteranów I wojny światowej i wojny domowej w Rosji – miała między 41 a 60 lat. Często wstępowali do korpusu razem ze swoimi dziećmi stanowiącymi młodzież gimnazjalną i studencką. Ojcowie odbywali na ogół służbę wartowniczą, a synowie brali udział w operacjach antypartyzanckich i walkach frontowych. Starszym wiekiem oficerom nie zawsze uwzględniano stopnie wojskowe nabyte w czasie służby w carskiej armii. Nierzadko zdarzało się, że pułkownik armii imperialnej w korpusie posiadał znacznie niższą szarżę, np. kapitana czy porucznika. Korpus składał się początkowo z trzech, a potem pięciu pułków. W każdym był po trzy bataliony piechoty wzmocnione samodzielnymi plutonami artylerii, broni przeciwpancernej, saperów,



Oficerowie rosyjskiego korpusu z niemieckimi kolegami FOT. ARCHIWUM

łączności i zwiadu konnego. Oprócz tego przy sztabie istniał samodzielny batalion „Belgrad” z kompaniami: weterynaryjną, ochrony sztabu i zapasową. W korpusie dużą wagę przywiązywano do posługi duszpasterskiej. Kapelani przydzielani byli do każdego pułku. W wyposażenie żołnierzy stanowił sprzęt pochodzenia czechosłowackiego, jugosłowiańskiego i włoskiego. Nosili mundury armii jugosłowiańskiej. Dystynkcje i patki oparto na wzorach pochodzących z armii rosyjskiej. W 1943 r. wprowadzono umundurowanie typu feldgrau, a więc typowe noszone przez żołnierzy Wehrmachtu. Każdy z pułków złożony był z różnych kategorii ochotników. Na przykład 1. pułk dowodzony przez gen. mjr. Wiktora Zborowskiego złożony był wyłącznie z Kozaków. W kolejnym 2. pułku Kozacy stanowili już 75 proc. stanu. Natomiast pułki 4. i 5. składały się głównie z byłych jeńców sowieckich rekrutowanych w Rumunii, gdzie zainstalowała się misja rekrutacyjna działająca przy Rosyjskim Biurze Werbunkowym. Prowadziła ona nabór wśród ewakuowanych z ZSRS żołnierzy i policjantów z oddziałów Osttruppen oraz policji pomocniczej.



Koniec autonomii

Początkowo uznawana przez Niemców autonomia korpusu zakończyła się wraz z włączeniem jednostki w szeregi Wehrmachtu, co nastąpiło 30 listopada 1943 r. Nazwa korpusu ulegała zmianom. Pierwsze walki, w których wzięli udział żołnierze korpusu, trwały w listopadzie 1941 r. w okolicach miejscowości Krupań. Wiosną 1942 r. Rosjanie uczestniczyli w akcji humanitarnej polegającej na ratowaniu Serbów uciekających z Niepodległego Państwa Chorwackiego (NDH) przed ustaszowskim terrorem. Antyserbska polityka prowadzona przez władze w Zagrzebiu była zdecydowanie negatywnie oceniana przez dowództwo i żołnierzy korpusu. Proserbskie i antykomunistyczne nastawienie żołnierzy korpusu zaowocowało neutralną postawą wobec czetnickiej partyzantki Draży Mihailovicia, z którą starano się unikać walk.

Pomimo krytycznego osądu działań ustaszys zdarzało się, że Rosjanie wspomagali także Chorwatów. Na przykład w lipcu 1943 r. w okolicach Lożnicy w walkach z komunistyczną partyzantką udało im się za cenę dwóch zabitych i 17 rannych utworzyć korytarz, którym ewakuowano 2 tys. zdrowych oraz 379 rannych chorwackich żołnierzy i cywili. W 1942 r. korpusowi przydzielono zadanie patrolowaniem terenów położonych wzdłuż rzeki Driny na granicy między Serbią a NDH. Ponadto żołnierze jednostki ochraniaли kopalnie, szlaki komunikacji kolejowej, mosty, ważne zakłady oraz brali udział w dużych operacjach antypartyzanckich. Na czas ich prowadzenia biorące udział w walkach pododdziały korpusu podporządkowano operacyjnie niemieckiej 104. Dywizji Strzelców. Korpus radził sobie nieźle nie tylko podczas walk z partyzantami, lecz także w starciach z oddziałami Armii Czerwonej. W okolicach Jakubowaca udało mu się w bezpośrednim starciu

rozbić całkowicie sowiecki 169. pułk. W grudniu 1944 r. korpus utrzymywał przyczółek w rejonie miejscowości Brčko. Prowadził tamtędy szlak, którym podążały wycofujące się z Grecji oddziały Grupy Armii E. W walkach w tym rejonie odznaczyła się mieszana rosyjsko-niemiecka Kampfgruppe płk. Borysa Gontariewa.

Niemalym poświęceniem w walkach z komunistami wykazywali się nie tylko żołnierze i oficerowie niższych szczebli, lecz także generałowie. Przykładem jest postać dowódcy 1. pułku gen. mjr. Wiktora Zborowskiego. W czasie walk o miejscowość Nove Selo został on 26 września 1944 r. ranny. Pomimo natychmiastowej ewakuacji z pola bitwy i szybkiej operacji generał w wyniku powikłań pooperacyjnych (pękły mu szwy) zmarł. Odznaczono go Krzyżem Żelaznym I klasy (jeszcze w szpitalu) i pochowano na cmentarzu w Grazu. Jego imię nosił 1. pułk korpusu. Zborowski był jednym z wielu poległych. W sumie podczas walk prowadzonych od września 1941 do maja 1945 r. zginęło lub zmarło z ran 1132 żołnierzy i oficerów, natomiast 3280 odniosło rany. Na przełomie kwietnia i maja 1945 r. korpus wycofał się z terytorium NDH i przeszedł na tereny Słowenii. W Zagrzebiu na zawał serca zmarł dowódca jednostki gen. Boris Szejfon. Na stanowisku zastąpił go płk Anatolij Rogozin, dotychczasowy dowódca 5. pułku.

Na jego rozkaz pod koniec wojny korpus ruszył w kierunku granicy austriackiej. Rogozin nie dopuszczał nawet do siebie myśli o ewentualnej kapitulacji przed komunistycznymi partyzantami Tity. 12 maja 1945 r. korpus złożył broń przed Brytyjczykami w okolicach Klagenfurtu. Władze Wielkiej Brytanii wyjątkowo potraktowały rosyjskich żołnierzy korpusu zgodnie z prawem wojennym i nie wydały ich w ręce bolszewików (Kozacy z XV Korpusu Kawalerii SS zostali przekazani Sowiecom). W Londynie słusznie uznano, że zawarte z Moskwą umowy o ekstradycji jeńców rosyjskich służących w armii niemieckiej dotyczą wyłącznie byłych obywateli ZSRS, a nimi znacząca część żołnierzy korpusu nigdy nie była.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

STRAŻNIK PAMIĘCI 2018

DO
RZECZY

HISTORIA
DO
RZECZY

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



6 LISTOPADA 2018

**GALA WRĘCZENIA
NAGRÓD**

VI EDYCJA NIEZWYKŁEJ NAGRODY

Tytuł **STRAŻNIK PAMIĘCI** przyznawany jest corocznie w trzech kategoriach:

TWÓRCA – osoba lub osoby fizyczne, autorzy dzieła, które przyczynia się do odnowienia pamięci

INSTYTUCJA – muzea, stowarzyszenia, fundacje, organizacje, które w minionym roku podjęły nowe inicjatywy służące krzewieniu pamięci historycznej

MECENAS – podmioty publiczne lub komercyjne, które w szczególny sposób materialnie wspierają dbałość o pamięć historyczną

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

PATRONAT HONOROWY



niepodległa

ROK
ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

PARTNER STRATEGICZNY



SPONSOR



PARTNERZY



WSPÓŁORGANIZATOR



eprasa.pl d/758284998

XV–XX w. / **Dziejowa smuta Moskowi**

Kłavdij Lebediew „Zniszczenie Nowogrodu” FOT. ARCHIWUM

Niereformowalna Rosja



Maciej Rosalak

**/ Mongolski podbój
pozostawił głęboki ślad
w rosyjskiej psychice.
Widać to do dziś**

Dlaczego w Rosji nie powiodła się żadna próba unowocześnienia kraju pod względem ustroju politycznego i systemu gospodarki? Najprostsza odpowiedź brzmi: bo żadnej takiej próby – nie licząc reformy Stołypina na początku XX w. – nie podjęto. Rodzi się oczywiste pytanie: Dlaczego tego nie zrobiono? Otóż nie pozwalała na to charakter państwa moskiewskiego,

którego moc zrodziła się w XIII w. jako posłusznego wasala tatarskiej Złotej Ordy, gnębiącego inne podbite przez Tatarów księstwa ruskie.

Dominował w tym państwie absolutny despotyzm władców, spotęgowany mongolską i bizantyjską tradycją oraz warunkami geograficznymi i demograficznymi. Tylko książę moskiewski, potem car, a za naszych czasów komunistyczny czy postkomunistyczny dyktator mógłby takie reformy wprowadzić... podcinając jednocześnie gałąź, na której sam usiadł. Uczynili tak – z najwyższą niechęcią, a nawet z obrzydzeniem – zarówno Mikołaj II, jak i Michaił Gorbaczow. Długo na tronach się nie utrzymali...

Los moskiewskich samodzielnawców był i jest uzależniony od tego, czy spełnią oczekiwania zarówno kamaryli (czy to bojarskiej, czy KGB-owskiej), jak i szerokich mas rosyjskiego ludu, oczekują-

cych władzy silnej i bezwzględnej oraz podbojów sąsiednich krain. Oczekujących kolejnych wcieleń Czyngis-chana, jednym słowem. Przydomki Iwanów III i IV – Srogiego i Groźnego – nie mają w uszach Rosjanina, w przeciwieństwie do Polaka, wydzwiku pejoratywnego, bo oznaczają cara, który potrafi egzekwować swe rozkazy z całą mocą. Kiedy któryś z władców z różnych względów nie pasował, kończył tak jak Piotr III, mąż Katarzyny II, którego uduszono, czy Paweł I, syn teź nieżyjącej już wtedy carycy, któremu głowę rozbito cukiernicą.

Reformy Stołypina

Powieść znaną u nas jako „Artamonow i synowie” Maksym Gorki napisał w 1925 r. we Włoszech. Podczas lat spędzonych na obczyźnie stworzył dość

zaskakującą – jak na przyszłego przewodniczącego związku pisarzy ZSRS – fabułę o rodzeniu się kapitalizmu po reformach znoszących w carskiej Rosji poddaństwo chłopów. Oto Artamonow ojciec, „czart silny, beczelny i brodaty”, niedawny jeszcze sługa pewnego księcia, przejmuje majątek, córkę i żonę kupca Bajmakowa, który z pokorą i bez protestu... umiera. Potem nowy przedsiębiorca skłania chłopów do uprawiania lnu, sam zakłada fabrykę, z dnia na dzień rozwija produkcję i pomnaża majątek. Wszystko mu się udaje i wszystko wokół się zmienia, rośnie. Tę część powieści wspominam po latach jako wielkie uznanie dla kapitalistycznej przedsiębiorczości w schyłkowej epoce caratu. Późniejszą rewolucję zaś jako czas barbarzyńskiej zagłady i beznadziei...

O reformach przełomu XIX i XX w. tak mówił Artamonow swym niezbyt udanym synom: „Ot, na ten przykład, wolność dał nam car-imperator. Trzeba to zrozumieć, z jakim wyliczeniem ta wolność. Bez wyliczenia nawet owcy z owczarni się nie wypuszcza, a tu – przecież cały lud wypuszczono, tysiące tysięcy. To znaczy: rozumiał cesarz, że od panów niewiele wyciągnie, bo sami wszystko przejadają. Georgij, książę, jeszcze przed wolnością sam pomiarkował, powiada do mnie: »Nie opłaci się praca przymusowa«. No i okazano nam zaufanie, dano wolną pracę. Teraz to i żołnierz nie będzie dwadzieścia pięć lat z karabinem chodził – ano idź, popracuj! Teraz każdy musi wykazać się, do czego zdalny. Ze szlachtą – koniec, teraz wy sami szlachta. Słyszycie?”.

Ile lat w wielowiekowej Moskwie istniała wolność dla takich Artamonowów? Tuzin lat niepełna, i to licząc z nawiązką od początku premierostwa Piotra Arkadiewicza Stołypina (1906) do rewolucji bolszewickiej (1917). W istocie mogli się nią cieszyć do wybuchu I wojny światowej.

W ciągu tych kilku lat chłopci mogli nareszcie bez kłopotów opuszczać tzw. miry wioskowe ze zbiorową własnością ziemi, do których zostali przypisani rzekomym uwłaszczeniem z 1861 r., za Aleksandra II podobnie jak bolszewicy rychło po rewolucji przypisali ich do kołchozów. Wtedy, za Stołypina dopie-

ro, rzeczywiście zdjęto z nich jarzmo poddaństwa, tym razem prawno-ekonomicznego. Chłopi zaczęli „na swoim” wydajnie gospodarować; najlepsi z nich powiększali areale upraw i hodowlę. Rolnicy mogli też przenosić się na rozległe zdalne do uprawy tereny południowej Syberii, które dawał im rząd. Skorzystało z tego 2,5 mln chłopów. Zaludniły się miasta, ruszyły pełną parą istniejące fabryki i warsztaty, zakładano też nowe. W 1913 r. zbiory zbóż osiągnęły poziom, do którego Sowieci nie mogli się nawet zbliżyć, a zrównoważona produkcja przemysłowa zaspokajała potrzeby coraz bardziej chłonnego rynku.

Jednocześnie nieszczęśliwy i wyjątkowo nieudolny car Mikołaj II, zgębiony przegraną wojną z Japonią oraz rewolucją 1905 r., zgodził się z oporami na utworzenie Dumy państwowej, czyli

nawet „krawatami Stołypina”. Wyjątkowo brutalne były represje na terenie Kongresówki, ale też na ziemi polskiej działania rewolucyjne trwały najdłużej i z największym nasileniem. Premier okazywał wyraźnie antypolskie nastawienie, proponując np. w 1910 r. wprowadzenie ziemstw z kuriami narodowościowymi w sześciu guberniach na Białorusi i Ukrainie, co uderzało w polskie ziemiaństwo.

Carowie „reformatorzy”

Kilku carów wprowadzało już wcześniej w państwie moskiewskim nowe porządki. Celem ich nie było jednak rzeczywiste ucywilizowanie kraju, od likwidacji samodzierżawia poczynając. W państwie i społeczeństwie stworzonym na wzór Złotej Ordy każdy z tych „reformatorów” zmierzał do umocnienia swojej władzy i zwiększenia wpływów do swej kasy, jeszcze większego uzależnienia poddanych, traktowanych na zasadzie „rabów” (niewolnych sług), zorganizowania całego społeczeństwa i jego sił wytwórczych na potrzeby armii i ciągłych podbojów.

Ujarmianie i rabunek sąsiadów, prowadzone pod hasłem obrony rosnącego imperium lub realizacji wielkich idei (czy to odrodzenia Bizancjum, czy – w XX w. – światowej rewolucji), dawały wielorakie korzyści, z których nieostatnią było dowartościowanie poddanych i odwrócenie ich uwagi od własnego ciężkiego losu. Katarzyna II pojęła w pełni ów mechanizm i dziwiła się w 1789 r., dlaczego Ludwik XVI zwołał Stany Generalne, zamiast wszcząć kolejną wojnę...

Na wschodzie – od początku wypraw Jermaka za Iwana IV – wyrosło najrozleglejsze imperium świata. Jednak ideologia waresko-fińsko-tatarsko-prawosławnej Moskwy wyznaczała trzy kierunki ekspansji znacznie ważniejsze od podboju Syberii i Dalekiego Wschodu. Na północny zachód – do wybrzeży Bałtyku, stąd konflikt z państwem litewsko-polskim i ze Szwecją. Na południowy zachód – aby zdobyć „Carogród”, czyli Konstan-



Zdobycie Suzdala przez Batu-chana FOT. WIKIMEDIA

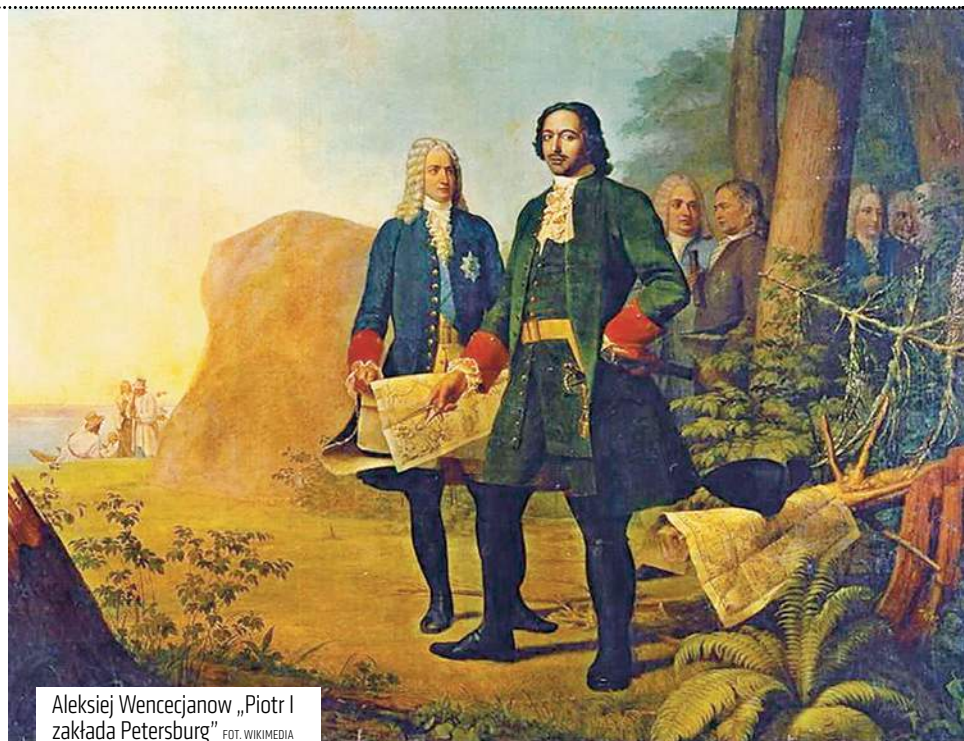
parlamentu, oraz na znaczne reformy w administracji i szkolnictwie. Pierwszy (i ostatni z carów) przestał być samodzierżcą! Różnie z tą Dumą bywało, ale fakt był bezsporny: Rosja wkraczała na drogę zachodniej cywilizacji.

Wkraczała na tę drogę skrwawiona represjami, którymi – obok reform – tenże sam Stołypin zdusił po dwóch latach rewolucję. Stryczki szubienic

■ tynopol, co sprowokowało liczne wojny z Turcją, a zakończyło się odebraniem jej Krymu i wybrzeży Morza Czarnego oraz Zakaukazia. Wreszcie – wprost na zachód. Już w XV w. rozpoczęły się najazdy moskiewskie na Litwę, a w połowie XVI w. Iwan IV Groźny mianował się carem Wszechrusi i potwierdził, że Moskwa z ziem „małoruskich” (czyli ukraińskich) oraz białoruskich nigdy nie zrezygnuje. Dokonało się to ostatecznie za Katarzyny II w 1795 r., gdy polsko-litewski konkurent w ogóle zniknął z mapy Europy na 123 lata. Katarzynie, niemieckiej księżniczce z urodzenia, wdzięczny naród rosyjski przyznał przydomek: Wielka.

Imperialne podboje stanowiły główne źródło powiększania terytorium i – co za tym idzie – liczby mieszkańców. W 1762 r. państwo rosyjskie liczy 21,2 mln mieszkańców. 20 lat później – już po I rozbiore Rzeczypospolitej, ale rok przed aneksją Krymu – Katarzyna II ma 26 mln poddanych. W 1796 r. caryca umiera w poczuciu wypełnienia misji dziejowej, a jej państwo – utuczone głównie Wielkim Księstwem Litewskim, Ukrainą i Wołyniem – liczy ponad 41 mln ludzi. W 1835 r. Rosja – od 20 lat również z centralną Polską – ma ponad 63 mln mieszkańców. W drugiej połowie XIX w. Rosja ujarzmiła cały późniejszy sowiecki Środkowy Wschód aż do granicy afgańskiej. W 1897 r. pierwszy i jedyny w carskim imperium spis powszechny daje wynik: 125 640 021 mieszkańców. W tym Rosjan było ponad 55,6 mln, Ukraińców – prawie 22,4 mln, ludów tureckich i tatarskich – niemal 13,4 mln, Polaków – ponad 7,9 mln, Białorusinów – ok. 5,9 mln, Żydów – 5 mln; ludów fińsko-języcznych – 3,5 mln. Inne mniejszości narodowe nie przekraczały 2 mln ludzi.

Na to wielkie imperium składały się osiągnięcia takich „reformatorów” z dynastii Rurykowiczów jak Iwan Groźny, który stworzył w latach 1565–1572 opryszcznę – bandyckie państwo w państwie – aby sterroryzować potężne rody bojarskie i rozprawić się z nimi, a także złupić kogo się da. Tragiczny los spotkał zwłaszcza Nowogród Wielki – bogatą republikę kupiecką, gdzie opryszcznicy urządzili okrutną rzeź mieszkańców. Likwidacja tego najbardziej cywilizowanego księstwa Rusi utrwaliła despotyczną władzę krwiożerczego cara. Podobnie zdobycie Kazania – stolicy Złotej Ordy



Aleksiej Wencecjanow „Piotr I zakłada Petersburg” FOT. WIKIMEDIA

– które dało Iwanowi dziedzictwo wielkiego chana i wiekopomną sławę wśród rodaków.

Inny car znany z silnej i bezlitosnej ręki – Piotr I Wielki z dynastii Romanowów – przeorał Rosję pozornie na wzór zachodni, goląc brody bojarom i wprowadzając europejskie umundurowanie oraz uzbrojenie armii. Budowa Sankt Petersburga i floty, uruchamianie górnictwa i fabryk metalurgicznych, wprowadzenie rang dla szlachty i służba państwowa młodzieży szlacheckiej, pobór do wojska chłopów na całe życie, podział kraju na gubernie czy ustanowienie senatu zarządzającego sprawami państwa – wszystko to miało jednak cel nadrzędny: skuteczne prowadzenie wojen na lądzie i morzu.

Z osiągnięć Katarzyny II warto jeszcze wspomnieć o wprowadzeniu stanu mieszczańskiego i samorządu miejskiego, umocnieniu szlachty i administracji oraz o rozwoju szkolnictwa i nauki. Jednocześnie chłopci pańszczyźniani do reszty stracili wolność, stając się przedmiotem handlu, a jej kolejni faworyci – oddający niekiedy znaczne usługi podczas wojen (Orłowowie, Potiomkin) – zagarniali ogromne obszary zdobywanych ziem; także Rzeczypospolitej.

Wspomnijmy jeszcze wśród „reformatorów” Aleksandra II, który zniósł (1861) poddaństwo chłopów. O ich pozornym uwłaszczeniu, naprawionym dopiero przez Stołypina, pisałem na początku (zauważmy, że uwłaszczeni później

o trzy lata chłopci polscy lepiej na tym wyszli, bo carat zrealizował w 1864 r. to, co zadekretował powstańczy Rząd Narodowy w roku 1863).

Michał Heller cytuje w swej znakomitej „Historii Imperium Rosyjskiego” taką opinię wcześniejszego historyka rosyjskiego, Wasilija Kluczewskiego (1841–1911): „Sprawy wojskowe nie tylko stały na pierwszym planie, zajmowały główne miejsce wśród innych działań administracji państwowej, ale w ogóle przesłaniały całą resztę: służba wojskowa koncentrowała w sobie wszystkie rodzaje służby cywilnej, a inne niewojskowe dziedziny administracji stawały się nie tylko drugoplanowe w stosunku do wojskowej, ale były też jej podporządkowane, przeznaczone do tego, by służyć jej interesom”. Czyli wojownicemu ze swej natury imperium.

Ruś, Moskwa i Polska

Kształtowanie się silnej, despotycznej władzy na rozległych ziemiach rosyjskich Norman Davies wiąże (w „Bożym igrzysku”) z charakterem osadnictwa. Porównując je z osadnictwem na terenie Polski, pisze: „Jednostki osadnicze były w Polsce bardziej silne [...], łączyły one samowystarczalność gospodarczą osiedli europejskich z izolacją porównywalną

z sytuacją panującą w tym czasie w Rosji. Stąd też w Polsce powstawał, zdaniem historyków, model diametralnie inny od modelu przeważającego na terenie księstwa moskiewskiego, gdzie osady były izolowane od siebie, nie mogły jednak zapewnić gospodarczej samowystarczalności i podstawowym warunkiem ich przetrwania było jednoczenie zasobów poprzez silną organizację większych wspólnot... [W Polsce] władcy mieli mniejsze możliwości stworzenia skutecznego oparcia dla swej władzy niż w Europie Zachodniej, gdzie zasiedlenie było gęstsze, i niż w Rosji, gdzie jednostki osadnicze chętnie poddawały się władzy centralnej, szukając ochrony i wzajemnego wsparcia”.

Z kolei kolebkę Słowian północnych Davies upatruje wśród lasów i stepów na północny wschód od Karpat, skąd nasi przodkowie mieliby się przedostać na tereny dzisiejszej Polski dopiero w VII–VIII w. n.e. Pogląd ten kłóci się nie tylko ze starą szkołą prof. Józefa Kostrzewskiego, którą brytyjski historyk ironicznie nazwał „autochtoniczną”, lecz także z najnowszymi badaniami polskich archeologów i genetyków. DNA zbliżone do kodu genetycznego występującego wśród dzisiejszych Polaków znaleźli oni na polskiej ziemi w kościach ludzkich z czasów rzymskich...

Badania genetyczne rzucają ciekawe światło na problem słowiańskiego charakteru Moskwicynów. Przypomnę (pisałem już o tym w „HDR”), że zastanawiające wyniki badań genetycznych przytoczył Anatol Taras w książce „Anatomia nienawiści” o stosunkach polsko-moskiewskich. Wedle autora badania przeprowadziła Rosyjska Akademia Nauk w latach 2002–2005, a podała je Jelena Bałanowska. Otóż genotyp Rosjan w 85–90 proc. składa się z materiału genetycznego Finów (Mordwinów, Muromców, Maryjczyków...) i Turków (Tatarów, Protobułgarów, Baszkirów...), czyli ludów nieindoeuropejskich. Ludzi z genami dominującymi u Słowian na całym obszarze Rosji jest nie więcej niż 6–8 proc. i są to zapewne w większości potomkowie Białorusinów, Ukraińców i Polaków.

Najbliżej spokrewnieni są natomiast Polacy i Białorusini. To ta sama grupa etniczna, która powstała z wymieszania się zachodnich Bałtów ze Słowianami. Wschodni Ukraińcy są bliscy Rosjanom, natomiast zachodni stanowią mieszanke

Słowian (Drewlan, Polan, Dulebów, Siewierzan...) z plemionami sarmackimi. Na terenie byłego Związku Sowieckiego Słowianami są więc raczej Białorusini (bliscy Polakom i Słowakom) i Ukraińcy (bliscy Bułgarom i Serbom), a nie Rosjanie.

Z kolei – jak pisze Taras – okołosłowiański język rosyjski powstał z miejscowych języków fińskich i tureckich na podstawie cerkiewno-słowiańskiej i zawiera 75–80 proc. słownictwa niesłowiańskiego. Dlatego „Białorusin bez tłumacza rozumie polski, słowacki i ukraiński, natomiast Rosjanin mowy białoruskiej nie rozumie... Historyczna Moskiewia obejmowała ziemie Włodzimierza i Suzdału i jednoczyła plemiona fińskie oraz turkojęzyczne, wchodząc 250 lat w skład Złotej Ordy jako jej peryferia... Uzurpowała sobie nazwę »świętej Rusi«, natomiast Rzeczpospolita Obojga Narodów była państwem powstałym ze zjednoczenia Białorusi z Polską, a umożliwiła tę unię etniczną bliskość...” – konkluduje Anatol Taras.

Na badania genetyczne nakładają się w pewnym stopniu wyniki badań językoznawców nowozelandzkich – Russella Graya i Quentina Atkinsona. Wskazują oni Anatolię jako praprzodkowie (przed 8,7 tys. laty, kiedy neolityczne kultury rolnicze rozpoczęły inwazję Europy) licznych prajęzyków indoeuropejskich,

w tym Celtów, Italików, Germanów, Bałtów i Słowian. 3,4 tys. lat temu prajęzyk bałto-słowiański rozpadł się na obszary późniejszych języków bałtyjskich i słowiańskich. Około 700 r. n.e. od prasłowiańskiego miały się oddzielić na Bałkanach dialekty, później osobne języki Słowian południowych (dziś słoweński, serbsko-chorwacki, macedoński i bułgarski). Następnie wydzieliły się też języki północnych Słowian na dwie grupy: czesko-słowacką i polsko-ukraińsko-białorusko-rosyjską. Język polski wyodrębnił się między 1300 a 1400 r. Dialekty ruskie zróżnicowały się jeszcze później, przy czym białoruski z ukraińskim są bardziej spokrewnione ze sobą niż każdy z nich z językiem rosyjskim.

Oświeceni Rosjanie znali swe pochodzenie jeszcze w końcu XIX w. Świadczy o tym fragment trafnej recenzji namalowanego w 1872 r. obrazu Jana Matejki „Batory pod Pskowem”, napisanej przez rosyjskiego krytyka Włodzimierza Stasowa: „Jeśli chodzi o rosyjskie duchowieństwo i posłów, to oprócz wspólnych i udanych prób nieboszczyka Szwarcza żaden z naszych historycznych obrazów nie oddał z taką zdumiewającą wiernością przedstawicieli starej Rusi o fińsko-tatarskich fizjonomiach, ciężkiej postawie i pokornych oczach”. Cóż, powstańcy styczniowi śpiewali w tym samym mniej więcej czasie: „Do Azji precz, potomku Czyngis-chana...”. A na ich sztandarach obok polskiego Orła Białego widniały litewsko-białoruska Pogoń i ukraiński Archanioł Michał.

Dzisiaj Polska liczy 38 mln mieszkańców, a „Ruś” (a więc Rosja + Ukraina + Białoruś) – 194,5 mln, czyli pięć razy więcej. W ciągu tysiąclecia proporcje się zmieniły: mieszkańców Rusi było pod koniec X w. siedem razy więcej (7 mln do 1 mln). Rzecz jednak nie tylko w tym, że Polaków relatywnie przybyło. Oto nieśmiało rodzi się nadzieja, że – tak jak podczas kilkuset lat trwania unii polsko-litewskiej i innej niż moskiewska cywilizacji między Bugiem a Dnieprem – straci sens rachowanie, ilu jest łącznie, jak we wczesnym średniowieczu, „Rusinów”. Porównamy raczej proporcje z czasów Rzeczypospolitej (11 mln) i Moskwy (15 mln) i policzymy: my (Polacy + Ukraińcy + Białorusini + Litwini) i oni (Rosjanie). Wyjdzie nam, jak obszył, 100 do 140 mln. Dwa do trzech niespełna...



Premier Piotr Stołypin FOT. ARCHIWUM



Marcin Bartnicki

/ Poszukiwania zamachowca trwały 18 lat. Przez ten czas genialny matematyk wysyłał bomby i zabijał ludzi

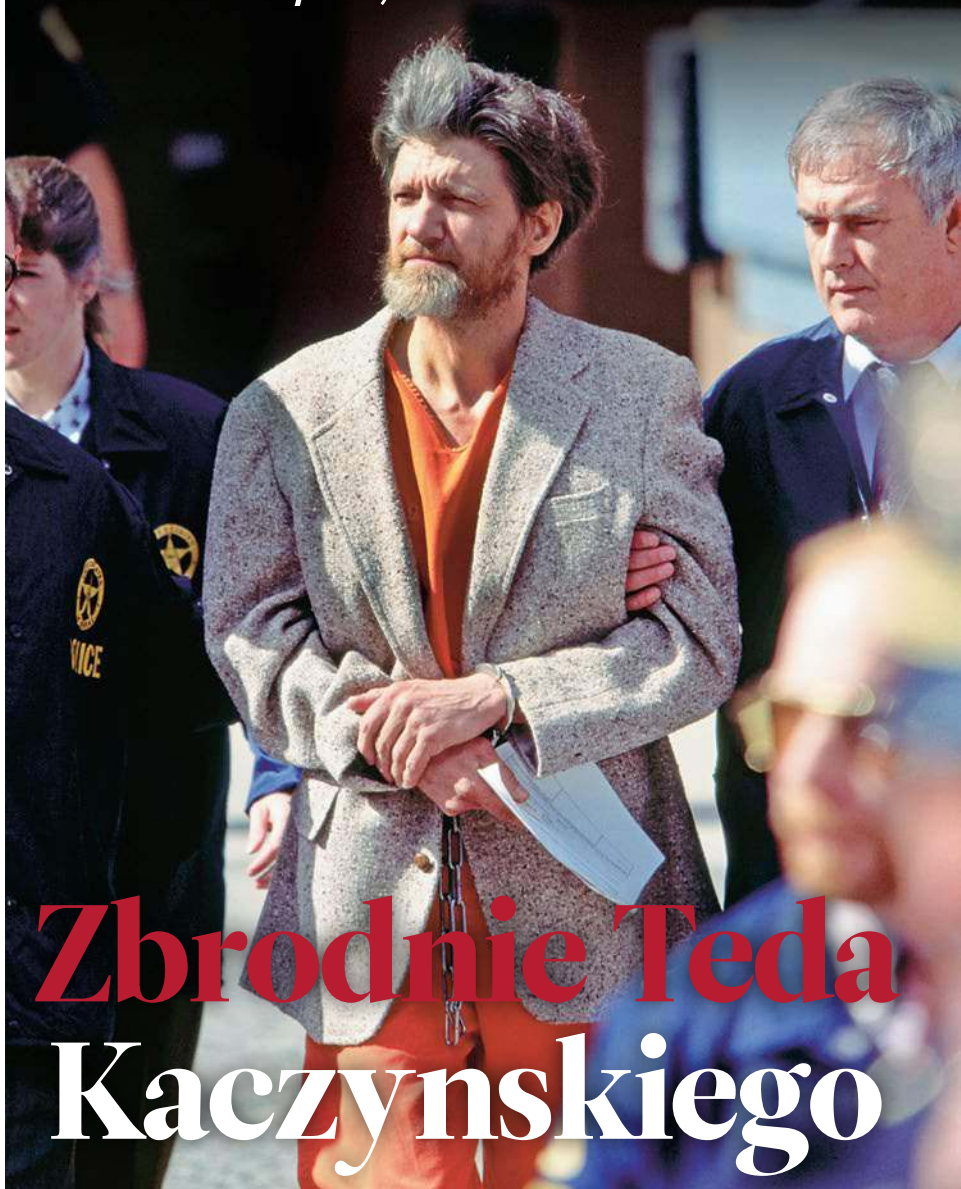
O budź się. Idź do pracy, słuchaj szefa, wróć do domu, zjedz kolację, oglądaj telewizję, idź spać. Powtórz. Cierpimy, bo żyjemy w spełnionej antyutopii, nie zdając sobie z tego sprawy. Technologia, która ma nam służyć i poprawiać jakość życia, przyczynia się do coraz większej kontroli nad wszystkim, co robimy. Z roku na rok w niezauważalny sposób w coraz większym stopniu stajemy się niewolnikami.

„Technologiczna kontrola nad ludzkim zachowaniem prawdopodobnie nie będzie wprowadzana z totalitarnymi intencjami czy nawet poprzez świadome pragnienie ograniczania ludzkiej wolności. Każdy nowy krok w sprawowaniu kontroli nad ludzkim umysłem będzie uznawany za racjonalną odpowiedź na problem, przed którym staje społeczeństwo, taki jak leczenie alkoholizmu, zmniejszenie przestępczości czy skłanianie młodych ludzi do studiów naukowych i technicznych. Wiele przypadków znajdzie humanitarne usprawiedliwienie” – pisał w manifestie zatytułowanym „Społeczeństwo przemysłowe i jego przyszłość” człowiek, którego schwytanie wymagało największego budżetu w historii FBI. Tekst wroga publicznego numer jeden w USA opublikowały największe amerykańskie gazety. Na jego własne żądanie.

Cele zamachowca

47-letni Gilbert Murray, szef organizacji zrzeszającej firmy z przemysłu drzewnego, otrzymał paczkę zaadresowaną do poprzedniego prezesa Williama Dennisona, który odszedł na emeryturę rok wcześniej. Zastąpił z lobbowania na

1978–1996 / Najdroższe śledztwo w historii FBI



Zbrodnie Teda Kaczynskiego

rzecz prawa do wycinki lasów w północnej Kalifornii, należących do rządu USA. Murray, który przejął po nim kierowanie lobbieniem, postanowił otworzyć mały, ale ciężki pakunek. Eksplozja, która nastąpiła przy otwieraniu paczki, wyrwała drzwi z futryn i wybiła szyby w biurze. Murray nie miał szans na przeżycie – został rozerwany przez wybuch.

Zginął 24 kwietnia 1995 r. i był ostatnią ofiarą zamachowca poszukiwanego przez FBI od 17 lat. Pierwszymi celami

przesyłek zawierających bomby były uniwersytety i linie lotnicze, dlatego sprawie oraz zespołowi agentów FBI, którzy nad nią pracowali, nadano kryptonim UNABOM (akronim od „University and Airline Bomber”).

Pierwsze dwie bomby wysłane do Northwestern University w latach 1978 i 1979 okazały się w miarę niegroźne. Szok wywołał dopiero trzeci ładunek, który został zdetonowany w samolocie. Bombę skonstruowano tak, aby

wybuchła po tym, jak maszyna wznieśli się na odpowiednią wysokość. Gdyby detonacja nastąpiła zgodnie z planem zamachowca, samolot zostałby zniszczony w powietrzu i zginęliby wszyscy 72 pasażerowie lecący z Chicago do Waszyngtonu. Dym, który wypełnił wnętrze odrzutowca, spowodował jedynie problemy z oddychaniem u 12 osób. Incydent z bombą wystarczył jednak, aby sprawę przejęło FBI.

Celem kolejnego ataku stał się prezes United Airlines Percy Wood, który doznał poważnych obrażeń całego ciała, ale przeżył. Przez pięć kolejnych lat „Unabomber” – jak nazwała go prasa – wysyłał przesyłki z bombami adresowane do kolejnych uniwersytetów oraz do firmy Boeing. Zamachowiec nie pozostawiał po sobie żadnych śladów. Wykonywał ręcznie, z dużą precyzją, nawet takie elementy składające się na bombę, które można było kupić w sklepie, a ofiary poszczególnych zamachów nie były ze sobą w żaden sposób powiązane. Na metalowych elementach odpornych na zniszczenie w eksplozji pozostawiał tylko dwie litery: „FC”.

Przez lata śledczy nie mieli żadnego innego punktu zaczepienia. Uznano, że sprawcą jest mechanik lotniczy, prawdopodobnie już nieaktywny zawodowo. Po kolejnych zamachach zmieniano profil sprawcy, zakładając m.in. jego ponadprzeciętną inteligencję, związki ze światem akademickim i naukami ścisłymi czy neoluddystyczne poglądy. Powstała również teoria, przekazywana przez FBI publicznie, według której „Unabomber” miał obsesję na punkcie drewna, na co wskazywać miały nazwisko jednej z ofiar, precyzyjnie wykonane, niekiedy z kilku rodzajów drewna, cylindryczne obudowy bomb oraz profesja ostatniej z ofiar – Gilberta Murraya. Założenie to okazało się bzdurą.

Z czasem „Unabomber” udoskonalił konstrukcję bomb, co w grudniu 1985 r. doprowadziło do pierwszej ofiary śmiertelnej. Szczególny był zarówno cel – sklep komputerowy – który odróżniał się od poprzednich, jak i sposób podłożenia bomby. Hugh Scrutton, właściciel sklepu, zginął, gdy próbował podnieść pozosta-

wiony na parkingu przed budynkiem, zaadresowany do niego pakunek. Drzażgi i gwoździe powbijane w całe ciało doprowadziły do szybkiego wykrwawienia. Dwa lata później „Unabomber” próbował zabić kolejnego właściciela sklepu komputerowego. Tym razem bomba eksplodowała po tym, jak Gary Wright próbował podnieść pozostawioną przed sklepem kłodę. Lekarze wyjęli z jego ciała kilkaset odłamków drewna i metalu, mężczyzna przeżył. Tym razem „Unabomber” popełnił błąd. Kobieta, która widziała go, gdy zostawiał paczkę, pomogła w sporządzeniu portretu pamięciowego. Wizerunek pojawił się we wszystkich najważniejszych amerykańskich mediach. Przez pięć kolejnych lat zamachowiec nie wysłał żadnej paczki.

W latach 1993–1995 nastąpiły cztery kolejne ataki, w których zginęły dwie osoby. Zespół ścigający „Unabombera”

ków, których podejrzewano o wysyłanie bomb. Większość donosów była dla śledczych bezwartościowa. Jedno zgłoszenie zwróciło jednak uwagę FBI.

Ofiara eksperymentu

Theodore Kaczynski był wrażliwym, nieśmiałym i wycofanym dzieckiem. Od siódmego roku życia, gdy urodził się jego młodszy brat David i rodzice nie poświęcali mu całej uwagi, zaczął jeszcze bardziej unikać innych ludzi. Prawie się nie uśmiechał. Jego brat wspomina rodzinę jako zupełnie normalną. Ted – wręcz przeciwnie.

Evergreen Park to małe miasteczko na przedmieściach Chicago, zbudowane niemal od podstaw w zaledwie 20 lat.

Gdy w 1952 r. wprowadzała się tu rodzina Kaczynskich z 10-letnim Tedem, mieszkało tutaj już nieco ponad 10 tys. ludzi, z których większość wprowadziła się w ciągu kilku ostatnich lat (10 lat później w mieście mieszkało już 25 tys. ludzi). W większości byli to imigranci i ich potomkowie pochodzący z Irlandii, Włoch, Czech i Polski. W tworzonej od podstaw społeczności z silnym konfliktem na tle rasowym Kaczynscy nie cieszyli się wielkim szacun-

kiem sąsiadów ze względu na otwarty i przyjazny stosunek do czarnoskórej mniejszości. Miejska infrastruktura dopiero powstawała, więc Ted trafił do nowo otwartej szkoły średniej, w której stworzono od razu klasy dla czterech roczników nastolatków uczęszczających do tej pory do różnych szkół. Niski jak na swój wiek, zaczynający w najmłodszej klasie, aspołeczny Ted Kaczynski żył na uboczu szkolnej społeczności. Gdy testy na inteligencję wykazały, że ma IQ na poziomie 167, przeskoczył do klasy ze starszym rocznikiem. To, co rodzice uznali za wielki sukces, stało się przekleństwem nastolatka. Był nie lubiany i uznawany za dziwaka. Wykazywał się za to dużą aktywnością w zajęciach pozalekcyjnych i był ulubieńcem nauczycieli. Jednocześnie rodzice wywierali na niego ogrom-



Mechanizm jednej z bomb konstrukcji Kaczynskiego FOT. ARCHIWUM

rozrósł się już do 150 etatowych pracowników. Zamachowiec miał na koncie trzy ofiary śmiertelne, 23 rannych. Mimo zgromadzenia setek śladów żaden nie wskazywał na tożsamość sprawcy. Przez kilkanaście lat FBI nie poczyniło znaczących postępów, „Unabomber” mógł dokończyć bez przeszkód kolejnych ataków.

Sytuacja zmieniła się w 1995 r., gdy grupa przedstawiająca się jako FC (Freedom Club – Klub Wolności) przesłała liczący 35 tys. znaków manifest, domagając się publikacji w największych amerykańskich gazetach. Ultimatum brzmiało: publikujcie albo będziemy zabijać dalej. Gdy Amerykanie przeczytali „Społeczeństwo przemysłowe i jego przyszłość” autorstwa „Unabombera”, do FBI zaczęły spływać donosy na byłych małżonków, sąsiadów, współpracowni-

■ na presję, krytykując za stopnie niższe niż szóstka. Ted czuł się osaczony. Coraz bardziej zamykał się w sobie.

Gdy otrzymał stypendium i został przyjęty na Harvard wiosną 1958 r., nie miał jeszcze ukończonych 16 lat. Nastoletni, niedojrzały emocjonalnie geniusz znów miał pecha. Na uczelni pracował wówczas Henry Murray, który w czasie wojny wykonywał zadania dla Biura Służb Strategicznych (poprzednik CIA). Opracowywał na jego potrzeby system testów dla kandydatów do służby. Przygotował dla rekrutów wyjątkowo ciężką przeprawę, sprawdzającą m.in. odporność na przesłuchania. Po wojnie na Harvardzie prowadził m.in. badania nad technikami prania mózgu. W ramach jednego z eksperymentów poddawał badanych wyniszczającym psychicznie przesłuchaniom, które stosowane permanentnie miały prowadzić do rozbicia osobowości. U badanych studentów szukano słabych punktów, najważniejszych przekonań oraz wartości i wyszydzano je, maksymalizując doznawany stres. Jednym z badanych studentów był Ted Kaczynski.

Ubogie życie prywatne łączyło się u niego z wybitnymi osiągnięciami naukowymi. Kaczynski okazał się matematycznym geniuszem. W wieku 25 lat obronił doktorat na University of Michigan. Jego promotor Allen Shields uznał jego doktorat za najlepszy, jaki powstał pod jego kierunkiem, a prof. Maxwell Reade, zasiadający w komisji oceniającej pracę, twierdził, że jest tak zaawansowana, iż w USA zaledwie 10–12 osób jest w stanie ją zrozumieć. Kaczynski wcześniej opublikował też dwa artykuły naukowe stworzone na podstawie dysertacji. Dzięki swoim osiągnięciom naukowym w 1967 r. został najmłodszym wykładowcą matematyki w historii prestiżowego Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley.

Ucieczka w samotność

Był na najlepszej drodze do znakomitej kariery naukowej. Jednak już przed przyjazdem do Kalifornii miał zupełnie inny plan na przyszłość. Marzył o samotnym życiu w lesie, gdzieś na odludziu w Kanadzie. Chciał zaszyć się w leśnej



Chata Kaczynskiego w stanie Montana

FOT. ARCHIWUM

chacie ze strzelbą i żyć w zgodzie z naturą oraz dzięki temu, co sam zdoła zdobyć. Potrzebował pieniędzy na start, dlatego przyjął posadę na uczelni. Pewnego dnia zrezygnował bez powodu. Naukowcy z jego wydziału nie rozumieli dlaczego. Ted Kaczynski miał jednak plan.

Przeniósł się do rodziców w Illinois, gdzie przygotowywał się do przeprowadzki i samotniczego trybu życia. Poświęcił czas m.in. na naukę survivalu. W 1971 r. zamieszkał w zbudowanej wspólnie z bratem małej drewnianej chatce w lesie, bez prądu i wody, niedaleko Lincoln w stanie Montana.

Nie zerwał kontaktu z rodziną i wrócił do niej siedem lat później. Zatrudnił się w fabryce, w której pracował jego ojciec, a brygadzystą był brat David. Jego nadzorcą była młodsza o siedem lat 29-letnia Ellen Tarmichael. Jedyna kobieta, z którą się spotykał. Po dwóch randkach kobieta powiedziała, że nie chce się już z nim widywać. „Czułam, że poza pracą nic nas nie łączy” – mówiła w rozmowie z „New York Timesem”. Deklarowała też, że nie była w związku z Kaczynskim i nie łączyły ich żadne intymne relacje.

Ted zemścił się na kobiecie, pisząc i rozwieszając w fabryce złośliwe limeryki na jej temat. Gdy jego brat poprosił, aby tego nie robił, następnego dnia przypiął kolejny wiersz nad jego biurkiem. David musiał go zwolnić.

Miesiąc wcześniej „Unabomber” wysłał swoją pierwszą przesyłkę z bombą. Nie była to więc odpowiedź na nieudaną próbę nawiązania relacji z kobietą. Kilka miesięcy wcześniej odrzu-

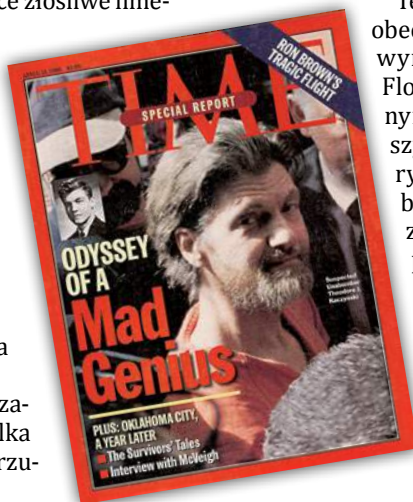
czo jego artykuł naukowy, w którym pisał o technologii niszczącej społeczeństwo. Po tych wydarzeniach wyjechał do swojej chaty i niemal zupełnie zerwał kontakt z rodziną.

Te same tezy wyrażał również w listach pisanych do rodziny. Gdy żona Davida Kaczynskiego przeczytała manifest „Unabombera” opublikowany w „The Washington Post”, od razu powiązała go z listami Teda. Zarówno David, jak i jego matka zdecydowali, że muszą powiadomić FBI o swoich podejrzeniach, iż ich brat i syn Theodor Kaczynski jest „Unabomberem”, który terroryzuje Amerykę.

FBI zatrzymało go w leśnej chacie w Montanie. Znalaziono w niej bombę gotową do odpalenia, materiały wybuchowe i zapalniki. Wbrew obietnicy złożonej rodzinie prokuratura zażądała dla „Unabombera” kary śmierci. obrońcy przydzieleni z urzędu próbowali forsować linię obrony opierającą się na niepoczytalności Kaczynskiego. Ten jednak odmówił, zrezygnował z obrońców i zdecydował się bronić samodzielnie. Przyznał się do winy, unikając w ten sposób kary śmierci. Otrzymał wyrok dożywotniego więzienia bez możliwości wcześniejszego zwolnienia. Przyznał się jednak nie ze strachu przed śmiercią. Nie chciał, aby jego idee zostały uznane za dzieła szaleńca.

Przytoczone na wstępie tezy możemy z łatwością odnieść do siebie. Mogą się podobać i znaleźć zwolenników. Tak też się stało z manifestem Kaczynskiego. Zza więziennych krat prowadzi korespondencję ze swoimi zwolennikami, napisał też dwie książki: „Technologiczne niewolnictwo” wydane w 2010 r. i „Antytechnologiczna rewolucja: dlaczego i jak” z 2016 r. Kolejne czekają na publikację.

Ted Kaczynski ma obecnie 76 lat. Odsiaduje wyrok w więzieniu ADX Florence, przeznaczonym dla najgroźniejszych więźniów w Ameryce. Ze względów bezpieczeństwa każdy z osadzonych ma pojedynczą celę. David Kaczynski odmówił przyjęcia miliona dolarów nagrody za zadenuncjowanie brata.



1918–1939 / Rosyjski depozyt czy „mała Ukraina”?

Zakarpacka beczka prochu



RYS. KRZYSZTOF WYRZĄKOWSKI



Piotr Semka

W międzywojniu mało u nas znane Zakarpacie stało się miejscem wielkiej europejskiej polityki. Ścierały się tam interesy Polski, Węgier, Czechosłowacji i oczywiście Ukraińców

Zakarpacie przypadło Czechosłowacji w 1918 r. na zasadzie przypadku. Po klęsce Królestwa Węgier w I wojnie światowej Słowacja zerwała z Budapesztem i zaakceptowała propozycję Czechów stworzenia nowego, wspólnego państwa. Rumunia z kolei zabrała przegranym Madziarom Siedmiogród i podlegającą Austrii Bukowinę.

W rezultacie od Węgier odcięte zostało Zakarpacie – najdalej wysunięty na północ fragment ziem dawnej Korony

św. Stefana, należący do Węgrów nieprzerwanie od ponad tysiąca lat. Kraina o ludności mało świadomej etnicznie i słabych elitach. Z gospodarką rolniczą i leśną, zacofaną i niemal całkowicie pozbawioną przemysłu.

Czechosłowacki przywódca Tomasz Masaryk uznał, że stworzone przez niego nowe państwo musi zagarnąć te ziemie z racji strategicznych. Chodziło o wspólną granicę z Rumunią – jednym z państw aliansu antywęgierskiego, które wzbożyciło się terytorialnie na traktacie z Trianon. Czesi nie chcieli, by ziemie te

były węgierską enklawą i pragnęli aneksji Zakarpacia z przyczyn ideologicznych – zacofany kraj miał być beneficjentem misji cywilizacyjnej państwa czechosłowackiego. Dopóki trwała wojna domowa w Rosji, dopóty czeskie elity sympatyzujące z białymi deklarowały, że ziemie te biorą w depozyt dla przyszłego państwa rosyjskiego. Formalną podstawą do zaboru ziem była umowa Masaryka z przedstawicielami emigracji Rusinów zakarpackich w USA, którzy w zamian za obietnicę autonomii zaakceptowali akces do przyszłej Czechosłowacji.

Czesi, obejmując nowe ziemie, nie bardzo zdawali sobie sprawę ze skłócenia politycznego Rusinów ani skali zapóźnień cywilizacyjnych tej górskiej krainy.

Autorzy książki „Ukraiński Piemont” Michał Jarnecki i Piotr Kołakowski piszą: „Propaganda węgierska czyniła [...] wiele w latach wojny, niemal zaklinała rzeczywistość, aby dowieść, iż wbrew bliskości językowo-kulturowej słowiańscy autochtoni niewiele mają wspólnego

■ z Rosjanami czy nieodległymi nawet Ukraińcami”.

Po zajęciu tych terenów przez Czechów, w styczniu 1919 r., wszystkie tłumione aspiracje słowiańskie wyszły na jaw. Tyle że ku strapieniu Czechów autochtoni podzieleni byli na trzy opcje – moskalofilską uznającą się za odłam narodu rosyjskiego, opcję ukraińską w stylu galicyjskim i wreszcie najsłabszą opcję rusnacką, uznającą tutejszą ludność za osobny naród.

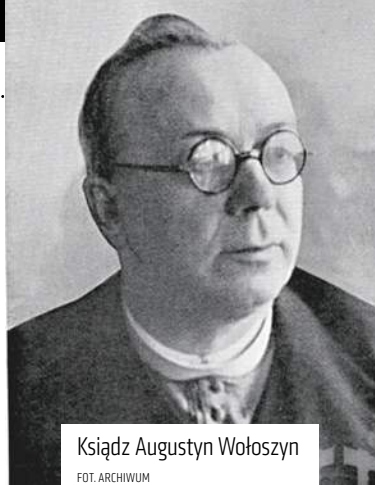
Przeprowadzony w 1921 r. spis ludności wykazał, że na Zakarpaciu żyje 604 tys. ludzi, z czego 61,23 proc. stanowili autochtoniczni Rusini, Węgrów było 17,15 proc., Żydów zaś 13,19 proc. Innych (głównie Niemców i Rumunów) było 4,79 proc., a Czesi i Słowacy stanowili 3,62 proc. – byli to głównie urzędnicy, wojsko i żandarmeria.

Główną zadrą w stosunkach między rządem w Pradze a lokalną ludnością będzie kwestia autonomii. Jej obietnica złożona była w tzw. małym traktacie wersalskim z 28 czerwca 1919 r., w traktacie pokojowym z Austrią podpisanym w Saint-Germain 10 września 1919 r. i w konstytucji czechosłowackiej z 29 lutego 1920 r.

W ciągu kolejnych lat rozpoczną się też spory o niedostateczny udział miejscowych w obsadzie kadry administracyjnej. Urzędy obsadzane były Czechami i Słowakami, gdyż lokalnej inteligencji było niewiele.

A jednocześnie władze czechosłowackie dbały o to, by administracji nie obejmowali „haliczanie”, czyli Ukraińcy ze struktur zlikwidowanej przez Polskę w 1919 r. Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej. Obecność aktywistów i byłych wojskowych ZURL (np. Hnata Stefaniwa, byłego dowódcy walk o Lwów w 1918 r.) w życiu Zakarpacia spędzała sen z powiek władzom polskim, które bały się uczynienia z tej „Ersatz-Ukrainy” bazy do ataków na władze polskie w Małopolsce Wschodniej.

Pierwszym gubernatorem prowincji został działacz rusiński z USA Hryhorij Żatkowycz, ale dano mu w roli „anioła stróża” doświadczonego czeskiego urzędnika, Jana Brejce. Taka gra nie mogła się skończyć dobrze i w kwietniu 1921 r. Żatkowycz z hukiem podał się do dymisji, wyjechał do USA i tam ogłosił: „Czesi nas oszukali”.



Książd Augustyn Wołoszyn

FOT. ARCHIWUM

Po tym skandalu urzędnicy z Pragi nauczyli się rządzić w bardziej subtelny sposób. Balansowali między moskalofilami, Ukraińcami a Rusinami.

Dość silni byli miejscowi komuniści, którzy w myśl linii WPK(b) z lat 20. forsowali określenie „Ukraińiec” zamiast „Rusin”. W 1926 r. weszła w życie ustawa o języku państwowym, która na tych terenach wprowadzała do szkół język rosyjski, formalnie zrównany z ukraińskim, ale faworyzująca rosyjski. Irytacje wywoływali u miejscowych czescy urzędnicy czujący się tu nosicielami cywilizacji. Czesi budowali też jednak nowoczesne modernistyczne gmachy w centrum Užhorodu, Mukaczewa i Chustu.

Kryzys przełomu lat 20. i 30. zaostrzył konflikty, ale od 1935 r. polepszająca się koniunktura odbudowała poczucie optymizmu gospodarczego. Wtedy powróciła z mocą kwestia orientacji narodowej.

W wyścigu o ukształtowanie narodowej identyfikacji zaczęli przewodzić Ukraińcy, którzy marzyli o Zakarpaciu jako o „ukraińskim Piemencie”.

Zwolennicy Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) coraz częściej przypominają czechosłowackim urzędnikom, że są tu tylko czasowymi gośćmi. Jak piszą autorzy książki, „spektakularnym sygnałem dojrzewania ukraińskich ambicji i polaryzacji stanowisk stał się zamach działacza OUN Fedora Tarinca na przedstawiciela rusofilskiego kierunku, autora podręczników szkolnych, Eugeniusz Sabowa, dokonany 1 czerwca 1930 r.”.

W miarę upływu kolejnych lat język nacjonalistów się zaostrza. Na wiecu

ukraińskiej organizacji oświatowej Proswyta w 1937 r. działacz OUN Stefan Rosocha głosił: „Dotąd walczyliśmy o autonomię Zakarpacia, ale teraz od Czech nie chcemy już autonomii. Chcemy samostnego, wielkiego ukraińskiego państwa, za które będziemy walczyć do ostatniej kropli krwi”. Ukraińcy zakarpaccy brali przykład z ruchu Hlinki na Słowacji, który od wiosny 1938 r. przybiera ultymatywny ton wobec władz w Pradze.

29 maja 1938 r. dochodzi do połączenia dwóch ukraińskich rad politycznych CRRN i RCRN w jedną Ukraińską Radę Narodową. Wystarczyło poczekać, aż państwo Masaryka, który zmarł rok wcześniej, zacznie przeżywać ostry kryzys.

Republika się pruje

Ten wymarzony przez narodowców ukraińskich moment działania nadszedł wraz z kryzysem monachijskim we wrześniu 1938 r. Upadek prezydenta Edwarda Beneša i oddanie Hitlerowi pogranicza zamieszanego przez Niemców było sygnałem, że władza Pragi słabnie.

Niemcy zainteresowani dolewaniem oliwy od ognia dają do zrozumienia Ukraińcom, że mogą w staraniach o autonomię liczyć na ukryte wsparcie Berlina.

W notatce Auswärtiges Amt na temat linii Hitlera pisaną: „Co się dotyczy Rusi karpackiej, to Führer uważa za pożyteczne, by Niemcy nie mieszały się do kwestii [...], która pozostawiona sama sobie rozwinie się na pewno we właściwym kierunku”.

Oslabiona zaborem Sudetów Czechosłowacja godzi się na powstanie rządu autonomicznego na czele z Andrejem Bródy, politykiem stosunkowo przewidywalnym. Brody i dwóch członków gabinetu autonomii – ks. Augustyn Wołoszyn i Edmund Baczynski – zostają członkami rządu w Pradze.

Cieniem na ambicje Ukraińców kładą się jednak coraz wyraźniejsze ambicje Węgier, by wobec kryzysu Czechosłowacji odzyskać Zakarpacie jako „prawowitą część Korony św. Stefana”.

Węgrom w destabilizacji tych ziem pomaga polski wywiad poprzez akcję dywersyjną „Łom”. Polscy dywersanci przekraczają polską granicę i dokonują licznych aktów sabotażu. Chodzi o wzmocnienie wrażenia, że Czesi nie



**MICHAŁ JARNECKI,
PIOTR KOŁAKOWSKI**
„UKRAIŃSKI PIEMONC – RUŚ
ZAKARPACKA W OKRESIE
AUTONOMII 1938-1939”

OFICyna WYDAWNICZA RYTM

panują nad swymi wschodnimi kresami, a anarchię może ukrócić tylko wkroczenie armii węgierskiej. Niemcy jednak już częściowo zmieniają front.

O ile na konferencji w Monachium zlekceważono węgierskie i polskie roszczenia terytorialne wobec Czechosłowacji, o tyle teraz Berlin staje po stronie Budapesztu.

Pojawia się idea arbitrażu wiedeńskiego, który jest dalszym ciągiem przykrawania państwa czechosłowackiego.

Niemcy i Włosi nakazują Czechom i Słowakom oddać Madziarom południowy pas ziem przygranicznych z Koszycami i Lucenem w części słowackiej granicy, a na Zakarpaciu ziem południowych tej krainy z utratą Użhorodu, Mukaczewa i Berehowa. Dla mieszkańców Zakarpacia to gorzka pigułka – autonomia traci trzy najważniejsze miasta.

Na pozostałych terenach nacjonalisci spod znaku OUN zaczynają wcielać w życie plan stworzenia „ukraińskiego Piemontu”.

Złudne nadzieje

Rząd w Chuście – bo to miasto po utracie Użhorodu zostaje stolicą autonomii – coraz częściej zaczyna po prostu ignorować słabnący rząd II republiki w Pradze.

Wydarzenia toczą się coraz szybciej. Jak piszą autorzy książki: „Ukraińcy, bardziej dynamiczni, mający intelektualne wsparcie ze strony emigracji na terenie II Republiki oraz diaspory zza oceanu, wyeliminowali faktycznie bądź zmusili do uległości rusofilskich czy słabszych rusnackich rywali”.

Wskutek podrzuconych Czechom przez Ukraińców dokumentów na temat współpracy Andreja Bródego z Węgrami – premier rządu autonomicznego zostaje aresztowany. Niemcy, traktując Czechosłowację jak wasal, narzucają nowego premiera autonomii ks. Augustyna Wołoszyna.

Czesi przystają na to, łudząc się, że Wołoszyn jest lepszy od aktywistów OUN. To jednak tylko złudzenie. Ukraińscy nacjonalisci rządzą we wszystkich strategicznych punktach. Zakładają Sicz Karpacką jako niepodległościowe siły zbrojne nowego quasi-państwa. „Siczowcy” wszczynają incydenty z czechosłowackimi wojskiem i żandarmerią,

napadając na posterunki i rabując broń.

Zaczynają się pogrozki wobec czeskich urzędników, by wrócili do siebie „po dobremu”.

Przegrani rusofile spychani na margines protestują przeciwko rządowi w Pradze, ale ten jest bezradny. Rząd Wołoszyna wprowadza rządy twardej ręki. Już 27 października 1938 r. rozwiązuje 14 legalnych dotąd partii – komunistów, stronnictwa węgierskie i rusofilskie. Mający jednak wsparcie Berlina miejscowi Niemcy mogą działać w Deutsche Partei.

Monopartią narodowej jedności zostaje UNO – Ukraińskie Zjednoczenie Narodowe, które nie kryje ambicji stworzenia na bazie Zakarpacia Wielkiej Ukrainy z polskiej Małopolski Wschodniej, a w drugim etapie aneksji rumuńskiej Bukowiny. Każdy, kogo UNO uzna za wroga państwa, łąduje w Rachowie pod górą Dumeń, gdzie powstaje obóz koncentracyjny dla nieprawomyślnych.

Panami ulic stają się „siczowcy”, których mundury nawiązują do umundurowania Strzelców Siczowych z lat 1914–1919. Rozpoczyna się nowy proces – miejscowych Ukraińców zaczynają wypychać ze stanowisk kombatancki ZURL z Galicji. Nie ukrywają, że skoro zaczyna powstawać państwo ukraińskie, to ważne stanowiska powinni objąć najpewniejsi si działacze, najlepiej z OUN.

Ta próba stworzenia „ukraińskiego Piemontu” kończy się 14 marca 1939 r. Niemcy porzucają Ukraińców i równolegle ze swoją aneksją Czech i Moraw oraz utworzeniem Słowacji dają Budapesztu-

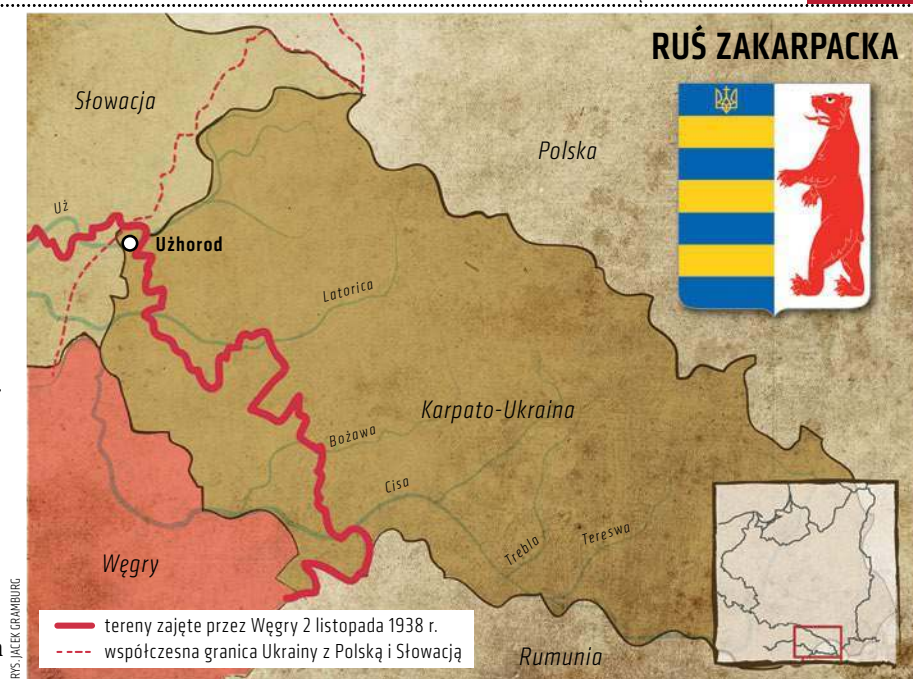
wi zielone światło do zajęcia Zakarpacia. Ukraińcy, dysponujący jedynie ok. 12 tys. członków Sicy Karpackiej, walczą jak mogą z aneksją, ale nie mają szans z 50-tysięcznym zgrupowaniem armii węgierskiej. Przed wejściem Węgrów Wołoszyn proklamuje 14 marca w Chuście powstanie niepodległego państwa o nazwie Karpacka Ukraina. To państwo nie przetrwało 48 godzin.

Książd Wołoszyn zbiegł do Rumunii. Siczowców, którzy uciekli za rumuńską granicę, wyłapano i wydano Węgrom na rozstrzelanie. Szkoda, że autorzy nie wgłębiają się dokładniej w kwestie oskarżeń dzisiejszych historyków ukraińskich, którzy zarzucają także polskiemu wojsku rozstrzeliwanie pojmanych przez Węgrów bojowników Sicy z terenów II RP. Niedawno na karpackiej Przełęczy Wereckiej odsłonięto nawet pomnik ku czci takich ofiar. Zarzut ten będzie pojawiać się jeszcze nieraz w debatach polsko-ukraińskich.

Niezależnie od jej paru słabości książkę Michała Jarneckiego i Piotra Kołakowskiego należy przyjąć z zainteresowaniem. Polacy zbyt mało wiedzą o tym zakątku Ukrainy, z którą dzieli nas południowa granica.

Zakarpacie nie stało się ostatecznie „ukraińskim Piemontem”, choć w mitologii niepodległościowej naszych południowo-wschodnich sąsiadów wydarzenia marca 1939 r. mają swoje ważne miejsce. Pora, abyśmy i my poznali ten epizod historii Ukrainy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone





Piec krematoryjny
w obozie Auschwitz-
Birkenau FOT. ARCHIWUM

Wywiad

Z izraelskim historykiem prof. Gideonem Greifem



Piotr Zychowicz

Ofiary, a nie sprawcy

/ Niemcy wybrali Żydów do obsługi krematoriów, bo chcieli ich upodlić, odebrać im ich człowieczeństwo

PIOTR ZYCHOWICZ: Kim byli członkowie Sonderkommando?

GIDEON GREIF: Byli niewolnikami. Niewolnikami w fabrykach śmierci.

Kto trafił do tej formacji?

Młodzi więźniowie wybrani przez Niemców i zmuszeni przez nich do tej upiornej pracy. W przytłaczającej większości byli to Żydzi.

Jakie były ich obowiązki w Auschwitz?

Byli obecni podczas sześciu faz masowego mordu Żydów.

Jaka była pierwsza faza?

Pierwszą fazą było rozbieranie ofiar. Przybyły do Auschwitz transport był poddawany selekcji. Ludzie skazani na śmierć byli kierowani do specjalnej sali, w której kazano im się rozebrać.

Członkowie Sonderkommando im w tym pomagali. To była jedyna faza, w której tak zwani Sonder mieli kontakt z żywymi ludźmi. W pozostałych pięciu fazach mieli już do czynienia z martwymi ciałami.

Czy członkowie Sonderkommando rozmawiali z tymi ludźmi?

Czasami tak. Ludzie zadawali pytania. Chcieli wiedzieć, co się z nimi stanie. Byli przerażeni. Chociaż Niemcy powiedzieli im, że idą tylko do dezynfekcji, to niektórzy przeczuwali, że dzieje się coś strasznego. Członkowie Sonderkommando znajdowali się w dramatycznej sytuacji. Nie chcieli kłamać, ale nie byli w stanie powiedzieć prawdy. Poinformować ludzi, że za kilka minut nie będą żyli. W transportach były przecież kobiety, małe dzieci... Czasami nawet ich najbliżsi krewni.

Niewyobrażalne...

Tak, tego, przez co przechodzili ci ludzie, nie da się wyobrazić. Czasami członkowie Sonderkommando – np. kiedy spotykali znajomych – informowali ich, co ich czeka.

W wywiadach, które przeprowadził pan do książki „Płakaliśmy bez łez”, część członków

Sonderkommando mówi, że starali się uspokoić tych ludzi. Mówili im, że idą tylko pod prysznic, że nic im nie grozi.

Nie można mieć o to do członków Sonderkommando pretensji. Cóż oni mogli zrobić? Nie byli przecież w stanie nikogo ocalić. Nie byli nawet w stanie ocalić siebie. Wszyscy Żydzi byli skazani na śmierć. Cóż by więc dało powiedzenie prawdy? Wywołałoby tylko straszliwe cierpienia idących na śmierć. Zamieniłoby ostatnie minuty ich życia w piekło. Członkowie Sonderkommando postępowali słusznie. Podobnie jak wtedy, gdy starali się ulżyć cierpieniom Żydów.

Jak?

Jeden z członków Sonderkommando opowiedział mi, że kobiety, którym kazano rozebrać się do naga, często bardzo się wstydyli. On wtedy zawsze odwracał wzrok, żeby nie powiększać ich upokorzenia. Chociaż Niemcy chcieli zamienić ich na swoje podobieństwo w dzikie bestie, to oni zachowali swoje człowieczeństwo. To była klęska Niemców i zwycięstwo żydowskiego ducha. Fizycznie Niemcy nas pokonali, ale moralnie nie zdołali nas pobić.

Nie mówimy chyba jednak o wszystkich więźniach z Sonderkommando? Zachowały się przecież relacje, które świadczą o tym, że członkowie tej formacji zachowywali się wobec ofiar w sposób brutalny.

Oczywiście, ale to były wyjątki. W każdej dużej grupie ludzi znajdują się złe jednostki. Większość nie zatraciła jednak swojego człowieczeństwa, mimo że przyszło jej pracować w tak nieludzkich warunkach. A nawet ci, którzy zachowywali się źle, robili to ze względu na okoliczności.

W niektórych wspomnieniach z Auschwitz byli więźniowie pisali, że członkowie Sonderkommando wpędzali Żydów do komór gazowych za pomocą kijów i rozszalałych owczarków niemieckich. Rozumiem, że to nonsens.

Nonsens! Jedynymi ludźmi, którzy mieli psy w Auschwitz, byli Niemcy. I to oni szczuli psy na ludzi. Co do kijów – rzeczywiście, członkowie Sonderkommando mieli kije, ale używali ich bardzo rzadko, tylko na polecenie Niemców. Sami z siebie nie byli jednak ani agresywni, ani okrutni.

Czyli Niemcy ich terroryzowali?

Bez przerwy. Niemcy utrzymywali ich w permanentnym strachu... Nie ma ani nie było na świecie uniwersytetu, który mógłby przygotować człowieka na takie doświadczenie.

Przejdźmy do drugiej fazy.

Po rozebraniu do naga ofiary były kierowane do komory gazowej. Tam były mordowane przez Niemców. Drugim zadaniem Sonderkommando było wyniesienie ciał z komory gazowej. Włączano wentylację i czekano przez pewien czas, aż gaz się ulotni. Potem otwierano hermetyczne drzwi i „Sonder” wkraczali do środka.

Widok musiał być przerażający.

Tego nie da się opisać! Ludzie leżeli jeden na drugim. Całymi zwalami. Ciała były ze sobą poplątane, zwarte. Członkowie Sonderkommando musieli je porozdzielać i – jedno po drugim – wynieść na zewnątrz. Wymagało to olbrzymiej siły. Trwało to wiele godzin. W największej komorze mordowano przecież jednorożowo 2,5 tys. osób.

Mój Boże...

To, co opowiadali mi członkowie Sonderkommando, sprawia, że włos jeży się na głowie. Nie wiem, czy pańscy czytelnicy będą chcieli o tym czytać. Niektóre ciała były w strasznym stanie. Skóra zmieniała kolor, robiły się na niej pęcherze, które eksplodowały. Cała podłoga komory gazowej była pokryta ekskrementami i krwią z wewnętrznych krwotoków. Członkowie Sonderkommando musieli to wszystko dokładnie wysprzątać.

Po co?

Żeby kolejna partia ludzi, która była po pewnym czasie wprowadzana do komory, niczego nie zauważyła. Komora była przecież zakamuflowana, to była niby sala dezynfekująca. Na suficie Niemcy umieścili atrapy pryszniców. Człowiek miał się dowiedzieć o tym, co go czeka, dopiero w ostatniej chwili, gdy już czuł zapach gazu.



Jeden z pańskich rozmówców mówił, że ludzie – małżeństwa lub rodzice z dziećmi – często w momencie śmierci mocno trzymali się za ręce, przytulali się.

Tak, ludzie z Sonderkommando musieli ich później rozdzielać. Zdarzało się też, że ofiary jeszcze się ruszały. Raz gazowanie przeżyło małe dziecko, które miało główkę ukrytą w poduszce. To był prawdziwy cud. Niestety, nie pozwolono mu żyć. Jeden z esesmanów – Otto Moll – rzucił dziecko na ziemię i zastrzelił. Zasady Auschwitz były jasne. Komory gazowej nikt nie mógł przeżyć. Od tego nie było ucieczki. W całej historii Auschwitz nie przetrwała ani jedna ofiara, która przekroczyła próg komory gazowej.

Ani jedna z 1,1 mln...

Ja nadal uważam, że w Auschwitz zginęło 1,3 mln Żydów i ok. 200 tys. nie-Żydów. W większości Polaków. To są oficjalne liczby podane w 1993 r. przez muzeum Auschwitz i wyryte później na pomniku znajdującym się na terenie byłego obozu. Liczba 1,1 mln wydaje mi się zbyt niska. Oczywiście historycy mają jednak w tej sprawie różne zdania.

Co robiono z ciałami po wyjęciu ich z komór?

W krematoriach numer II i III członkowie Sonderkommando umieszczali je na specjalnych elektrycznych windach, które wypychały ciała do góry. W pozostałych krematoriach takich wind nie było, więc po prostu wynosili je do miejsc spalania.

Co tam się działo?

Tam rozpoczynała się faza numer trzy. Czyli golenie włosów zamordowanych kobiet, zdejmowanie pierścionków i kolczyków, wyrywanie złotych zębów.

Ciała pozbawiano wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość.

Te rzeczy zabierali Niemcy?

Tak. Niemcy nie byli bowiem tylko największymi mordercami w dziejach. Oni byli również największymi złodziejami w dziejach. Proszę te słowa dokładnie zacytować.

Nie omieszkać.

Oni ukradli swoim ofiarom wszystko. I – jak pan wie – większość własności zrabowanej przez Niemców w trakcie II wojny światowej nadal znajduje się w ich rękach i oni wcale nie chcą jej oddać. Niemcy bardzo wzbogacili się w trakcie ostatniej wojny. Złoto z tych wyrwanych w Auschwitz zębów pewnie nadal znajduje się w ich bankach.

Wróćmy do Sonderkommando. Ciała zostały ogolone i obrabowane. Co dalej?

Chociaż Holocaust był zbrodnią na gigantyczną skalę, to w jednym aspekcie przypomina mord kryminalny. Niemcy – tak jak kryminaliści – chcieli pozbyć się ciał. Żeby nikt nie dowiedział się o tym, co się stało. Ciała Żydów były więc spalane w zasilanych koksem krematoriach zrobionych przez firmę Topf i Synowie z Erfurtu. To była faza czwarta.

■ To też robili członkowie Sonderkommando?

Tak. Układali ciała na specjalnych rusztach. Na raz mieściły się trzy ciała. W przypadku dzieci – nieco więcej. Takich pieców było 46, ale to nie wystarczało. Przerób fabryki śmierci był zbyt duży. Niemcy za krematorium numer V potraktowali więc wielkie doły, które kazali wykopać i w których palono ciała. Trwało to dzień i noc. Ludzie płonęli non stop. To był właśnie największy problem całego zbrodniczego procesu zachodzącego w fabryce śmierci – w jaki sposób spalić tak gigantyczną liczbę ludzkich ciał, których dostarczały komory gazowe.

Czy całe ciała się spalały?

Nie – części ciała nie ulegała spalaniu. Dlatego Niemcy wyznaczyli specjalną grupę członków Sonderkommando do miażdżenia ich za pomocą specjalnych młotków. W efekcie z całego liczącego często wiele tysięcy ludzi transportu pozostawały tylko prochy.

Rozumiem, że to była faza piąta. A faza szósta?

Ładowanie prochów na ciężarówkę i wrzucenie ich do Wisły lub jej odnogi – Soły. Część prochów zakopano też na terenie Birkenau. Na tym kończył się proces zagłady. Ludzie znikali.

Członkowie Sonderkommando mówili, że najgorszy był pierwszy dzień.

Pierwsza godzina! Najgorsza była pierwsza godzina. To byli młodzi mężczyźni. Wielu z nich nigdy nie widziało nieboszczyka. Nagle pokazywano im komory gazowe wypełnione setkami ciał. I kazano im te ciała spalać. To był dla tych ludzi całkowity szok. Od tego, co widzieli, można było postradać zmysły.

Wielu z nich popełniło samobójstwa?

Nie, to się zdarzało niezwykle rzadko. Rzadziej niż w przypadku zwykłych więźniów. Dlaczego? Chyba dlatego, że ci ludzie chcieli opowiedzieć o tym, co widzieli. To właśnie dzięki zeznaniom ocalałych członków Sonderkommando wiemy dokładnie, jak przebiegał proces „ostatecznego rozwiązania” w Auschwitz.

Niektórzy mówili, że w trakcie swojej mądrych pracy zachowywali się jak roboty.



Palenie zwłok w obozie Auschwitz-Birkenau FOT. ARCHIWUM

Tak, wielu z nich wpadało w odrętwienie, w apatię. Wykonywało kolejne czynności niczym w transie. To był ich mechanizm samoobrony, sposób, żeby nie oszaleć. Primo Levi miał rację, gdy pisał, że to była najbardziej demoniczna ze wszystkich zbrodni narodowego socjalizmu. Zmusić Żydów do pracy w miejscu, w którym mordowano Żydów. Niemcy przecież mogli do tej pracy zmusić innych więźniów innych narodowości. W Auschwitz były ich tysiące. A jednak wybrali Żydów...

Dlaczego?

Zadanie ofiarom śmierci im nie wystarczało. Oni chcieli jeszcze swoje żydowskie ofiary upokorzyć.

Ile trwała praca Sonderkommando?

Sonderkommando pracowało w systemie zmianowym. Noc i dzień. Po 12 godzin. Po zakończeniu tej straszliwej, niezwykle ciężkiej „pracy” członkowie formacji wracali do swoich kwater. Na początku mieli osobny blok, a potem część z nich przeniosła się na strychy krematoriów. Byli ściśle odseparowani od reszty więźniów Auschwitz. Nikt nie mógł mieć z nimi kontaktu. Nikt nie mógł wiedzieć, czym się zajmują.

Ilu więźniów liczyło Sonderkommando?

Przez cały okres istnienia jednostki przewinęło się przez nią nieco więcej niż 3,4 tys. więźniów. Skład tej formacji był płynny, bo Niemcy co pewien czas mordowali jej członków. I dobierali na ich miejsce kolejnych z nadchodzących do Auschwitz transportów.



GIDEON GREIF

„...PŁAKALIMY BEZ ŁEZ...”

ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY

Powodem, dla którego pozostali więźniowie Auschwitz odnosili się z taką niechęcią do członków Sonderkommando, były chyba ich warunki życia.

Tak, to był jeden z powodów. Członkowie Sonderkommando byli przyzwoicie ubrani, znajdowali się w dobrej kondycji fizycznej. Mieszkali w przyzwoitych warunkach. A przede

wszystkim nie cierpieli głodu. Niemcy pozwalali im bowiem zabierać jedzenie, które ofiary prowadzone na śmierć zostawiały wraz z ubraniami. W efekcie członkowie Sonderkommando mieli więcej jedzenia, niż było im potrzebne. To wzbudzało oburzenie innych więźniów, którzy nie brali pod uwagę grozy sytuacji, w jakiej znaleźli się ci ludzie. Te specjalne warunki miały – w zamierzeniu Niemców – sprawić, by członkowie komanda pracowali bardziej „entuzjastycznie”. Chcieli ich w ten sposób przekupić. Warto dodać, że Żydzi z Sonderkommando często dzielili się jedzeniem z innymi więźniami Auschwitz.

Członkowie Sonderkommando często przedstawiani są jako ludzie zdemoralizowani. Wiecznie pijani, używający wulgarnego języka, agresywni.

Jestem jedynym historykiem na świecie, który rozmawiał ze wszystkimi żyjącymi członkami Sonderkommando. W sumie spotkałem ich 31. I mogę pana zapewnić, że to byli dobrzy ludzie. Szlachetni, wielu z nich było bardzo religijnych, bardzo wrażliwych. Nie byli zdemoralizowanymi okrutnikami. Wiem, co mówię, bo świetnie ich poznałem.

Więźniowie Sonderkommando byli pogardzani przez innych więźniów, ale to oni jako jedyni w Auschwitz chwycili za broń i przeciwstawili się Niemcom.

Powstanie, do którego doszło 7 października 1944 r., powinno zostać zapisane złotymi zgłoskami w historii narodu żydowskiego. Zapytani o swoje motywy, uczestnicy tego buntu mówili: „Jeżeli kiedyś powstaną książki o Zagładzie, chcemy, żeby napisano w nich, że Żydzi byli nie tylko bezwolnymi ofiarami, ale także wojownikami”. Tak się stało. Razem z prof. Itamar Levin napisałem książkę o powstaniu dokonanym przez Sonderkommando.

Członkowie Sonderkommando rzucili się na esesmanów z tym, co mieli pod ręką. Nożami, kijami, prętami.

Także granatami, które wcześniej sami potajemnie wyprodukowali. Udało im się zabić trzech esesmanów i wrzucić do pieca jednego niemieckiego kapo. Pewna liczba Niemców została również ranna. Członkowie Sonderkommando podpalili lub wysadzili w powietrze krematorium IV. Oczywiście nie mieli szans. Powstanie zakończyło się tragedią. Esesmani zamordowali 451 członków Sonderkommando. Ci ludzie pokazali jednak Niemcom, że choć udało im się zgładzić miliony Żydów, to nie udało im się złamać żydowskiego ducha. W tym sensie to było zwycięstwo.

Spotkał się pan z 31 byłymi członkami Sonderkommando. W jaki sposób przetrwali? Niemcy przecież planowali ich zamordować, żeby pozbyć się świadków swojej straszliwej zbrodni.

Ci ludzie wykorzystali chaos, jaki zapanował w trakcie ewakuacji obozu. Najpierw Niemcy kazali im zniszczyć komory gazowe i krematoria, aby zatrzeć ślady zbrodni. Potem doszło do zamieszania i członkowie Sonderkommando wmieszali się między innych więźniów. Mimo że Niemcy ich szukali, udało im się ukryć w tłumie.

Przeżył słynny marsz śmierci z Auschwitz w styczniu 1945 r.?

Tak, przeżył go wszyscy. Co do jednego. Proszę pamiętać, że ci ludzie byli w lepszej kondycji fizycznej niż pozostali więźniowie.

Są ludzie, którzy uważają członków Sonderkommando za współsprawców Holokaustu.

To niedopuszczalny, krzywdzący pogląd! Po prostu głupi. Oni nie byli sprawcami – oni byli ofiarami. Muszę teraz podkreślić coś niezwykle ważne. Powtarzałem to tysiąc razy i będę powtarzał kolejny tysiąc. Członkowie Sonderkommando nie byli mordercami. Żaden z nich nigdy nikogo nie zabił. Mordercami byli Niemcy. Od tej zasady w Auschwitz nie było żadnych wyjątków. I w innych obozach zresztą też.

Gaz zawsze do komory wrzucał esesman?

Zawsze. Cyklon B był przywożony w puszkach karetką Czerwonego Krzyża. Samochód parkował przed komorą gazową. Sanitariusz esesman otwieraczem

podwładał wieczko puszek. A następnie wrzucał kryształki gazu do środka. Żydzi nigdy nie wykonywali tej funkcji.

To skąd brało się to negatywne postrzeganie członków Sonderkommando?

Z niewiedzy. Najgorzej było przez pierwsze lata po wojnie – wizerunek członków Sonderkommando rzeczywiście był fatalny. Nawet wielu ocalałych z Auschwitz uważało ich za zbrodniarzy, którzy prowadzili swoich braci, swoje matki i siostry, do komór gazowych. Na szczęście ten pogląd uległ zmianie. Ludzie

Rozumiem, że pan żartuje.

Uważam ją za osobę pozbawioną żydowskich uczuć i żydowskiej solidarności. Hanna Arendt wyrządziła wielkie szkody pamięci Holokaustu. Ponieważ miała wielki wpływ na poglądy tysięcy ludzi, wypaczyła ich opinię na temat Sonderkommando.

W trakcie rozmowy wspomniął pan o Primo Levim. W swoim esej „Szara strefa” włoski pisarz i były więzień Auschwitz napisał, że nie możemy z dzisiejszej perspektywy osądzać ludzi, którzy znajdowali się



Fragment krematorium w obozie Auschwitz-Birkenau. FOT. ARCHIWUM

– m.in. dzięki mojej książce – zrozumieli, że ci nieszczęśliwi żydowscy więźniowie znajdowali się w sytuacji bez wyjścia.

Czy to ze względu na społeczny ostracyzm członkowie Sonderkommando nie chcieli po wojnie opowiadać o swoich przeżyciach?

Tak, niestety tak. To była dla nich wielka trauma. Nie znajdowali zrozumienia. W efekcie o tym, przez co przeszli, nie mówili nie tylko obcym, nie mówili o tym także najbliższym. Starali się to ukryć. Nawet gdy rozmawiali ze mną – historykiem – wielu z nich bardzo ciężko było wracać myślami do piekła Auschwitz.

Co ciekawe, ciężkie oskarżenia pod adresem członków Sonderkommando wysuwali także Żydzi. Na przykład Hanna Arendt, która uważała ich za kolaborantów.

Powiem coś panu. Moja opinia na temat pani Hanny Arendt jest fatalna. Ona nie rozumiała Holokaustu. A mimo to niezwykle łatwo ferowała wyroki. Była osobą bez uczuć. W pewnym sensie była żydowską antysemitką.

w tak straszliwej sytuacji jak członkowie Sonderkommando.

Nie powinniśmy ich osądzać, bo nie jesteśmy sędziami. Naszym zadaniem jest badanie prawdy. Wielu ludzi, którzy łatwo ferują wyroki, nie zna nawet podstawowych faktów. Gdy już poznamy fakty, powinniśmy się starać zrozumieć tych ludzi. Zrozumieć, dlaczego postępowali tak, jak postępowali. Zrozumienie jest lepsze niż potępienie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Gideon Greif

jest izraelskim badaczem Holokaustu. Wykłada na amerykańskim University of Texas. Specjalizuje się w historii Sonderkommando. Napisał m.in. „Death factory Auschwitz: topography and everyday life in a concentration and extermination camp”.



FOT. FUNDACJA NIERODZIELNOŚCI

Wywiad / Ze Zbigniewem Sebastianem Siemaszką



rozmawia Janusz Pierchała

Sowietom nie wolno ufać

JANUSZ PIERZCHAŁA: Należy pan do pokolenia, które urodziło się i wychowało w niepodległej Polsce. Co wpłynęło najbardziej na kształtowanie się pana jako polskiego patrioty?

ZBIGNIEW SEBASTIAN SIEMASZKO: Dom, szkoła, to znaczy Gimnazjum oo. Jezuitów w Wilnie, i Stanisław Cat-Mackiewicz, to znaczy pismo, które redagował i wydawał, czyli „Słowo”.

Kto i co włożył do pana duszy i umysłu?

Dom – to była tradycja i wiara, dwa – podstawowe elementy. Dom był zdecydowanie rzymskokatolicki i przywiązany do tradycji polskiej zarówno w znaczeniu ogólnym, jak i lojalności w stosunku do otoczenia, w którym moja rodzina żyła przez wieki. Moi rodzice mówili w takim języku, w jakim do nich się zwracano. Białoruski nie był językiem domowym, ale jeżeli ktoś mówił do nas po białorusku, to się rozmawiało po białorusku. Nie było żadnego strasznego potępienia prawosławia. To była inna religia, ale była respektowana. Jeśli Wielkanoc prawosławna zbiegała się z katolicką, to pop przyjeżdżał do naszego domu i składał nam życzenia.

Gimnazjum jezuitów wychowywało elity, i to wychowywało wspaniale. Nie mówiono: „Wy jesteście elitą”, ale: „Wy będziecie musieli decydować”. Jezuiti uczyli publicznego wypowiadania się. Nabierałem u nich poczucia obowiązku i odwagi do publicznego występowania, do wypowiadania się. A ponieważ polityka zawsze mnie bardzo interesowała, zacząłem czytać „Słowo” Mackiewicza, które było zawsze w domu. Wreszcie zaczęło odgrywać pewną rolę w moim życiu wojsko. W czwartej klasie byłem uczniem przysposobienia wojskowego, ale to miał każdy. Ja natomiast uczęszczałem jeszcze na PW konne. Byłem zakochany w koniach i bardzo dobrze jeździłem. Kiedy miałem 15 lat, zacząłem uczęszczać do ujeżdżalni i miałem ujeżdżanie na koniach wojskowych.

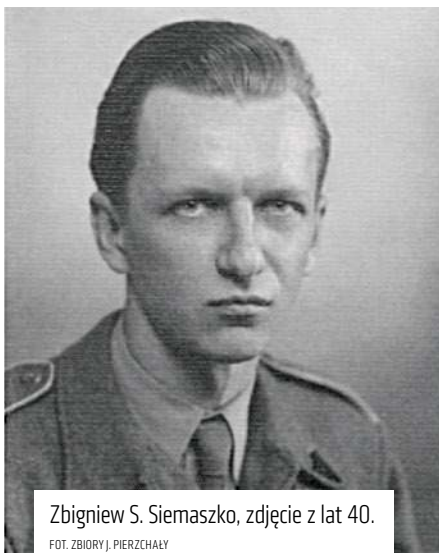
Pańskie pokolenie stało się najbardziej przegranym, najbardziej eksterminowanym pokoleniem w dziejach Polski. Rzuconym na stos. Pańskie dociekania historyczne w dużej mierze krążą wokół dwóch samobójczych decyzji: podjęcia wojny w 1939 r. oraz powstania warszawskiego w 1944 r. Czy ten krąg zainteresowań wybrał pan z uwagi na los swego pokolenia?

Nie! Te zainteresowania zaczęły się dlatego, że mieszkaliśmy w Wilnie.

W Wilnie bowiem w latach 1938 i 1939 istniała chyba jedyna opozycja, aktywna opozycja przeciw wojnie z Niemcami. Był to też sprzeciw wobec powszechnego bezkrytycznego akceptowania tezy: „Niemcy – odwieczny nasz wróg”. Wówczas zresztą zaczęła się moja konfrontacja z endekami na długie lata. „Słowo” i środowisko „Słowa” koncentrowały się w publicystyce i działaniach politycznych na odpowiedziach na pytanie: Na czym polegają naprawdę interesy Rzeczypospolitej? Ekonomista prof. Świaniewicz na wiosnę 1939 r. uzyskał audiencję u Becka i starał się go przekonać, że wojna z Niemcami to popełnianie samobójstwa, że trzeba szukać z nimi porozumienia. Za karę on, profesor, człowiek wówczas 40-letni, został zaraz powołany do wojska. A Mackiewicz, który najpierw pisał, że trzeba szukać porozumienia z Niemcami, a potem, gdy przyjęto tzw. gwarancje brytyjskie (nie wiadomo zresztą, co to miało znaczyć), nazwał je „sojuszem egzotycznym”, Józef Beck wsadził do Berezy. Draka była niesamowita!

Jakie były pana zdaniem przyczyny tych katastrofalnych decyzji politycznych?

Jeżeli bym jeszcze pożył, jeżeli miałbym siły, to na ten temat chciałbym napisać pracę. Jak to się stało, że ci sami ludzie, którzy w 1920 r. bardzo skutecznie przeciwstawili się agresji Rosji Sowieckiej i utrzymali niepodległość Polski, kilkanaście lat później zaufali Sowietom, uwierzyli, że „Sowiety się nie ruszą”, a w lipcu 1944 r. „przyjdą nam z pomocą”? To była przecież główna przesłanka decyzji



Zbigniew S. Siemaszko, zdjęcie z lat 40.

FOT. ZBIORY J. PIERZCHAŁY

o walce o Warszawę – i to wszystko po 17 września 1939 r., po deportacjach, łagrach, masakrach, po Katyniu, po zerwaniu stosunków dyplomatycznych z rządem RP, po akcji „Burza”. Ja do dziś nie umiem sobie tego wytłumaczyć. Widzę różne okoliczności, zdaję sobie sprawę z masy czynników; była działalność komunistów takich jak Wasilewska, była pod koniec lat 30. jakaś propaganda, że „Sowiety są teraz innym krajem”, „Sowiety się ucywilizowały” itd., ale to nie tłumaczy wszystkiego. Skąd to się brało, do końca nie wiem...

Pisząc o ekipie, która rządziła Polską w 1939 r., Stanisław Cat-Mackiewicz zatytułował jeden rozdział swej „Historii Polski...”: „Ludzie niedorośli do rządzenia”. Mościcki, Beck, Rydz, Sławoj-Składkowski – „Piłsudskiego wachmistrz Soroka”... Umysły politycznie słabienkie. Czy to nie jest może główna przyczyna naszej tragedii, że po śmierci Piłsudskiego państwo dostało się w ręce najgorszych z jego ludzi?

Tak, ale nie musieli się dostać! Prezydentem miał być Walery Sławek, a Rydz miał się zajmować tylko wojskiem. Tymczasem on się zajmował polityką, a wojskiem nie miał się kto zajmować. Przecież przygotowanie do wojny 1939 r. i wykonanie było katastrofalne. Na przykład rozdzielałi tyle i tyle wojska na kilometr. Czy pan to sobie wyobraża?

Jeżeli chodzi o Becka, to był on wielką pomyłką Piłsudskiego. August Zaleski był lepszym ministrem, opanowanym, ostrożniejszym, ale Beck go wygryzł.

Ambasador Kajetan Morawski napisał kiedyś, że Józef Beck był najgorszym ministrem spraw zagranicznych, jaki się mógł Polsce przydarzyć. Czy podziela pan to zdanie?

Podzielał to zdanie, bo Beck to rodzaj marzyciela, a nie realista polityczny. Był politykiem emocjonalnym... Proszę pana, polityka Piłsudskiego sprowadzała się do tezy: „Ani z Niemcami, ani z Rosją”. I to była polityka słuszna dopóty, dopóki Hitler nie doszedł do władzy, a Rosja nie zaczęła reform ekonomicznych, głównie „piatiletki” – planu pięcioletniego rozwoju przemysłu. Przed 1939 r. to były już dwie prawdziwe potęgi militarne. Utrzymanie takiej samej odległości od Berlina i od Moskwy było już niemożliwe. Hitler zerwał z polityką Rapallo, zerwał współpracę z Sowietami. Polska mogła tylko wybierać między Niemcami a Rosją. Wtedy trzeba się było trzymać świętej zasady: „Salus

■ *Rei Publicae suprema lex esto* – trzeba było szukać najmniej złego rozwiązania.

Jakie były więc inne możliwości polskiej polityki pod koniec lat 30., które pozwoliłyby jeśli nie uniknąć klęski, to przynajmniej wydatnie ją zminimalizować?

Tylko pójdźcie z Niemcami! Czerdziesięci lat temu tego bym nie powiedział, bo tak mnie wychowano, ale teraz mówię – trzeba było iść z Niemcami! Wszystkie te „Międzymorza”, sojusz z Rumunią, szukanie zbliżenia z Czechami, nie mówiąc już o tych – pożałujcie Boże – gwarancjach brytyjskich, to nie była polityka. Tragedia polegała na tym, że Hitler był fanatykiem, dążył do wojny. On jednak jeszcze nie był taki w 1935 r., gdy tuż po śmierci Piłsudskiego składał propozycje ambasadorowi Lipskiemu, bardzo wyraźne propozycje. W owym czasie to było najmniej złe wyjście. Obowiązkiem polityków polskich było wybrać najmniej złe rozwiązanie.

W czerwcowym numerze „Nowego Czasu”, w laudacji na pana cześć, prof. Marek Kornat rozróżnił dwie historie: afirmatywną i krytyczną, czyli – jak ją nazwał – „rozdrapującą rany”. Pańskie prace zaliczył do tej drugiej. Czy podziela pan ten punkt widzenia?

Nie sądzę, abym rozdrapywał rany. Ja odróżniam propagandę i politykę historyczną od historii, która ma być rzetelna, to znaczy zaczynać od ustalania faktów. Oczywiście dobry polityk powinien znać obie: prawdziwą historię i historię „fryzowaną”. Jednak zawsze powinien się kierować zasadą, którą stawiam na pierwszym miejscu i którą ciągle podkreślam: „Interes narodu jest prawem najwyższym”.

Podkreślał pan nieraz, jak bardzo utrata niepodległości, ziem wschodnich oraz narzucenie ustroju bolszewickiego zmieniły oblicze polskiej kultury.

Do II wojny światowej kultura polska była przez całe stulecia bardzo elitarna. To była kultura szlachecka. W średniowieczu miasta były bardzo niemieckie, ostoja polskości były wieś, dwór szlachecki. Tam się rodziła i rozwijała polska kultura. Już od XVI w. przejmowało ją polonizujące się mieszczaństwo (Lwów był takim pięknym przykładem). Człowiek był jej wartością najwyższą w wymiarze ziemskim, to było przesłanie chrześcijańskiej cywilizacji łacińskiej, dlatego kultura ta tak bardzo przyciągała elity

Przez dziesięciolecia komunizmu Polacy utracili szacunek dla samych siebie oraz dla własnej historii i wcale go nie odzyskali

litemsko-ruskie. Dawała im prawa, zapewniała podmiotowość polityczną. Była ona alternatywą dla modelu rosyjsko-bizantyjskiego, gdzie najwyższym dobrem było państwo, któremu człowiek musiał bezwzględnie służyć. Jej ekspansja trwała 500 lat. Już rzeź rewolucyjna lat 1918–1920, znana jako „pożoga”, w szczególny sposób wycięła polskie elity na głębokich kresach, niszcząc je ekonomicznie i mordując lub zmuszając ludzi do opuszczenia rodzinnych stron. Pomimo to kultura ta trwała w dalszym ciągu i imponowała. Po odbyciu służby w Wojsku Polskim białoruski chłopak zachowywał się jak pan. Pańskość imponowała. To wszystko skończyło się po 1945 r.

Jak określiłby pan teraźniejszą polską kulturę?

Żeby Polaków nie denerwować, nazywam ją PRL-owską. Jest zupełnie czymś innym niż wiekowa polska kultura. Są oczywiście wyjątki, może nawet liczne, ale ogólnie rzecz biorąc, sposób myślenia Polaków, sposób reagowania, sposób oceny rzeczy bardzo się zmieniły. Wrzesień 1939 r., ale przede wszystkim nieszczęsne powstanie warszawskie złamały psychikę Polaków. Po latach przyznałem rację Stanisławowi Mackiewiczowi, który pisał w 1945 r., że tak jak Biała Góra zmieniła psychikę Czechów, jak Verdun zmieniło psychikę Francuzów, tak powstanie warszawskie zmieni psychikę Polaków. Poza tym przez dziesięciolecia komunizmu Polacy utracili szacunek dla samych siebie oraz dla własnej historii i wcale go nie odzyskali. Utracili poczucie własnej wartości, dumę narodową, popadli w kompleksy niższości i dlatego tak naśladują, żeby nie powiedzieć – małpują, wszystko, co napływa z Zachodu. Szczególną rolę w kształtowaniu tego stanu rzeczy odgrywają w dalszym ciągu zmarksizowane wydziały humanistyczne uniwersytetów, które kształcą ludzi ograniczonych, niepotrafiących myśleć przyczynowo-skutkowo, pozbawionych logiki. Proszę popatrzeć, jak jest traktowana historia i tradycja. Polska

międzywojenna przedstawia same wady. Wszystko, co szlacheckie, ma same wady. Szlachta miała swoje wady, ma się rozumieć. Największą wadą szlachty od pewnej epoki w Polsce przedrozbiorowej stał się brak dbałości o państwo, brak tego, co tak charakteryzuje Rosjan. A mimo to przez stulecia Polacy wywierali ogromny wpływ również na Rosjan. Przecież elita rosyjska w Moskwie mówiła najpierw po polsku, a potem dopiero przeszła na francuski. A poloneza tańczyli nawet w czasie uroczystości zmiany nazwy Sankt Petersburga na Leningrad. Bal zaczął się od „polskowo”.

Wracając do teraz...

Po 1990 r. Polska nie przeżyła odrodzenia narodowego, podobnego do tego po roku 1918, nie było więc również odrodzenia kultury. Poza wszystkim do tworzenia wielkiej kultury potrzeba pieniędzy. Komunizm zniszczył stan posiadania wszystkich warstw społecznych, niezależność materialną. Pytam przyjaciół z Polski, jak zachowuje się młode pokolenie dzieci nowobogackich, którzy wzbogacili się na tzw. transformacji po roku 1990. I słyszę, że oni uważają się za „Europejczyków”, broń Boże za Polaków, a styl ich życia można wyrazić maksymą: „Panem, circenses et sexus”. Żadnych aspiracji, żadnego poczucia służby społecznej. Dlatego to wszystko takie marnie.

I co dalej? Nawigując do tytułu pańskiej autobiografii.

Sytuacja na naszym obszarze zaczyna być w pewien sposób podobna do tej z lat 30. Zjednoczona Europa pruje się i sypie. Niemcy, jej główny budowniczy i beneficjent, przeżywają wielki kryzys polityczny, spowodowany polityką Merkel. Na rozkład państwa sobie nie pozwolą, więc porządek mogą przywrócić siły radykalne, a wiemy, co to znaczy... W sytuacji, gdy Europa wymknie im się z rąk, będą chcieli szukać porozumienia z Rosją, zresztą cały czas ten flirt między nimi trwa. Albo z Polską... A wtedy tylko alternatywa: Niemcy i Polska versus Rosja albo Niemcy i Rosja dzielące wpływy na ciele Polski. Tym bardziej że Trump chce uporczywie zręetować stosunki z Rosją, ułożyć z nią podział świata. Oby nie za cenę Europy Wschodniej. Sytuacja Polski staje się trudna, a politycy polscy mają się nad czym zastanawiać.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Zbigniew S. Siemaszko
z bratem. Po wojnie

FOT. ZBIORY J. PIERZCHAŁY

Historyk z krwi i kości



Piotr Zychowicz

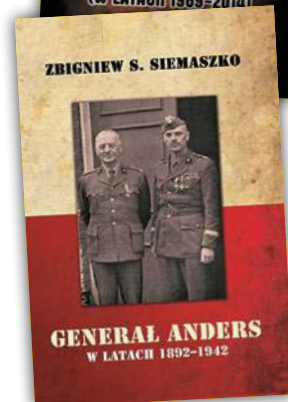
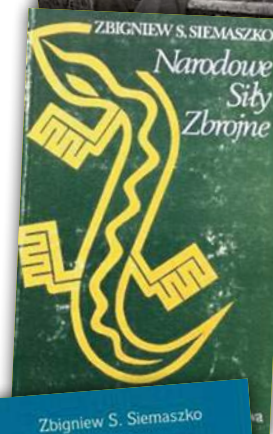
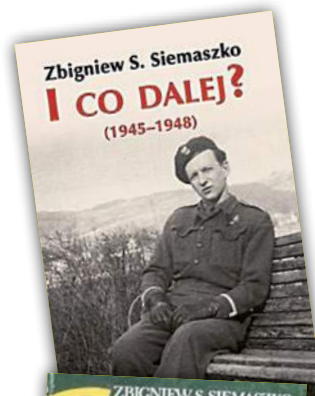
Zbigniew S. Siemaszko 28 października obchodzi 95. urodziny. Znany emigracyjny badacz jest jednym z najwybitniejszych polskich historyków XX w. A dla mnie jednym z najważniejszych. Niedosięgniętym wzorem do naśladowania. Cóż to za biografia! Urodzony na terenie byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego, w 1940 r. został deportowany wraz z rodziną w głąb ZSRS. Z nieludzkiej ziemi wydostał się w szeregach armii Andersa. Po wojnie osiadł w Wielkiej Brytanii. Napisał wiele

przełomowych książek i artykułów o najnowszej historii Polski.

Zbigniew S. Siemaszko jest wielkim polskim partiotą, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, by pudrować czy lakierować dzieje ojczyzny. Jest wierny staroświeckiej zasadzie, zgodnie z którą obowiązkiem historyka jest pisanie prawdy. Nawet jeżeli jest niewygodna lub bolesna.

Jest antykomunistą. Krytykiem decyzji o wywołaniu powstania warszawskiego i błędów popełnionych w 1939 r. przez Józefa Becka. Jego wywody są rzeczowe i logiczne. Pozbawione – tak charakterystycznego dla Polaków – wymiaru emocjonalnego.

Wszystkiego najlepszego, panie Zbigniewie! Czekamy na kolejne książki. ©©





Ukrzyżowanie chrześcijan z Nagasaki, grafika z 1628 r.

FOT. WIKIPEDIA

XVII w. / Krwawo stłumiona rebelia „mesjasza” Hieronima

Golgota japońskich chrześcijan



Łukasz Czarnecki

/ W 1600 r. w Japonii żyło 300 tys. katolików. Wkrótce rozpoczęły się potworne prześladowania, których skutkiem było wielkie powstanie wyznawców Chrystusa

Wiek XVII nie był dla japońskich wyznawców Chrystusa szczęśliwy. Po trwającej od połowy poprzedniego stulecia dobrej passie,

nad katolikami Kraju Kwitnącej Wiśni zaczęły zbierać się ciemne chmury. O tym, że idą złe czasy, świadczyły już wydane w roku 1587 przez dyktatora Japonii – Toyotomi Hideyoshiego – dwa antychrześcijańskie edykty. Początkowo

pozostawały one wyłącznie na papierze, ale już 10 lat później na ich mocy ukrzyżowano w Nagasaki sześciu hiszpańskich franciszkanów i 20 ochrzczonych Japończyków. Potem miało już być tylko gorzej, po śmierci Hideyoshiego cesarstwo podzieliło się na dwa obozy, które starły się w roku 1600 w bitwie pod Sekigaharą. Wielu chrześcijańskich samurajów znalazło się po stronie przegranej. Kiedy zaś w 1614 r. syn zmarłego dyktatora – Hideyori – podniósł w Osace sztandar buntu przeciwko szogunowi, pod jego chorągwie (na wielu spośród nich widniały krzyże i św. Jakub) popędziły całe rzesze katolickich wojowników. Rebelia zakończyła się

katastrofą, a rozdrażniony postawą chrześcijan rząd w Edo (dzisiejsze Tokio) wydał rozporządzenie wyganiające z Japonii wszystkich cudzoziemców (zostać pozwolono jedynie Holendrom) i nakazujące ochrzczonego wyrzec się swej wiary.

Panujący wówczas nad Krajem Kwitnącej Wiśni ród Tokugawa postanowił raz na zawsze spacyfikować archipelag. Wprowadzono bardzo surowe prawa, a wielu dajmio (wielkich właścicieli ziemskich) przesiedlono z ich krain na nowe lenna. Ręce wiązały im ograniczenia suwerenności poszczególnych dziedzin, narzucane przez rząd centralny. Jednym z klanów, których dotknęły przesiedlenia, był panujący na półwyspie Shimabara na Kiusiu chrześcijański ród Arima. Dajmio noszący to nazwisko co prawda powrócili do dawnej wiary, ale i tak Edo nie ufało im na tyle, by pozwolić im zostać w domu. Zostali więc przeniesieni do innej części Japonii, a ich dotychczasowe lenno подарowano możnowładcom z klanu Matsukura. Głowa owej rodziny – Shigemasa – wyjątkowo nienawidził chrześcijan, których wielu żyło w jego nowej domenie. Wrogość wobec wyznawców Chrystusa opowiadała go do tego stopnia, że planował nawet wyprawę na skolonizowane przez Hiszpanów i schrytyanizowane Filipiny. Jego oczkiem w głowie była budowa olbrzymiego zamku, z którego planował kontrolować prowincję. Wzniesienie takiej twierdzy kosztowało krocie, ale Shigemasa się tym kompletnie nie przejmował – zamiast tego obciążył swych poddanych podatkami tak gigantycznymi, że nawet najbogatsi chłopci i mieszcza- nie nie byli w stanie ich płacić.

Stary pan Matsukura zmarł w roku 1630, ale w niczym nie poprawiło to doli mieszkańców Shimabary. Jego syn – Shigetsugu – kontynuował politykę ojca. Gdy pewien zamożny rolnik odmówił płacenia wyśrubowanych podatków i zbiegł z rodzinnej wsi, urzędnicy nasłani nań przez młodego dajmio zamknęli jego ciężarną córkę w klatce i wrzucili do pobliskiego potoku. Po kilku dniach zanurzenia w zimnej wodzie dziewczyna poroniła i zmarła. Ludzie wznosili oczy ku niebu i modlili się o sprawiedliwość – jedni do Buddy, a inni do chrześcijańskiego Boga. W grudniu roku 1637 miarka się przebrała. I wtedy właśnie pojawił się

„mesjasz”, a gdy wieść o jego przybyciu obiegła Shimabarę, zamieszkującą ją chrześcijańska ludność chwyciła za broń.

Nadchodzi burza

O przywódcy zbrojnego zrywu przeciwko rodowi Matsukura nie wiemy prawie nic. Nazywał się Amakusa Shirō, ale do historii przeszedł pod chrześcijańskim imieniem Hieronim. W chwili wybuchu powstania liczył sobie 16 lat. Według opowieści odznaczał się wielką urodą, niezwykłą charyzmą i niesamowitą mądrością. Oprócz tego niebios obdarzyć miały go mocą czynienia cudów, ponoć chodził po wodzie.

Ile w tym prawdy? Czy Shirō rzeczywiście był boskim pomazańcem zesłanym z niebios, by wyzwolić japońskich chrześcijan spod władzy niewiernych? Wątpliwe. O wiele bardziej prawdopodobna jest teoria, wedle której za Hieronimem stała grupa spiskowców – zbankrutowanych samurajów i roninów, którzy planowali przeciwstawienie się tyranii Shigetsugu. Należać do tego

gremium mógł ojciec młodzieńca – Piotr – chrześcijański wojownik, który w kończących epokę sengoku wojnach miał nieszczęście znaleźć się po przegranej stronie, a już z pewnością Yamada Emomaku – zubożały samuraj, katolicki kaznodzieja i artysta ludowy wyspecjalizowany w malowanych w zachodnim stylu obrazach o tematyce religijnej. To on sporządził chorągiew, pod którą Hieronim ruszył do walki – na sztandarze widnieli aniołowie i wyłaniająca się z kielicha hostia.

Wystosowane przez młodzieńca wezwanie do broni odniosło niesamowity sukces. Chłopi obracali narzędzia przeciwko swym panom, a ci, którzy w wyniku prześladowań wyrzekli się chrześcijaństwa, powracali do dawnej wiary. Było to o tyle dziwne, że Hieronim w wygłaszanych do swych wyznawców kazaniach podkreślał, że dowodzony przez niego zryw nie ma szans na sukces. Według przywódcy rewolty jego celem nie było obalenie tyrańskich rządów, lecz poniesienie męczeńskiej śmierci. Zubożałym samurajom, roninom i chłopom panowanie rodu Matsukura zbrzydło jednak do tego stopnia, że męczeństwo wydawało się atrakcyjną alternatywą.

Shigetsugu początkowo zlekceważył powstańców i wysłał przeciwko nim niewielki oddział, święcie wierząc w to, że jego samuraje bez trudu rozpędzą „chamstwo zbuntowane”. Jednak mający przewagę liczebną rebelianci przegonili te siły, zadając im poważne straty, po czym ruszyli na zamek Shimabara. Dajmio, zrozumiałwszy, jak wielki błąd popełnił, zabarykadował się w forcie. Szczęśliwie dla niego buntownicy nie posiadali machin oblężniczych, cierpliwości ani czasu potrzebnych do zdobycia twierdzy. Podczas gdy zniechęcony książe siedział w zamknięciu, coraz więcej mieszkańców Shimabary przyłączało się do rebelii. Jedni robili to, bo uwierzyli w boże posłannictwo Hieronima, inni – bo powstańcy zagrozili im śmiercią. Niezależnie od motywów liczba rebeliantów zaczęła zbliżać się według jednych źródeł do 30 tys., a według innych do 40 tys.

Tymczasem chłopci z pobliskich wysp Amakusa również powstał przeciwko rządzącemu nimi klanowi Terazawa. Próba zdobycia należących do tego rodu twierdz podobnie jak w Shimabarze zakończyła się jednak klęską. Wyspiarze widząc, że ich dajmio schował się za



Ieyasu Tokugawa FOT. WIKIPEDIA

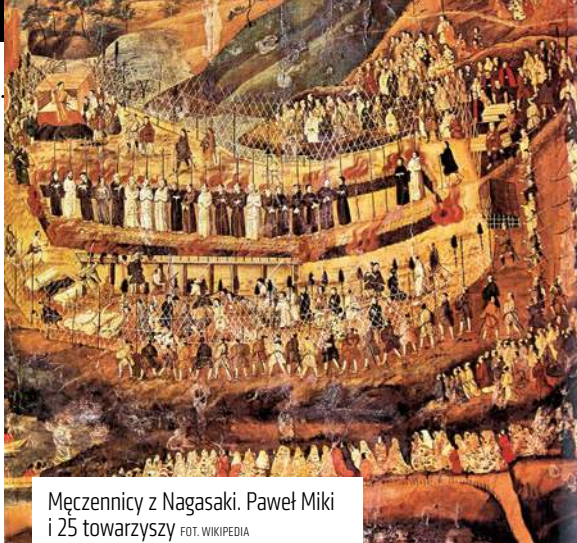
■ wyniosłymi murami, wsiadli do dziesiątków łodzi rybackich i przepławili się na stały ląd, by dołączyć do wojsk Hieronima.

Bastion

W styczniu 1638 r., a przed przywódcami powstania, kimkolwiek by oni byli, stało pytanie: Co robić dalej? Ich zwolennicy byli pełni zapału i dobrze uzbrojeni, bo zagarnęli wielką liczbę broni ze zdobytych wojskowych magazynów. Problem polegał na tym, że za bardzo nie było z kim wojować, bo siły dajmiao schroniły się w murach zamków. Oczywiście było, że wieści o rebelii dotarły do stolicy i na rozkaz szoguna w kierunku Shimabary ruszy potężna armia. Trzeba było coś zrobić, tylko co? Ostatecznie Hieronim poprowadził swych zwolenników ku ruinom zamku Hara. Twierdza przez wiele lat była bastionem rodu Arima, ale po jego przesiedleniu się została opuszczona, aż w końcu zamieniła się w ruinę. Zgromadzone w niej tysiące chrześcijańskich powstańców wzięły się jednak do roboty, naprawiły mury, usypały wały i schroniły się w ich obrębie, by czekać na nadejście przeciwnika. Tym sposobem sami zamknęli się w miejscu, które było śmiertelną pułapką bez dróg ucieczki. Hieronim poważnie traktował wizję męczeńskiej śmierci, którą roztoczył przed swymi ludźmi.

Siły rządowe nie zamierzały pozwolić chrześcijanom długo czekać na męczeństwo. Pod zamkiem pojawiła się armia dowodzona przez Itakura Shigemase, złożona głównie z młodych samurajów, którzy mieli zbyt mało lat, by pamiętać okres wojen domowych. Byli przekonani, że mają do czynienia z ruchawką rolników, którą łatwo będzie spacyfikować. Zażarta obrona, z jaką musieli się zmierzyć w trakcie nieudanego szturm, pozbawiła ich tego złudzenia.

W okolicy zamku Hara zaczęły nadciągać kolejne oddziały. Itakura, który wiedział doskonale, że nie mogąc zająć fortecy, zyskał sobie opinię nieudacznika, postanowił nie czekać na odbierający mu dowództwo rozkaz z Edo, lecz zdobyć zamek szybkim atakiem. Rankiem w Dzień św. Walentego 1638 r. powiódł swe siły do szturm. Udało mu się dotrzeć pod deszczem pocisków, kamieni, wrzącego



oleju i wody pod sam mur, po czym padł przeszyty kulą z muszketu.

Śmierć Itakury nie zakończyła jednak oblężenia. Do obozu oblegających przybywały wciąż nowe posiłki (łącznie przewinąć miało się przez niego 125 tys. ludzi), a walki trwały aż do połowy kwietnia. W tym czasie siły rządowe mordowały wszystkich mieszkańców półwyspu, których podejrzewano o wspieranie rebeliantów (wystarczyło nie mieć w domu garnków, by zostać oskarżonym o to, że oddało się je buntownikom), i na wszelkie sposoby próbowały dostać się w obręb zamkowych murów. Celowali w tym zwłaszcza samuraje z rodu Hosokawa, którzy zrobili wykop pod fortyfikacjami i zdetonowali ładunek wybuchowy (jedynym efektem eksplozji były huk i dym). Potem wykopali tunel, którym zakradli się do twierdzy wroga. Szli jednak niedostatecznie cicho, gdyż usłyszeli ich obrońcy i wylali im na głowy strumień fekaliiów, co wystarczyło, by skutecznie przegonić samurajów. Innym pomysłem dowództwa było sprowadzenie holenderskiego statku, z którego ostrzelano zamek. Dzięki dogodnemu położeniu forteca nie ucierpiała zbyt od holenderskich dział.

Zamek Hara

Tymczasem ludziom Hieronima powoli zaczynały kończyć się żywność i proch. Wizja oczekiwanego przez nich męczeństwa stawała się coraz wyraźniejsza. Nie wszystkim jednak spieszyło się do niebios. Yamada Emmonsaku nawiązał kontakt z oblegającymi i w zamian za amnestię zgodził się zdradzić powstańców i wydać zamek w ręce sił rządowych. Spisek jednak wykryto, a zdrajcę uwięziono. Sytuacja oblężonych była tragiczna. Gdy

nastał kwiecień, wartownicy na murach pełnili swą służbę na leżąco, gdyż z głodu nie byli w stanie ustać na nogach.

11 kwietnia ruszył szturm ostateczny. Rozpoczęła się krwawa rzeź. Rozwścieczeni długim oporem oblężonych samuraje ścinali każdego, kto wpadł im w ręce, po czym zanosili głowy dowódcom. W pewnym momencie pojawiły się problemy z magazynowaniem upiornych trofeów,

więc oficerowie nakazali żołnierzom ograniczyć się do obcinania nosów zabitym wrogom. Sprzyjało to nadużyciom – pewnego samuraja złapano, gdy odrzynał nos poległemu koledze.

Zamek Hara płonął, a masakra trwała dalej. Zdobywcy nigdzie jednak nie mogli znaleźć Hieronima. W końcu niezbyt wysoki rangą samuraj natknął się na rannego młodzieńca, którego zgładził. Gdy zaniósł jego głowę swemu dowódcy, rozpoznano w niej oblicze przywódcy buntu.

Po upadku fortecy chrześcijan wymordowano prawie wszystkich znalezionych w niej ludzi. Przeżyli jedynie zdrajca Yamada i garść jego podwładnych, których zwycięzcy uwolnili z aresztu. Jeszcze długo trwały masakry ludności Shimabary, szogun chciał mieć pewność, że zryw jej mieszkańców był ostatnim gestem nieposłuszeństwa wobec jego woli.

Kiedy ognie trawiące zamek wygasły, ciała pomordowanych porzucono na pobliskich polach. Ich szkielety spoczywały tam aż do XVIII w., kiedy zostały pogrzebane przez rolników. W wyniku powstania półwysp opustoszał i na miejsce wybitej ludności trzeba było sprowadzić mieszkańców z innych części Japonii. Rząd w Edo poczynił kroki, by jeszcze bardziej odizolować kraj od świata. Obecność obcokrajowców ograniczono do małej sztucznej wyspki Dejima koło Nagasaki, a po całym kraju rozjechali się buddyjscy inkwizytorzy ścigający katolików. Mimo fali przesładowań chrześcijaństwo, które przeszło do głębokiej konspiracji, przetrwało. Gdy w roku 1865 w Japonii pojawili się francuscy księża, pewnego dnia do drzwi jednego z ich kościołów zapukała grupa kultuwujących od pokoleń swą wiarę w ukryciu chrześcijan, którzy poprosili, by pokazać im figurę Matki Boskiej, do której chcieli się pomodlić.

HISTORIA

DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

+ KSIĄŻKI: ANNY LERKE „SPOWIEDŹ EWY BRAUN”
ORAZ PETERA LONGERICHA „KONFERENCJA W WANNSEE”

79 zł

oszczędność 90 zł



PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

+ 3 POWIEŚCI HISTORYCZNE Z CZASÓW PIASTÓW:
TOMASZ STRZĘŻAŁA „WOJNA BOGÓW” ORAZ „BUNT STARYCH BOGÓW”
RAFAŁ DĘBSKI „KIEDY BÓG ZASYPIA”

89 zł

oszczędność 118 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO:

62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o.

Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl d758284998

1991 r. / Sprawa Przywieczerskiego

Powrót FOZZ



Sławomir Cenckiewicz

Ekstradycja Dariusza Przywieczerskiego ze Stanów Zjednoczonych do Polski przywróciła na chwilę pamięć o aferze Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego. Propaganda rządowa otrąbiła sukces i ogłosiła, że Przywieczerski był „mózgiem afery FOZZ”. Nawet jednak ta oczywista nieprawda (poświadczona chociażby wyrokiem sądu z 2005 r., który skazał Przywieczerskiego za przywłaszczenie „jedynie” 500 tys. dol. z funduszy FOZZ) pozwoliła nam wrócić do tej niesłychanej i coraz bardziej zapomnianej afery.

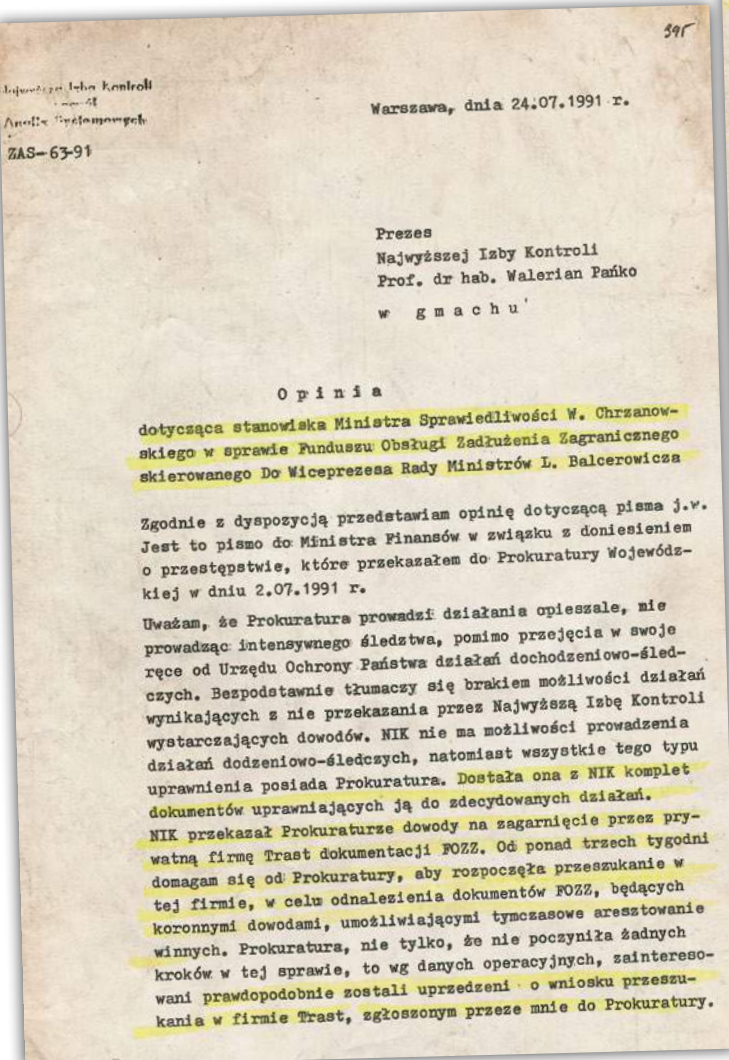
Zgodnie z ustawą o FOZZ z lutego 1989 r. instytucja ta miała „gromadzić środki finansowe” przeznaczone na obsługę zadłużenia oraz nimi gospodarować. FOZZ dysponował środkami pochodzącymi z dotacji z budżetu centralnego, dochodów z zagranicznych pożyczek państwowych, lokat Banku Handlowego, wpływów z tytułu udziału funduszu w polskich i zagranicznych spółkach oraz przedsiębiorstwach, a także z emisji obligacji i działalności kredytowej.

W latach 1989–1990 dotacje państwowe dla FOZZ wyniosły 9,8 bln zł (starych). Według niektórych obliczeń w 1989 r. miały one stanowić aż 3,34 proc. wszystkich

wydatków Skarbu Państwa (w 1990 r. – 3,6 proc.). Według Grzegorza Żemka (dyrektora generalnego FOZZ) fundusz w 1989 r. dysponował sumą 5 mld dol. Zgodnie z ustawą oraz statutem FOZZ decydujący wpływ na działalność tej instytucji miał dyrektor generalny, formalnie kontrolowany przez radę nadzorczą i ministra finansów. Dyrektor odpowiadał „za gospodarowanie środkami Funduszu”, „spłatę zadłużenia zagranicznego” i „prowadzenie innych operacji finansowych i handlowych w kraju i za granicą”. Owe „inne operacje finansowe i handlowe” to w istocie potajemne wykupywanie długu na rynku wtórnym za pośrednictwem banków i innych podmiotów finansowo-biznesowych.

Sprawa FOZZ ma jednak swój zakulisowy wymiar związany z tajnymi służbami PRL. Po latach Żemek, który sam był wieloletnim agentem Zarządu II Sztabu Generalnego o ps. Dik, przyznał, że na stanowisko dyrektora FOZZ desygnowały go tajne służby LWP. W 2005 r. mówił przed sądem, że „FOZZ powstał między innymi po to, abym mógł kontynuować zadania zlecone mi przez wojskowe służby specjalne”.

Jednak to, co stało się coraz bardziej jasne w 2005 r. podczas procesu sądowego,



było ukrywane przez kilkanaście lat. Sprawie towarzyszyły rodzaj zмовy, spiski, strach przed ujawnieniem skali afery FOZZ i powiązań wielu wpływowych osób, a nawet tajemnicze zgony urzędników zaangażowanych w wyjaśnienie kulisy sprawy FOZZ. Kiedy wiosną 1991 r. wybuchła afera związana z obsługą

długu zagranicznego, a prasa informowała opinię publiczną o setkach milionów dolarów przywłaszczonych przez pośredników mających na Zachodzie skupować polski dług na rynkach wtórnych, kierowana przez Wiesława Chrzanowskiego (współpracownika wywiadu PRL o ps. Pertex) prokuratura

W każdym razie stwierdzam, że całe dochodzenie śledcze jest w rękach Prokuratury, która w całości odpowiada za przewleknięcie sprawy.

Dodatkowym przykładem świadomych działań Prokuratury, zmierzających do zatuszowania sprawy i nie podejmowania żadnych czynności jest pismo Prokuratora Generalnego do Ministra Finansów L. Balcerowicza z dnia 18 lipca 1991 r. w którym Prokurator Generalny prosi Premiera Balcerowicza o powołanie zespołu specjalistów z dziedziny księgowości, bankowości, finansów i międzynarodowego obrotu walutowego, w celu ponownego zaksięgowania z jednoczesnym zbadaniem wiarygodności dokumentów. A więc, Prokurator Generalny przekazuje swoje obowiązki resortowi, który od dwóch lat nie wypełnił i nie wypełnia swoich obowiązków względem FOZZ. Przekazuje więc, czynnikom zainteresowanym w zatuszowaniu sprawy FOZZ obowiązki i uprawnienia Prokuratury, by z mocy swoich uprawnień powołała biegłych i pod nadzorem jej biegłych, dokonano ponownego księgowania z jednoczesnym badaniem wiarygodności dokumentów, a więc tego czego domagałem się właśnie od Prokuratury.

Tak więc, Prokuratura wraz z Ministerstwem Finansów współdziała, moim zdaniem, w zatuszowaniu afery związanej z FOZZ. Bo jak inaczej traktować przekazanie działań związanych z dochodzeniem, osobom odpowiedzialnym za nieprawidłowości FOZZ.

Wokół FOZZ uruchomiła się koalicja, broniąca Ministra J. Sawickiego, który był Przewodniczącym Rady Nadzorczej FOZZ, Przewodniczącym Rady Nadzorczej Banku Handlowego, Przewodniczącym Rady Nadzorczej TUR "Warta", Członkiem Rady Banku Handlowego w Luxemburgu, Gubernatorem MIGA, Pełnomocnikiem Rządu do Spraw Zadłużenia Zagranicznego. A więc w ten sposób Minister J. Sawicki skupił w swoich rękach wszystkie nici dotyczące transferu środków pieniężnych z Polski i do Polski, nadzoru nad bankami oraz kontroluje negocjacje z wierzycielami Skarbu Państwa RP i z tytułu swoich obowiązków odpowiada za nieprawidłowości w Banku Handlowym, PKO S.A., Banku Handlowym w Luxemburgu.

wprawdzie wszczęła śledztwo, ale natychmiast szukała powodu, by sprawą się de facto nie zająć lub prowadzić ją przewlekłe.

Chrzanowski był informowany przez Najwyższą Izbę Kontroli, osobiście przez kontrolera izby Michała Falzmanna i osoby z nim związane, o gigantycznej skali przestępczego zjawiska. Na początku czerwca 1991 r. Chrzanowski otrzymał nawet zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa wraz z blisko 300-stronicowym załącznikiem. Jego autorzy – profesorowie Mirosław Dakowski i Jerzy Przystawa – pisali: „Na terenie Rzeczypospolitej Polskiej i poza jej granicami działają zorganizowane grupy przestępcze dokonujące systematycznej grabieży pienią-

dza, w szczególności dewiz wymiennych, na szkodę Państwa Polskiego, a także innych podmiotów gospodarczych, krajowych i zagranicznych. [...] Nie jest naszym zadaniem imienne wskazywanie osób odpowiedzialnych za ten proceder. Sądymy, że jest to obowiązkiem Urzędu Prokuratorskiego. Z przedstawionych dokumentów wynika jednak niezbiecie, że znaczny współudział w tym rozkradaniu Polski – chociażby tylko poprzez brak właściwej kontroli i nadzoru – ma Ministerstwo Finansów RP”.

Minister prokurator generalny Chrzanowski nie zareagował, ale w osobistym piśmie skierowanym do ministra finansów Leszka Balcerowicza 18 lipca 1991 r. prosił go o zgodę na powo-

Koalicja broniąca Ministra J. Sawickiego uruchomiła szeroką kampanię prasową wokół stwierdzenia, że ujawnienie nadużyć, dokonanych przez FOZZ narusza interes Skarbu Państwa RP. Głównym obrońcą Ministra J. Sawickiego jest Premier Balcerowicz, a ostatnio dołączył do Niego Profesor B. Geremek, który zorganizował konferencję prasową wybielającą członków Rady Nadzorczej FOZZ, minimalizującą straty Skarbu Państwa, powstałe w wyniku działania FOZZ i stwarzającą wrażenie, że sprawa FOZZ jest sprawą rozgrywek politycznych, a nie rzeczywistych nadużyć.

Stoję na stanowisku, że Prezes NIK Prof. dr hab. W. Pańko w sytuacji zaistnienia działań dążących do zminimalizowania odpowiedzialności za FOZZ, opóźniając przekazanie protokołu z kontroli, z nieznanymi mi powodów naraża NIK na zarzut świadomego współdziałania w zatajeniu lub zatuszowaniu sprawy FOZZ.

Z poważaniem

A. Lawina

łanie zespołu specjalistów i delegowanie do niego ekspertów z dziedziny „księgowości, bankowości, finansów i międzynarodowego obrotu walutowego”, którzy mieliby zbadać „wszystkie operacje finansowe FOZZ w latach 1989–1990”. Problem polegał na tym, że przekazane Chrzanowskiemu przez Najwyższą Izbę Kontroli ustalenia kontrolerów (zapoczątkowane przez Michała Falzmanna, który notabene zmarł właśnie 18 lipca 1991 r.!) wskazywały właśnie na Ministerstwo Finansów jako na głównego odpowiedzialnego za utratę państwowych funduszy przeznaczonych na obsługę długu za granicą. Chrzanowski, pomimo powyższej wiedzy na ten temat, zaproponował w istocie, aby ludzie odpowiedzialni za grabież narodowego majątku delegowali swoich specjalistów do pomocy prokuraturze w rozwikłaniu afery FOZZ!

Oburzony postępowaniem i treścią pisma ministra Chrzanowskiego do wicepremiera Balcerowicza dyrektor i kontroler w NIK Anatol Lawina 24 lipca 1991 r. skarżył się u prezesa izby

Waleriana Pańki. W pisemnej „Opinii dotyczącej stanowiska Ministra Sprawiedliwości W. Chrzanowskiego w sprawie Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego skierowanego do Wiceprezesa Rady Ministrów L. Balcerowicza” Lawina poddał miażdżącej ocenie prokuraturę i ministra sprawiedliwości. Lawina pisał: „Prokurator Generalny przekazuje swoje obowiązki resortowi, który od dwóch lat nie wypełnił i nie wypełnia swoich obowiązków względem FOZZ. Przekazuje więc czynnikom zainteresowanym w zatuszowaniu sprawy FOZZ obowiązki i uprawnienia Prokuratury, by z mocy swoich uprawnień powołała biegłych i pod nadzorem jej biegłych dokonano ponownego księgowania z jednoczesnym badaniem wiarygodności dokumentów, a więc tego, czego domagałem się właśnie od Prokuratury. Tak więc Prokuratura wraz z Ministerstwem Finansów współdziała, moim zdaniem, w zatuszowaniu afery związanej z FOZZ”.

Publikowana całość opinii Anatola Lawiny pochodzi z Archiwum Najwyższej Izby Kontroli (sygn. 300/18, karty 162–165).



Krzysztof Masłoń

/ Awansowała do pisarskiej ekstraklasy za sprawą „Cudzoziemki”, przełożonej na 15 języków

Dzisiaj, gdy zapomnieniu ulega zarówno osoba Marii Kuncewiczowej, jak i jej twórczość, coraz wyraźniej widać, że najtrafniejszą decyzją w życiu pisarki było zamieszkanie w Kazimierzu, zbudowanie tam domu, związanie się z tą miejsciną, która właśnie wtedy, w latach 20. i 30. zeszłego stulecia, stawiała się mekką malarzy i poetów. Kuncewiczowa ofiarowała temu miejscu dar iście królewski – swoje „Dwa księżyce”.

Do literatury wkroczyła wcześniej, za to głośno, z przytupem. Formalnie nowele „Przymierze z dzieckiem” (1927) nie były jej debiutem, ale to ten tom przyniósł jej pisarską renomę, którą podtrzymała wydana w roku następnym powieścią „Twarz mężczyzny”. Już po wydrukowaniu przez „Bluszcz” tytułowego opowiadania zbioru „Przymierze z dzieckiem” niemałą część czytelniczek zbulwersował sposób pokazania przez autorkę procesu budzenia się uczuć macierzyńskich. Gorszono się też naturalizmem w opisanu samego aktu porodu. Dość było tego, by zwrócić uwagę krytyki i publiczności czytającej na młodą autorkę, która niebawem awansowała do pisarskiej ekstraklasy, a to za sprawą „Cudzoziemki” (1935), przełożonej na 15 języków, jednej z najbardziej w świecie znanych polskich książek, a w kraju wydanej do tej pory w nakładzie przekraczającym 1 mln egzemplarzy. Nagrody „Wiadomości Literackich” kandydująca do niej „Cudzoziemka” nie zdobyła, przegrywając z „Solą ziemi” Józefa Wittlina, ale to za jej sprawą autorka otrzymała w 1937 r. prestiżową Literacką Nagrodę m. Warszawy. W ogóle zrosło się



nazwisko pisarki z tą właśnie powieścią, z czego autorka bynajmniej się nie cieszyła, uważając, że znacznie lepszy od „Cudzoziemki”, której bohaterkę wyposażała w rysy swej matki, jest „Leśnik”, który pierwotnie miał być literackim portretem ojca Marii Kuncewiczowej.

Szto heta takoję?

„Leśnik”, rozpoczęty jeszcze przed wojną, po raz pierwszy opublikowany został w podwójnym (VII/VIII) numerze paryskiej „Kultury” z roku 1952. Bohaterem tej rozgrywającej się w latach 80. XIX stulecia powieści autorka „Cudzoziemki” uczyniła

– Szto heta? Strast’! Szto heta?
– Kometa. Ciało niebieskie – objaśnił asesor.
– Nie już kobieta? I jakaż u niej ciała niebieska? Na szto? – zdumiała się Martyna.
– Ni na szto. Prosto na czużu biedu...
– Sol widno doroho budzie – westchnęła Horpyna.
– Sol, tak sol – mruździ starzy – a ot za Napoljona także samo na wojnu pokazywało.
– Wojna budzie – hyr poszedł.
– Jaka wojna?
– Widno polska. Pany znów Polszczu odwojujut.
– Ni. Car szlachta izriezat’ prikaże.

[...] W pewnej chwili ojciec, stanąwszy, powiedział:

– Patrz.

Byli na polanie. Wyglądała jak pięknie umieszczony pokój, szklisty od księżycowej czystości. Podobne do kolumn wznosiły się brzegiem sosny splecione czubami.

[...] Wtem skrzydła załopotwały nad głową Kazia: ogromny ptak, srebrny od księżycy przeważał się po świetle... Znikł. Kazio ledwie mógł wymówić:

– Co to? Co to? Czy to orzeł biały?

Po wzniesionej twarzy ojca łało się szkliwo księżycy. Kometę dawno przesłoniły drzewa. Jednak chyba myślał o sprawach przez nią wywołanych, odpowiadając synowi:

1895–1989 / Wielkie pióro w małym Kazimierzu

Księżyce Marii Kuncewiczowej

także „cudzoziemca” – człowieka „tutejszego”, niekoniecznie swojego wobec Polaków i wobec Rosjan. Dzisiaj największe wartości „Leśnika” postrzegamy w zapisanych przez Kuncewiczową regionalnych zwyczajach, tradycji i... mowie. Wczytajmy się zresztą w ten język, posmakujmy go:

„Wpodle ganku, gdzie na ławach siedzieli już państwo, uformował się chór. Bezgłosy zrazu, potem – w miarę jaśnienia księżycy – coraz wymowniejszy.

Śpiewali:

Susid ransze mene sije

U susida zelenije...

kiedy jakiś tenor urwał nagle nutę i – zgaszony – szepnął:

– Szto heta takoję?

Ramię w płóciennym rękawie wyciągnęło się w kierunku gołego jeszcze w tej porze dębu. Gwiazda, która tam uplątana była w sieć cienkich witek, ciągnęła za sobą jasny warkocz. Pieśń ścichła. Ludzie wbiegli na ganek.

– Polska na wierch stanie.

– Ni. Polszcza padnie.

Wtedy Elichwir przeciągnął się, aż skrzypnęła ława, ziewnął i rzekł:

– Niechaj chutko ona na wierch staje, czili pada, Polszcza ona, póki jelenie nie grzeją się, a nie, tak czort z nią i ze Stasukiewiczem.

Niezapomniane słowa! Nieobliczalne skutki słów! Urzędnik carski, Krzysztofowicz z bernawczyckiego stanu, powstał jak długi i trzęsącym się głosem oznajmił:

– Nie dozwalam! O Polsce ja tak – nie dozwalam.

Przepchał się między siedzącymi, chwycił za rękę sennego przy boku Cecylii Kazia; szarpnął nim, wielkimi krokami uprowadził w las.

Cecylia biegła z początku za zbiegami, aż ziemia dudniła. Biegła, wołając:

– Piotruś! Piotruś! Wróć się! Kaziuka choć zostaw, a to zmarznie on i lichoradki dostanie.

– To wszystko jest Polszcza. Ona paść nie może”.

Ostatnia wieczerza

Polska, rzecz jasna, paść nie mogła, ale we wrześniu 1939 r. poniosła klęskę, która miała zaważyć na losach Marii Kuncewiczowej. 5 września taksówkami z Warszawy przyjechali do niej skaman-dryci: Tuwimowie, Wierzyńscy, Słonimski, Baliński, Grydzewski. Ktoś napisze później, że zasiedli wtedy wspólnie do ostatniej wieczerzy II Rzeczypospolitej. Następnego dnia goście pojechali dalej na wschód, Kuncewiczowie podążyli ich tropami trzy dni potem. Granicę Rumunii przekroczyli w Czerniowcach 17 września. Z Bukaresztu przez Jugosławię i Włochy udali się do Francji. Po drodze, w Mediolanie, gdy zabrakło im pieniędzy, wydawca wypłacił honorarium za



Dom Kuncewiczów w Kazimierzu Dolnym FOT. ARCHIWUM

■ wchodzącą właśnie na rynek książki w Italii „Cudzoziemkę”.

We Francji skamandrycka wieczerza miała się powtórzyć. W wigilię Bożego Narodzenia urządził ją dla przyjaciół w swym paryskim apartamencie Jan Lechoń. Poza wcześniej wymienionymi gościli na niej Józef Wittlin, Witold Małcużyński i Zdzisław Czermański.

Po upadku Francji w czerwcu 1940 r. pisarce udało się przedostać do Wielkiej Brytanii, gdzie spędziła wojnę do końca, mieszkając głównie w Londynie, ale i na wsi pod Oxfordem, a następnie niedaleko Fowey w Kornwalii. Współpracowała z polskimi tytułami prasowymi: „Wiadomościami Polskimi”, „Polską Walczącą”, „Nową Polską”. Po zakończeniu działań wojennych Kuncewiczowie podjęli decyzję o pozostaniu na emigracji, ale dopóki to było możliwe, dopóty nie rezygnowali z wydawania w kraju książek. Z czasem stało się to powodem konfliktów z najbardziej opiniotwórczą częścią „polskiego Londynu”. I tak gdy w 1948 r. krajowa Wiedza wydała – obok „Cudzoziemki” – „Klucze” z niewielkimi zmianami dokonany w myśl życzeń cenzury, Mieczysław Grydzewski w swojej rubryce „Silva rerum” w „Wiadomościach” nazwał ten zabieg, nie bez racji, autokastracją.

W latach 1948–1956 o jakimkolwiek druku w kraju przez emigrantów mowy być nie mogło, ale problem powrócił wraz z destalinizacją. Już wcześniej, w 1953 r., Kuncewiczowie przenieśli się do USA. Początki mieli trudne: Jerzy pracował w budowlanym przedsiębiorstwie syna, Maria przez pewien czas sprzątała w domu pewnej zamożnej rodziny. Odnosiła jednak znajomość ze starymi przyjaciółmi: Ireną Lorentowicz i Janem Lechońem, zaczęła też pracować nad powieścią ra-

diową „Państwo Kowalscy na emigracji”, której zdążyła napisać 44 odcinki, zanim Radio Wolna Europa nie zdjęło jej z anteny z powodu ponownego nawiązania przez pisarkę kontaktów z wydawcami krajowymi. Nawiasem mówiąc, ten radiowy cykl był kontynuacją przedwojennych „Dni powszednich państwa Kowalskich”, uważanych za poprzedników sławnych radiowych „Matysiaków”.

„Obywatele świata”

Na emigracji zajęła się Kuncewiczowa propagowaniem idei obywatelstwa światowego oraz stworzeniem oddzielnego centrum PEN Clubu dla pisarzy bezpaństwowców. W sprawę zaangażowany był mąż, a ona sama sygnalizowała ją w „Zmowie nieobecnych”. W końcu apel w kwestii światowego obywatelstwa skierowała w 1949 r. do ONZ. Brzmiał on tak:

„Niżej podpisani apelują do Organizacji Narodów Zjednoczonych o zrewidowanie jej stosunku do uchodźców.

Pozwólcie uchodźcom zabierać głos w kulturalnej przebudowie świata. Pozwólcie im brać udział w pracach instytucji tworzonych przez Narody Zjednoczone dla polepszenia bytu Człowieka.

Przez ograniczenie wolności podróży, wykształcenia i zatrudnienia nie zmuszajcie bezpaństwowców do starań o nową narodowość. Siła zdarzeń narzuciła im poczucie przynależności do zespołu większego niż naród. Zaiste historia uczyła ich obywatelami świata i za takich powinni być uznani.

Niechże ideał obywatelstwa światowego istnieje nie wyłącznie w teoriach

i programach, ale także i nade wszystko w odważnych próbach i rzetelnym stosunku do osoby ludzkiej”.

Apel poparli, oczywiście, Bertrand Russell oraz sekretarz honorowy francuskiego PEN Clubu Henri Membre, przez którego inicjatorka całego przedsięwzięcia spotkała się m.in. z François Mauriakim, Jeanem Schlumbergerem i Charles'em Vildrakim. W USA pomogła Kuncewiczowej jej oddana przyjaciółka Margaret Storm Jameson, która wykładała wówczas na uniwersytecie w Pittsburghu.

Amerykańskie Centrum PEN Clubu odmówiło pomocy, widząc w akcji aspekty polityczne, od których stroniło. Odmówił złożenia swojego podpisu Tomasz Mann, co bardzo zabolowało Kuncewiczową. W sumie pod apelem widniało 26 nazwisk, wśród nich Alberta Einsteina, Johna Dos Passosa, Roberta F. Sherwooda, Thorntona Wildera i Jules'a Romainsa. Akcja nie zyskała większego rozgłosu, większość gazet nie opublikowała nawet treści apelu, lecz jedynie noty o nim.

O tym, jak dużą wagę przywiązywała pisarka do tej sprawy, świadczy to, co napisała o niej w „Fantomach” i „Naturze”. Wprawdzie idea światowego obywatelstwa nie została do końca zapomniana, sama Kuncewiczowa zdystansowała się jednak wobec niej. W 1960 r. przyjęła obywatelstwo amerykańskie, by uniknąć problemów wizowych w podróżach, a w 1974 r., po powrocie z zagranicznych wojaży po Europie Zachodniej, powiedziała w wywiadzie dla warszawskiej „Kultury”: „Wracam jak wdowa po idei, która bardzo długo nie wydawała mi się utopią – obywatelstwem światowym. Rozwierają się moje nadzieje na porozumienie narodów, społeczeństw, klas, generacji, ludzi w ogóle. Na Zachodzie widzi się to niebezpieczeństwo wyraźniej”.

Zgłoszenie do Nobla

Do Polski Maria Kuncewiczowa przyleciała po raz pierwszy w czerwcu 1958 r., po 19 latach. Z czasem będzie tu coraz częściej, z Ameryką zresztą, po wypełnieniu obowiązków związanych z prowadzeniem na Uniwersytecie

w Chicago zajęć z zakresu literatury polskiej, niewiele ją wiązało. Rozpoczęła więc starania o odzyskanie domu w Kazimierzu (gdy przyjechała tam po raz pierwszy, jej dom zajęty był na kolonie letnie przez... Urząd Bezpieczeństwa), co sfinalizuje w roku 1962. Swoją popularną powieść „Tristan 1946” pisać będzie już z powrotem w swoim domu.

W 1975 r. autorka „Cudzoziemki” mogła żywić pewne nadzieje na otrzymanie najważniejszej nagrody literackiej – Nobla. Jej kandydaturę zgłosił Walter Berendsohn, naturalizowany Niemiec z Uniwersytetu w Sztokholmie, specjalizujący się w twórczości Strindberga. Pisarka poczyniła pewne starania, by wesprzeć to zgłoszenie poparciem ważnych osób i instytucji. Inicjatywę prof. Berendsohna poparli m.in. przedstawiciele Uniwersytetu w Chicago, Fundacji Kościuszkowskiej i brytyjskiego PEN Clubu. Bez skutku jednak; Nobla otrzymał wtedy włoski poeta Eugenio Montale.

W następnym roku, wykorzystując pobyt pisarki w USA, u syna, zaproszono ją do wygłoszenia odczytu w Nowym Jorku. Było to – oceniała autorka monografii Kuncewiczowej, Alicja Szałagan – „bodaj najbardziej nieprzyjemne spotkanie z czytelnikami, jakie kiedykolwiek miała”. „Nowy Dziennik” poprzedził odczyt nieprzychylnymi dla autorki „Cudzoziemki” anonсами, wypominając jej milczenie w kwestii planowanych w kraju przez PZPR zmian w PRL-owskiej konstytucji. A przecież to wówczas uaktywnili się pisarze, podpisując protesty w rodzaju Listu 59 i Listu 101. Brak aktywności pisarki na tym polu „Nowy Dziennik” uznał za oburzający i wezwał czytelników do przyścia na odczyt Kuncewiczowej i zmuszenia jej do złożenia stosownych wyjaśnień. Na spotkaniu rozpowszechniano ulotkę podpisaną przez „Wolną Polskę”, w której postawę ideową pisarki określono jako „kolaborację z reżimem okupacyjnym”. Frekwencja na odczycie była niewielka, ale panowała na nim fatalna atmosfera, której nie odmieniła informacja Kuncewiczowej o tym, że swój protest przeciw zmianom w konstytucji w odniesieniu do zasad polityki zagranicznej, odpowiedzialności prawnej obywateli i przywilejów partyjnych wysłała w depeszy skierowanej do przewodniczącego Koła Poselskiego „Znak”, Stanisława Stommy. Rzeczywiście, treść tej depeszy opublikowana została w paryskiej „Kulturze”.

Nagrodę Państwową, i to I stopnia, dostała jeszcze w roku 1974. Co roku zimą Kuncewiczowie spędzali we Włoszech. Byli też w Rzymie w 1981 r., przedłużając swój pobyt ze względu na chorobę Jerzego i konieczność przeprowadzenia operacji. W efekcie nie opuścili jeszcze Rzymu 13 maja, przeżywając tam zamach na Jana Pawła II. Pisała o tym potem w „Przezroczeniach” i na łamach kanadyjskiego polonijnego „Związkowca”. Przez dwa lata 1982–1983 nie ogłosiła żadnego tekstu w prasie krajowej. Odmówiła też przyjęcia Krzyża Komandorskiego Orderu Odrodzenia Polski z Gwiazdą, co faktycznie jednak nastąpiło, tyle że pięć lat później.

Dwa granitowe krzyże

14 marca 1984 r. w szpitalu w Lublinie zmarł Jerzy Kuncewicz. Miał 91 lat i pochowany został na cmentarzu w Kazimierzu w miejscu, gdzie stały wcześniej dwa granitowe krzyże. Małżeństwo przeżyło ze sobą 63 lata. Wspólnie jeszcze postanowili, że skoro ich dom nie może stać się siedzibą przyszłych pokoleń, gdyż ich syn i wnuk osiedli w Stanach Zjednoczonych, to przekażą go – jako obiekt zabytkowy – miastu, z zastrzeżeniem, że stać się ma żywym ośrodkiem kulturalno-dydaktycznym. Tutaj trzeba nadmienić, że budowa zaprojektowanej przez Karola Sicińskiego „Kuncewiczówki” rozpoczęła się w roku 1934 od zakopania pod progiem domu książek: „Dwóch księżyców” Marii Kuncewiczowej i „Przebudowy” Jerzego Kuncewicza. Ukończony w dwa lata obiekt stał się jednym z najbardziej znanych budynków w Kazimierzu, zresztą harmonijnie wkomponowanym w zabudowę miasta.

Długo jeszcze trwało wyposażanie wnętrza domu, w którym – za sprawą zaprzyjaźnionego malarza Michała Borucińskiego – znalazły się m.in. oryginalne XIX-wieczne kafle z pieca huculskiego.

Po śmierci męża Maria Kuncewiczowa pracowała coraz mniej, miała poważne kłopoty ze zdrowiem, ale kontynuowała swoje „Listy do Jerzego”, myślała też o wydaniu po polsku wykładów chicagowskich. Zdołała także napisać scenariusz filmowy „Cudzoziemki”. Premiera obrazu zrealizowanego przez Ryszarda Bera odbyła się 18 listopada 1986 r. w kinie w Kazimierzu. Pani Maria była obecna, bardzo wzruszona i zachwycona kreacją Ewy Wiśniewskiej. Przypadłby jej zapewne do gustu i kolejny film powstały na podstawie jej powieści, a konkretnie „Dwu księżyców”, ale Andrzej Barański nie zdążył... Premiera odbyła się w roku 1993, Maria Kuncewiczowa zmarła 15 lipca 1989 r. w wieku 93 lat.

W ostatnich latach życia spotkało ją jeszcze kilka wyróżnień, wśród nich Nagroda Błogosławionego Brata Alberta z roku 1986. Telewizja pokazała dokumentalny film Ludwika Perskiego „Maria Kuncewiczowa – wspomnienia o ludziach, książkach i zdarzeniach”, a dokładnie dwa miesiące przed śmiercią pisarki odwiedził ją w Kazimierzu, objeżdżający ziemię lubelską, Wojciech Jaruzelski. Trzy dni później, 18 maja 1989 r., odbyła się w domu pisarki uroczystość nadania jej

doktoratu honoris causa Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Wśród gości były władze miasta Kazimierza, którego honorowe obywatelstwo Maria Kuncewiczowa otrzymała w roku 1938. Ponad pół wieku wcześniej.



Na drugą część opowieści o Legionach Polskich składają się nie tylko opisy bojów tej formacji i nie tylko – zgodnie z podtytułem – walki I Brygady. Marek Koprowski przedstawia także polityczne zawirowania wokół Legionów, w tym wewnętrzne konflikty oraz narodziny legendy Piłsudskiego. W narrację wplecione są obficie fragmenty wspomnień świadków wydarzeń, co znakomicie uatrakcyjnia lekturę. Tak jak wówczas, gdy autor cytuje Stanisława Rostworowskiego, obserwatora szarży ułanów II Brygady pod Rokitną:

„Pojechała ich garstka – siedemdziesięciu, wiedzieli, że jadą na stracenie, ale rwali naprzód [...]. Padło ich na miejscu piętnastu, dwunastu rannych zasałało pole, dwudziestu jeden zważyło się z zabitymi i poranionymi końmi, dziewięciu przejechało pod same karabiny maszynowe i armaty, poprzez cztery rowy strzeleckie i okopy”.

Nie było to polskie szaleństwo, lecz wykonanie fatalnego rozkazu austriackiego dowództwa. Jak stwierdza Koprowski, żadna bitwa stoczona przez I Brygadę nie spotkała się z takim zainteresowaniem publicystów, poetów i artystów jak szarża pod Rokitną.

Koprowski pisze także o znaczącej roli, jaką odegrał w rozbudowie Legionów płk Władysław Sikorski, szef Departamentu Wojskowego NKN. Polityczne kalkulacje Piłsudskiego spowodowały jego konflikt z Sikorskim. Jednak Sikorski, co podkreśla autor, cenił wysoko brygadę Piłsudskiego jako „najbliższy nam stojący czynnik w wojsku legionowym, który potrafił najwięcej zachować odrębności swoistości cechującej Legiony Polskie i który przez to ma dla sprawy pełną, niedającą się zastąpić wartość”.

Piłsudski, bardzo źle nastawiony do Komendy Legionów, znalazł się w konflikcie z jej szefem sztabu – płk. Włodzimierzem Zagórskim. Ten zawodowy austriacki oficer uważał oficerów I Brygady – w tym Piłsudskiego – za wojskowych dyletantów. Z kolei przyszły marszałek „chorobliwie” – jak pisze autor – nie znosił oficerów wykształconych w akademiach i szkołach. Nie liczył się dla niego dyplom, tylko realne doświadczenie zdobyte na polu bitwy.

Marek Koprowski przypomina postać Władysława Bandurskiego,



Wojciech Kossak „Szarża pod Rokitną”

FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

Książka miesiąca / Legiony Polskie

Nie tylko o Józefie Piłsudskim

jedynego biskupa, który gorąco popierał Legiony i odwiedzał żołnierzy na froncie. Był za to krytykowany przez biskupów Królestwa Polskiego i strofowany przez zwierzchnika, arcybiskupa lwowskiego, Józefa Bilczewskiego. Cytowany przez autora kapelan legionowy o. Kosma Lenczowski skarżył się, że księża diecezjalni odmawiają pomocy w poświęceniu i stawianiu krzyży na grobach legionistów. Legioniści bowiem byli utożsamiani przez duchowieństwo z socjalistami. I walczyli po stronie, do której duchowni, zwolennicy endecji, wrogię wobec państw centralnych, nie mieli żadnej sympatii.

Autor zamyka książkę tekstem rozkazu wydanej przez Piłsudskiego

w pierwszą rocznicę wymarszu strzelców z Oleandrów. Piłsudski nazwał żołnierzy I Brygady awangardą Polski, nie tylko wojenną, lecz także moralną. Tak tworzył poczucie ich wyjątkowości i elitarności. Rozkaz kończył wezwaniem: „Idźcie czynem wojennym budzić Polskę do zmartwychwstania!”. ©©

Tomasz Stańczyk



MAREK A. KOPROWSKI
„LEGIONY. DROGA
DO LEGENDY. NIE TYLKO
I BRYGADA. 1915–1916”

REPLIKA

O unii po szkocku

W styczniu tego roku książka prof. Roberta Frosta została uznana przez nasze MSZ za najlepszą publikację obcojęzyczną promującą historię Polski. Nic dziwnego, bo ten szkocki historyk z Uniwersytetu Aberdeen zrobił naprawdę kawał dobrej roboty, przedstawiając zagranicznym czytelnikom dzieje unii polsko-litewskiej. Opublikowana trzy lata temu przez renomowane wydawnictwo Oxford University Press książka zyskała na Zachodzie świetne recenzje, przyczyniając się do lepszego zrozumienia tego, że nie zawsze dominującą siłą w tej części Europy była Rosja.

„Czasami historyk może się poczuć jak człowiek, który na przyjęciu miesza się do kłótni dwóch innych gości tylko po to, aby od obu usłyszeć, że powinien pilnować własnego nosa – tłumaczy autor we wstępie do polskiego wydania, które właśnie ukazało się na rynku. – Ta książka została napisana przez kogoś, kto nie zamierzał pilnować własnego nosa – częściowo w nadziei, że pewien dystans do opisywanej materii pozwoli uzyskać nową perspektywę, ale głównie dlatego, iż opowieść przedstawiona na jej kartach jest po prostu tak interesująca, a do tego prawie zupełnie nieznaną poza obszarem państw sukcesyjnych unii polsko-litewskiej”. Widać, że temat unii między Koroną a Litwą kompletnie pochłonął prof. Frosta. W wywiadzie opublikowanym w styczniu w „Do Rzeczy” szkocki historyk przekonywał, że decydenci w Brukseli powinni



dokładnie prześledzić dzieje naszej unii, jeżeli nie chcą, by UE rozpadła się jak domek z kart. Jego zdaniem receptą na udane współzycie w ramach wspólnoty jest realne, a nie tylko deklarowane, poszanowanie różnorodności tworzących ją organizmów. Czyli skopiowanie podstaw związku Korony i Litwy. Może warto byłoby wysłać do Brukseli kilka egzemplarzy tej książki? ©©

Piotr Włoczyk



ROBERT I. FROST
„OKSFORDZKA HISTORIA UNII
POLSKO-LITEWSKIEJ”

REBIS

Koszmar rzezi Woli

Pognali nas w kierunku Woli. Szliśmy środkiem jezdni, a wszystkie domy po obu stronach ulicy płonęły żywym ogniem. Z otworów okiennych wyskakiwały języki ognia. Duszo i strasznie. Cały czas rozrywały się pociski, gdzieś bardzo blisko. Śwąd spalenizny połączony z odorem rozkładających się ciał pobudzał do torsji. Esemmani oddzielali mężczyzn. Rozległ się spazmatyczny płacz dziecka. To od małej dziewczynki odrywali ojca...”. Tak, prawdziwa wojna znacznie różni się

od patriotycznych czytanek dla dzieci. Wstrząsające wspomnienia Moniki Kicman – która przeżyła rzeź Woli – są tego najlepszym dowodem. ©© (p.z.)



MONIKA KICMAN
„POKONAĆ STRACH”

WYDAWNICTWO AA



PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK
„CO SIĘ STAŁO W 1018
ROKU?”

ZYSK I S-KA

WIELKI CHROBRY

Autor pisze, że rok 1018 był ukoronowaniem pasma geopolitycznych sukcesów Bolesława Chrobrego. „Udało mu się wtedy wreszcie spacyfikować wszystkich sąsiadów, których pokonał na polach bitew [...]. Stał się niekwestionowanym hegemonem w swojej części Europy”. Tamtego roku zawarł układ w Budziszynie i wjechał do Kijowa. ©© (t.s.)



JOANNA JURGAŁA-JURECZKA
„KOSSAKOWIE. BIAŁE
MAZURY”

ZYSK I S-KA

SAGA RODU KOSSAKÓW

Juliusz, Wojciech i Jerzy, Maria Pawlikowska-Jasnorzewska i Zofia Kossak. Cóż to był za ród! Drugiego takiego próżno szukać w dziejach naszej kultury. Joanna Jurgała-Jureczka w swojej książce jak nikt przed nią opisała dzieje Kossaków w niezwykle wciągający sposób. Romanse, intrygi, konflikty rodzinne i artystyczne triumfy. (p.w.)



JANUSZ MIERZWA
„SŁOWNIK BIOGRAFICZNY
STAROSTÓW DRUGIEJ
RZECZYPOSPOLITEJ. T. 1”

LTW

BOHATEROWIE DRUGIEGO SZEREГУ

Kto jest w pierwszym szeregu – wiadomo. Prezydenci, generałowie, szefowie Rady Ministrów, marszałkowie Sejmu. II RP nie byłaby jednak w stanie funkcjonować bez tysięcy urzędników niższych stopni. To oni zbudowali to państwo, a potem zapewniali jego sprawne działanie. Janusz Mierzwa przypomina ciekawe biografie starostów. ©© (p.z.)



FOT. STANISŁAW JAKUBOWSKI/PAP

Polskie wojny z żywiołami

To był największy po II wojnie światowej pożar w tej części Europy. Polem bitwy było niemal 50 tys. ha lasu na pograniczu ówczesnych województw katowickiego i opolskiego.

26 sierpnia 1992 r. ok. godz. 13 pociąg przejeżdżający przez sam środek lasu musiał awaryjnie hamować. Iskry wydobywające się spod kół padły na ściółkę, która od ponad trzech miesięcy nie widziała deszczu. Błyskawicznie

rozpętało się prawdziwe piekło. Upał przekraczający 32 st. C w cieniu nie był największym problemem strażaków. Porywisty, zmienne wiatr odegrał tu decydującą rolę. Pożar rozprzestrzenił się z rekordową prędkością niemal 4 km/godz. Z żywiołem przez pięć długich dni zmagająca się armia ponad 10 tys.



ludzi. Do dyspozycji mieli m.in. tysiąc wozów strażackich, a także 26 specjalistycznych samolotów.

Autorzy „Strażaków” dotarli po latach do ludzi, którzy zmagali się wówczas z żywiołem. Ich wspomnienia to opowieści z prawdziwego pola bitwy.

„Owszem, był taki moment, że pożar zbliżał się do drogi i poczuliśmy ulgę. Jakby kamień z serca spadł – wspominał asp. sztab. Stefan Kaptur, który od początku walczył z żywiołem. – Droga była na tyle szeroka, że wydawało się, że nie ma siły, żeby ogień się przez nią przedarł. Nawet z działek gasiliśmy, bo wydawało się, że to już naprawdę będzie koniec. I wtedy krzyk, że ogień »przeszedł« i jest już po drugiej stronie drogi. Palące się gałęzie wiatr przerzucał 200 metrów dalej. Wtedy dotarło do nas, że to nie będzie standardowy pożar. Że to będzie walka do upadłego”. W walce z ogniem zginęło wówczas dwóch strażaków, a pożar strawił ostatecznie ponad 9 tys. ha lasu (obszar średniej wielkości miasta).

W książce znajdziemy też opisy akcji, w których strażacy musieli radzić sobie z innymi żywiołami. Jak pokazuje rozdział „Strażaków” poświęcony powodzi tysiącletnia, woda bywa nawet bardziej nieprzewidywalna i groźna od ognia. ©

**JOANNA I RAFAŁ
PASZTELAŃSCY
„STRAŻACY”**

ZNAK HORYZONT

Piotr Włoczyk

Bogowie przodków **Mieszka**

Předchrześcijańskie wierzenia Słowian to temat fascynujący, ale od lat wywołujący ostre spory. Znacomie, że uznany badacz – prof. Dariusz Sikorski z UAM – postanowił uporządkować wiedzę na ten temat.

Cały bałagan powstał przez niewielkie zasób źródeł dotyczących wczesnośredniowiecznej historii Słowian. Relacje na temat ich religii pochodzą ze źródeł pisanych w obcych Słowianom językach lub sporządzonych nawet setki lat po chrystianizacji, co utrudnia ich interpretację. W dodatku przez ponad 100 lat badań sami naukowcy zajmujący się badaniem słowiańskich wierzeń przyczynili się do wytworzenia wielu

niepopartych dowodami teorii. „Niemal każdy język słowiański wydał dzieło, będące zbiorem fantazji o religii i mitologii Słowian, kryjących się pod sztafą naukowości” – pisze prof. Sikorski.

Przebrnięcie przez wszystkie źródła i odzielenie faktów od fantazji wymagałoby wielu lat pracy naukowej. I niezwykłych kompetencji. Do zrozumienia systemu słowiańskich wierzeń niezbędna jest znajomość rezultatów prac archeologów, historyków i językoznawców. Dlatego, aby poznać temat, warto sięgnąć po książkę Dariusza Sikorskiego, który przedstawia zgromadzoną wiedzę całościowo i w sposób popularnonaukowy. Profesor Sikorski jest uznanym

badaczem, co w temacie historii Słowian jest niezwykle ważne. W ostatnich latach dużą popularność zdobyły fantazje wyolbrzymiające znaczenie Słowiańszczyzny jako centrum rozwoju cywilizacji. Dotyczy to również sfery wierzeń naszych przodków. Sikorski rozprawia się również z tymi mitami. © *Marcin Bartnicki*



**DARIUSZ SIKORSKI
„RELIGIE DAWNYCH
SŁOWIAN”**

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Zbrodnia w Stopnicy

Niskonakładowe pisma historyczne nie cieszą się wielkim zainteresowaniem. Szkoda, bowiem nierzadko ukazują się w nich niezwykle ciekawe artykuły. Do takich należy bez wątpienia opublikowany w „Kwartalniku Historycznym” tekst dr. Grzegorza Bębniaka: „Incydent w Stopnicy 9 września 1939 roku. Między zbrodnią sądową a egzekucją”.

Autor opisał w nim szczegóły zbrodni wojennej, której dopuścili się na jeńcach niemieckich we wrześniu 1939 r. żołnierze WP. Według jednego z raportów polskich opisywane wydarzenia wyglądały tak: „W samej Stopnicy powstaje strzelanina. To jakiś niemiecki autobus wojskowy, wiozący 30 żołnierzy niemieckich, jadących ze Staszowa, mylnie poinformowany przez dowództwo, że Stopnica jest już zajęta przez oddziały niemieckie, wjechał na rynek. Nie dostrzegł przy wjeździe do Stopnicy zamaskowanej polskiej obrony, a nie został przez nią zatrzymany, aby go w mieście pochwytać. Na rynku wywiązuje się krótka walka. Niemcy rzucają granaty ręczne i rozbiegają się po najbliższych domach, w których się bronią. Opór ich zostaje szybko zlikwidowany. Część dostaje się do niewoli”.

Cytowany dokument co prawda właściwie ukazuje przebieg wydarzeń w Stopnicy, ale pomija zupełnie sprawę dalszych losów jeńców niemieckich wziętych do niewoli. Jak się potoczyły, ustalił radca Joachim Schöhl, pracownik funkcjonującej przy OKW Placówki Dochodzeniowej ds. Naruszeń Prawa Międzynarodowego (Wehrmacht Untersuchungsstelle).

W drugiej połowie września przesłuchał on dwóch żołnierzy 2. Dywizji Pancerniej, którzy trafili do polskiej niewoli, oraz kolejnych trzech z 31-osobowej orkiestry 15. pułku pancernego z 5. Dywizji Pancerniej. Wspomniani żołnierze znaleźli się w 46-osobowej grupie jeńców pochodzących z różnych jednostek, do których polscy konwojenci utworzyli ogień, zabijając najprawdopodobniej 33 z nich (części udało się uciec). Zwłoki zamordowanych (niektórych ciężko rannych dobito z broni

palnej albo z użyciem bagnietów), spalono. Niedługo po tym zdarzeniu niemieckie organa policyjne rozpoczęły drobiazgowe dochodzenie w sprawie zbrodni. Gestapo ustaliło, że egzekucję przeprowadzili pochodzący głównie z Mikołowa i okolic żołnierze z 1. kompanii I batalionu 201. pp. 55. Dywizji Piechoty, a rozkaz wydał dowódca jednostki – płk Stanisław Kalabiński. Pięciu wykonawców mordu Niemcy wysłali do KL Auschwitz, gdzie zmarli, natomiast jeden popełnił samobójstwo lub został zlinczowany w celi mikołowskiego więzienia.

DR GRZEGORZ BĘBNIK
„»INCYDENT«
W STOPNICY”
„KWARTALNIK
HISTORYCZNY”
1/2018

płk. Kalabińskiego traktowana jest jako efekt sądowego mordu dokonanego przez Niemców na tym rzekomo szlachetnym polskim oficerze. Ową „szlachetność”, niestety wątpliwej jakości, obrazuje relacja polskiego oficera porucznika Zbigniewa Jabłońskiego, który wspominał: „Jeńców niemieckich skierowuję do pobliskiego Komisarjatu Policji. Wybrawszy dwóch najstarszych podoficerów spośród nich, odprowadzam ich pod eskortą dwóch żołnierzy z bagnietami na broni – do D[owódz]twa Dywizji. Niemcy po drodze tłumaczą się, że są członkami orkiestry niemieckiego pułku czołgów, który poprzedniego dnia był w Stopnicy... Owych dwóch jeńców niemieckich doprowadziłem natychmiast do płk. Kalabińskiego, dowódcy 55. Dywizji. Oświadczył on, że nie można bawić się z jeńcami niemieckimi i że trzeba ich rozstrzelać”.

To świadectwo daje pewność, że płk Kalabiński nie padł ofiarą mordu sądowego, lecz poniósł konsekwencje wydania sprzecznego z prawem wojennym rozkazu. Inną kwestią jest to, że determinacja, którą organa śledcze III Rzeszy wykazały w osądzeniu i ukaraniu pułkownika, kontrastuje ze sposobem traktowania przez Niemców swoich własnych żołnierzy odpowiedzialnych za zbrodnie wojenne, dla których ogłoszono amnestię. ©©

Arkadiusz Karbowiak

Wojna wywiadów i Enigma

Najnowsza książka Kacpra Śledzińskiego dotyczący wydarzeń rozgrywających się w ciągu kilku lat przed jej wybuchem i jest opowieścią o pasjonującej walce wywiadów. Głównymi bohaterami książki są oficerowie polskiego wywiadu, ich francuscy sojusznicy oraz niemieccy przeciwnicy. Książkę rozpoczyna rozdział o przygotowaniach do aresztowania Jerzego Sosnowskiego, polskiego agenta w Berlinie. Autor nie przesadza, czy szokujące oskarżenie Sosnowskiego, po jego powrocie do Polski, o współpracę z Abwehrą, było słuszne czy nie. Jednak z lektury rozdziałów poświęconych Sosnowskiemu wynika, że centrala polskiego wywiadu kierowała się wobec niego chorobliwą wręcz nieufnością. A była ona spowodowana w dużej mierze urazem, jakiego doznała polska służba wywiadu w wyniku skompromitowania się podczas sowieckiej operacji „Trust”.

Największym osiągnięciem polskiego wywiadu było złamanie szyfru niemieckiej Enigmy. Kacper Śledziński podkreśla, że u źródeł tego sukcesu była informacja przekazana przez francuskiego agenta w Reichsweshrze – Hansa Thilo Schmidta. „To on otworzył oczy Francuzom na Enigmę”. Według Francuzów i Anglików zdobyty przez agenta materiał był za słaby, by pomóc w rozwiązaniu szyfru. Francuzi przekazali w 1931 r. polskiemu Biuru Szyfrów to, co dostali od Schmidta, a Polacy pokazali, co potrafili. ©© (t.s.)



KACPER ŚLEDZIŃSKI
„W TAJNEJ SŁUŻBIE. WOJNA
WYWIADÓW W II RP”

ZNAK HORYZONT



Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Nagroda imienia Tynfa

Troje amerykańskich naukowców – kto ciekaw, ten niech wpisze w wyszukiwarke: Helen Pluckrose, James A. Lindsay i Peter Boghossian – przez rok wypisywało kompletne feministyczno-genderowe brednie, opatrywało je przypisami i bibliografiami odsyłającymi do nieistniejących źródeł oraz opracowań, po czym wysyłało pod pseudonimami do renomowanych pism naukowych. Były to dzieła tego rodzaju jak odczytanie wzorców patriarchalnej kultury gwałtu przez zachowania kopulujących psów, badanie wpływu wibratora na łagodzenie postaw homofobicznych albo męskiej masturbacji jako formy gwałtu poprzez metaagresywne seksualnie wyobrażanie sobie kobiety. Najgrubszym numerem była praca o zbiorowej solidarności jako podstawie feminizmu, przepisana z „Mein Kampf” Adolfa Hitlera, praktycznie bez zmian, poza oczywiście zastąpieniem żargonu nazistowskiego feministycznym.

Pewnie nie zaskoczy czytelnika wiadomość, że wszystkie wyprodukowane przez troje prowokatorów nonsensy zostały w owych renomowanych pismach wydrukowane, nikt nie próbował ich weryfikować, nikt nie zwrócił uwagi, że stanowią kompletny bełkot, a już tym bardziej nikt nie zakwestionował politycznie poprawnych tez. Gdyby autorzy sami nie ujawnili prowokacji, mogliby stać się twórcami kilku nowych

szkół i nurtów w humanistyce w ogóle, a w genderystyce w szczególności. Teraz pewnie mają przerąbane i niewiele im pomoże tłumaczenie, że nie chodziło im o kpinę z feminizmu ani skretyniałego od politpoprawności światka akademickiego, tylko o eksperyment naukowy badający funkcjonowanie we współczesnej nauce autorytetów.

„Polska trendsetterem narodów” – zwykłem powtarzać, od kiedy w samym centrum cywilizacji, w USA, wyborczy sukces Donalda Trumpa uruchomił z dwuletnim opóźnieniem cyrk identyczny jak u nas z KOD i „bronieniem konstytucji”.

**/ Wyprodukowane
przez troje
prowokatorów
nonsensy były
drukowane
w renomowanych
pismach**

Jakieś 10 lat temu polski psycholog Tomasz Witkowski wymyślił nowy, rewolucyjny rodzaj terapii – od początku do końca pozbawiony sensu i podstaw – i ogłosił go pod żeńskim pseudonimem w popularnym psychologicznym piśmie, po czym ogłosił, że to on ogłosił i że

ogłosił bzdury, aby pokazać, jak łatwo byle szarlatan może dziś u nas udawać naukowca i szeroko reklamować „nowe rewolucyjne terapie”, wyrządzając trudne do przewidzenia szkody naiwnym.

Jeśli sięgnąć głębiej, to pomysł jest w ogóle bardzo stary, ale w dawnych czasach stosowany jednak dla żartu. Jeden z najsławniejszych międzywojennych wygłupów wykonało kilku studentów (wśród nich był Jan Ulatowski, później publicysta i żołnierz PSZ na Zachodzie, wsławiony niezłomnym protestem przeciwko brytyjskiej zdradzie, za który skazano go na więzienie i ostatecznie deportowano z Wysp); wysmarowani czarną pastą udawali oni misję dyplomatyczną z egzotycznego Beludżystanu. Nie chcieli, jak twierdzili, ośmieszyć władz, które podjęły beludżystańskich gości z powagą, policji, która przyznała im honorową eskortę, ani relacjonującej wizyty prasy. Tylko im tak przypadkiem wyszło.

Konstanty Ildefons Gałczyński, który obronił pracę dyplomową o nieistniejącym angielskim poecie z, niby to, XVII w., też nie chciał się natrząsać ze swej Alma Mater – zwyczajnie łatwiej mu było zmyślić poetę i jego wiersze, nawet w XVII-wiecznych oryginałach, niż przysiąc fałdów w bibliotece.

Przyznać jednak trzeba, że w czasach feminizmu, „gender studies” i politycznej poprawności tego rodzaju trolling ma przed sobą perspektywy szersze niż kiedykolwiek. ©©



Piotr Semka

/ Felieton

Pułaski

krzepi

W dniu 11 października 2018 r. prezydent Donald Trump ogłosił specjalną proklamację z okazji ustanowienia federalnego dnia pamięci gen. Kazimierza Pułaskiego. To święto obchodzone dotąd głównie jako uroczystość Polonii najbardziej znane było z parad naszych rodaków w Nowym Jorku i Chicago. Teraz gospodarz Białego Domu nadał dniu Pułaskiego oficjalną, ogólnofederalną rangę.

„Ja, Donald J. Trump, prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki, na mocy uprawnień nadanych mi przez Konstytucję i prawo Stanów Zjednoczonych, ogłaszam 11 października 2018 r. Dniem Pamięci Generała Pułaskiego. Wzywam wszystkich Amerykanów, by z tej okazji uczcili pamięć wszystkich tych, którzy przyczynili się do umocnienia naszego Narodu”.

W proklamacji prezydenta USA znalazły się zdania, które mogły spodobać się Polakom. Dokument podkreśla, że Pułaski jako żołnierz konfederacji barskiej walczył o wyzwolenie Polski spod – wymienionej konkretnie z nazwy – „rosyjskiej władzy”.

W proklamacji podkreśla się też, że polsko-amerykański generał w czasie wojny o niepodległość uratował życie Jerzemu Waszyngtonowi, poległ na polu chwały i stał się uosobieniem „specjalnych więzi, jakie po dziś dzień łączą naród amerykański i polski”.

W naszym kraju często przypominanie o dziedzictwie Kościuszki i Pułaskiego uznaje się za fasadowy rytuał. Zawsze znajdują się prześmiewcy ostrzegający, aby amerykańskiej kurtuazji nie brać zbyt serio.

Czy nie jest jednak tak, że nie doceniamy historycznego kapitału w osobach

Kościuszki i Pułaskiego, którzy walczyli w amerykańskiej wojnie o niepodległość?

Pułaski jest wśród ośmiu – tak, tylko tytu – postaci historycznych, które obdarzono honorowym obywatelstwem USA. W 1963 r. po raz pierwszy przyznano je Winstonowi Churchillowi, premierowi Wielkiej Brytanii z lat II wojny światowej. W 1981 r. uhonorowano Raoula Wallenberga, szwedzkiego dyplomatę ratującego Żydów, w 1984 r. – małżeństwo Williama Penna i Hannah Callowhill Penn – założycieli kolonii Pensylwania w XVIII w. – i w 1996 r. matkę Teresę z Kalkuty.

W 2002 r. uczczono Francuza, markiza de la Fayette’a, w 2009 r. – Kazimierza Pułaskiego, a w 2014 r. – Hiszpana

/ Nie doceniamy historycznego kapitału w osobach Kościuszki i Pułaskiego, którzy walczyli w amerykańskiej wojnie o niepodległość

Bernardo de Gálveza. Był to dowódca sprzymierzonej z Amerykanami hiszpańskiej floty, która pobiła Brytyjczyków od strony Florydy, odblokowując szlaki dostaw. Inni nie mają oporów, by przypominać jankesom o swoich bohaterach.

Francuzi odwołują się do markiza de la Fayette’a przy każdej wizycie prezydentów Francji w Waszyngtonie. A pamięć Bernardo de Gálveza świętują hucznie Hispanics – hiszpańskojęzyczni obywatele USA mówiący w języku Cervantesa.

Tylko u nas panuje dziwaczna moda, by na temat tego historycznego kapitału wypowiadać się z lekką ironią.

A przecież podobnych bohaterów nie mają ani Czesi, ani Bałtowie (Litwini przypominają jedynie Kościuszkę), ani Skandynawowie, ani Węgrzy, ani Włosi, ani Portugalczycy. A i wśród cudzoziemców walczących pod wodzą Waszyngtona istnieje gradacja ważności. W XIX w., gdy w USA istniała znacząca diaspora niemiecka, o wiele mocniej wybijano postać gen. Friedricha von Staubena – oficera, który za pomocą pruskiej musztry zreorganizował armię USA mającą wcześniej charakter ochotniczej zbieraniny. Jednak dwie wojny światowe i asymilacja Niemców osłabiły ten kult.

Co pozostaje innym mniejszościom? Zamiast bojowych herosów muszą słać odkrywców Ameryki. Skandynawowie pyszną się Leifem Eriks-sonem – dowódcą wikińskiej wyprawy do lądu zwanego dziś Ameryką, a Włosi szczycą się Kolumbem.

Dlaczego honorowego obywatelstwa nie otrzymał Tadeusz Kościuszko? No cóż, być może zaważyło to, że Pułaski jednak zginął za swoją nową ojczyznę. Jego imieniem nazwano dwa okręty floty USA – w 1854 r. parowiec „USS Pułaski”, a w 1961 r. wielki okręt podwodny „USS Casimir Pulaski”. Kościuszko musi się zadowolić pomnikami w Waszyngtonie, Chicago, Bostonie, Filadelfii, Milwaukee, Saint Petersburgu na Florydzie i przed wojskową akademią West Point. Pułaski ma tylko dwa pomniki – w Savannah, gdzie zginął, i w Providence w stanie Rhode Island, ale za to jego imieniem nazwano jeden z mostów w Nowym Jorku.

A muzeum Pułaskiego w Warce odwiedzają żołnierze US Army stacjonujący rotacyjnie w Polsce. Mówcie, co chcecie. Symbole jednak liczą się w polityce. ©©



Tomasz Stańczyk

Trzy żony polskich królów wywodziły się z Wielkiego Księstwa Litewskiego, jedna była moskiewską księżniczką

Jednym ze znakomitych posunięć króla Władysława Łokietka było dążenie do przerywania konfliktów i wojen z Litwą. Łokietek pamiętał, że w walce z Litwinami poległ Kazimierz II, z kujawskiej linii Piastów, z której sam się wywodził, a inny Piast, mazowiecki Siemowit, zginął w walce z Litwinami w Jazdowie, na terenie późniejszej Warszawy. Łokietkiem kierowała także strategiczna kalkulacja: Litwa mogła się stać sojusznikiem przeciw zakonowi krzyżackiemu. Droga do pojednania z Litwą była typowa dla ówczesnych władców – poprzez dynastyczny związek małżeński. Łokietek doprowadził do ślubu Kazimierza, swego jedyne go syna, z Aldoną, córką wielkiego księcia Giedymina. Polski król poza polityczną kalkulacją wykazał się też niemałą odwagą. Przez ten mariaż sprzymierzał się przeciw z pogańską Litwą, co nie mogło być dobrze odebrane w świecie chrześcijańskim.

Aldona

Aldona była rówieśniczką Kazimierza. Gdy połączył ich w katedrze wawelskiej w 1325 r. wąż małżeński, mieli oboje około 16 lat. Rzecz jasna, przed ślubem Aldona musiała porzucić pogańską wiarę i przyjąć chrzest. Otrzymała wówczas nowe imię – Anna. Wśród ustaleń ślubnego kontraktu było i to, że Litwini uwolnią licznych polskich jeńców.

Kronikarze opisywali Aldonę Annę jako kobietę wesołą, lubiącą taniec, śpiew i jazdę konną. A to nie bardzo się podobło pobożnej, może nawet dewocyjnej, teściowej. Aldona była kobietą postawną, silną fizycznie i w tym względzie pasowała do męża, który nie odziedziczył niskiego wzrostu po ojcu. Małżeństwo



Jan Matejko „Zygmunt August z Barbarą” FOT. WIKIPEDIA

XIV–XVI w. / Małżeństwa monarchów

Litwinki na Wawelu

Aldony i Kazimierza trwało kilkanaście lat. Aldona nie urodziła mężowi dziedzica – nie doczekał się zresztą go z kolejnymi żonami – lecz dwie córki.

Kazimierz był człowiekiem pełnym temperamentu erotycznego i zapewne zdradzał swą litewską żonę. Kronikarze pisali o skandalu obyczajowym związanym z królewiczem Kazimierzem kilka lat po jego ślubie. Miał zgwałcić szlachciankę Klarę Zach podczas wizyty na dworze węgierskim. Miało to dramatyczne następstwa. Ojciec Klary w odwecie, nie mogąc dopaść polskiego królewicza, który wrócił do kraju, dokonał zamachu na króla Karola Roberta i jego żonę – córkę Łokietka – raniąc oboje. Jednak część historyków uważa, że do zgwałcenia Klary nie doszło, a próba zabicia króla węgierskiego przez jej ojca miała inne przyczyny. Być może jednak Kazimierza i Klarę połączył romans. Aldona Anna zmarła w 1339 r. w wieku ok. 30 lat i została pochowana w katedrze wawelskiej, jako pierwsza z żon polskich królów.

Sonka

Wnuk Giedymina, ojca Aldony, król Władysław Jagiełło został założycielem dynastii Jagiellonów. Jednak aż do jego późnych lat życia nic tego nie zapowiadało. Pierwsza żona, królowa Jadwiga, wnuczka króla Karola Roberta, urodziła w 1399 r. córkę Elżbietę Bonifację, która przeżyła zaledwie kilka tygodni. Jadwiga zmarła tuż po niej. Druga żona, Anna Cylejska, także urodziła córkę – Jadwigę. Parę lat później, w 1416 r., Jagiełło został wdowcem. Trzecią żoną została Elżbieta Granowska. Niezwyczajny to był mariaż, bo zawarty z poddanką, trzykrotną mężatką, wdową z dziećmi. Na niewieście ciążyła aura pewnego skandalu. Jej pierwszy mąż Wiszel Czambor został zamordowany przez Jenczika z Hiszyna, który następnie ożenił się z wdową.

Najbardziej zadziwiające w wyborze Jagiełły było jednak to, że Granowska liczyła ponad 40 lat, a więc raczej trudno było oczekiwać, by łatwo – jeśli w ogóle – mogła zająć w ciąży. O związku starzejącego się króla z niemłodą kobietą zadecydowały zapewne jej urok i uroda. A może też pogodzenie się króla z tym, że już nie będzie miał syna. Żona Władysława Jagiełły zmarła po kilku latach, w 1420 r., a to otwierało królowi drogę do ponow-

nego małżeństwa i dawało szansę na doczekanie się męskiego potomka.

Wkrótce potem Władysław Jagiełło, liczący wówczas ponad 60 lat, poznał 17-letnią Sonkę Holszańską. Jak stwierdził Zygmunt Wdowiszewski, autor „Genealogii Jagiellonów”, Holszańscy należeli do kniaziów czysto litewskiego pochodzenia. Holszany (Olszany) znajdowały się niedaleko Krewa, na terytorium właściwej Litwy. Zaślubiny Jagiełły i Sołki Holszańskiej odbyły się w Nowogródku, w 1422 r. Sonka zmieniła wyznanie z prawosławnego na katolickie i przyjęła imię Zofia. I dała początek dynastii Jagiellonów, rodząc synów – przyszłych królów Polski i wielkich książąt litewskich – Władysława (w 1424) oraz Kazimierza (w 1427).

Krążyły jednak plotki sugerujące, że przynajmniej drugi z nich nie jest wcale synem Jagiełły, ale jakiegoś polskiego rycerza. Była to intryga, o którą bezpodstawnie oskarżano brata stryjecznego

cielstwo rycerzy siedziało w więzieniu. Istnieje domysł, że wytoczony królowej proces miał podłoże polityczne. Chodzić w nim miało o zaprzeczenie legalności synów Jagiełły i przekreślenie planów dynastycznych”.

Król zmarł w 1434 r., Zofia Holszańska zabiegała bezskutecznie o to, by wobec małoletności syna Władysława, obranego królem, powierzono jej regencję. Dziesięć lat później spotkał ją dramat, jakim była śmierć syna, poległego w bitwie z Turkami pod Warną. W dziejach kultury zapisała się, zlecając przekład – pierwszy w historii – Biblii na język polski. Tłumaczenie, z języka czeskiego, nazwano „Biblią królowej Zofii”.

Helena

Wnukiem Jagiełły i Sołki, synem Kazimierza IV Jagiellończyka, był Aleksander. Po śmierci ojca w 1492 r. został wielkim księciem litewskim. A jego brat, Jan Olbracht, objął polski tron. Unia polsko-litewska przestała na kilkanaście lat istnieć. Aleksander, już na początku swojego panowania w Wielkim Księstwie Litewskim, musiał stoczyć wojnę z Wielkim Księstwem Moskiewskim, którego władcą był Iwan III Srogi, zwany także Groźnym i tytułujący się „Panem wszelkiej Rusi”. Zawarcie pokoju między Moskwą a Wilnem zostało przypieczętowane małżeństwem Aleksandra z córką Iwana III – Heleną. Jak pisał Paweł Jasienica: „Aleksander spotkał narzeczoną w pobliżu Wilna. Wysiadając z karocy serdecznym i prostym ruchem do siebie przygarznął, w którym to sentymencie wytrwali oboje”. Kronikarze opisywali Helenę jako kobietę piękną i pełną wdzięku.

Ceremonia ślubna odbyła się w 1494 r. w katedrze św. Stanisława w Wilnie. Jak pisał Zygmunt Wdowiszewski, o posagu nie zachowały się żadne wzmianki. A jeśli był, to niezbyt wielki. Natomiast Aleksander nadał żonie obszerne dobra w Wielkim Księstwie Litewskim.

Warunkiem postawionym przez ojca Heleny, podczas pertraktacji w sprawie zawarcia małżeństwa, było to, że po zostanie ona przy wyznaniu prawosławnym. Jerzy Besala w książce o małżeństwach Jagiellonów pisał, że Iwan III, stawiając taki wymóg, szykował sobie pretekst do wojny z Wielkim Księstwem Litewskim w ramach „zbierania ziem



Królowa Aldona Anna, portret imaginacyjny

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

polskiego króla – Witolda, wielkiego księcia litewskiego. Historycy jednak upatrują winnego pomówień w ambitnym i wpływowym biskupie Zbigniewie Oleśnickim. A także sugerują intrygę krzyżacką. Bronią również żony Jagiełły przed oskarżeniami, jakoby spowodowała – przez trucicielstwo – śmierć Jadwigi, córki króla, zmarłej w 1431 r.

Paweł Jasienica w „Polsce Jagiellonów” pisał: „Młodziutka królowa Sonka bardzo oskarżana była o niewierność i uroczystą przysięgą musiała oczyszczać się z zarzutów, a czterech podejrzanych o uwodzi-



Feliks Sygniewski
„Przysięga królowej Zofii
Holszańskiej” FOT. ARCHIWUM

■ ruskich”, gdyby Helenę zmuszono do przejścia na katolicyzm. Oparła się temu, mimo nacisków, ale właśnie dlatego, gdy w 1501 r. Aleksander został królem polskim, nie została koronowana. Papież i polscy biskupi nie zgodzili się na to.

Król Aleksander zmarł pięć lat później. Helena – w 1513 r. Została pochowana obok męża w katedrze wileńskiej. Zygmunt Wdowiszewski pisał: „Głośna była sprawa skarbów pozostawionych przez Helenę, a przechowywanych pod koniec jej życia w klasztorze franciszkanów w Wilnie. W Memoriale Komorowskiego wymienia klejnoty, złote i srebrne naczynia, suknie i materiały drogocenne, które oszacowane były na 400 000 dukatów. Ponieważ małżonka Aleksandra nie wniosła zbyt bogatej wyprawy, przypuszczać by można, że przeważną część skarbów zebrała już na Litwie”.

Barbara

Pierwsze małżeństwo Zygmunta Augusta, ostatniego Jagiellona na tronie polskim, było nieszczęśliwe. Zapewne winą za to można obarczać ludzi z polskiego dworu, którzy powinni byli dowiedzieć się wszystkiego o kandydatce na żonę – Elżbiecie, córce habsburskiego

arcyksięcia. Zygmunt Wdowiszewski pisał: „Pożycie małżonków od początku pozostawiało wiele do życzenia, przy tym okazało się, że Elżbieta cierpi na epilepsję, co tym bardziej odstręczało Zygmunta Augusta od żony”.

W chwili ślubu, w 1543 r., Elżbieta miała 17 lat, syn Zygmunt Stary był od niej o sześć lat starszy. Zmarła zaled-



Barbara Radziwiłłówna
– portret królowej FOT. WIKIPEDIA

wie dwa lata później i została pochowana w katedrze wileńskiej.

Jeszcze za jej życia Zygmunt August poznał córkę Jerzego Radziwiłła, młodą, 20-letnią zaledwie wdowę, Barbarę Gasztołdową. Biograf Barbary, Zbigniew Kuchowicz, stwierdzał, że była piękną kobietą, „zalet cielesnych i wdzięku miała wręcz w nadmiarze”. Co więcej, cechowała ją silna namiętność erotyczna. Była „wspaniałą miłośnicą”, jednak nie nimfomanką. Kuchowicz podkreślał także to, że jej listy świadczą o umiejętności jasnego oraz barwnego przenoszenia swych myśli na papier. „Tak inteligentnie i świetnie nie potrafiła pisać jakakolwiek polska kobieta jej pokolenia”.

Zygmunt August zakochał się w Barbarze na zabój. Brat Barbary, Mikołaj Radziwiłł „Rudy”, oraz jego stryjeczny brat Mikołaj „Czarny” mieli nalegać, by Zygmunt August zakończył romans – wiedząc dobrze, że nie był do tego skłonny – czekali, by przyłapać go w niedwuznacznej sytuacji z Barbarą. Tak też się stało. Zażądali wówczas, by kochankowie wzięli ślub. Ksiądz już czekał w pogotowiu... Stało się to w 1547 r. Zapewne była to intryga mająca wynieść Radziwiłłów na jeszcze bardziej znaczącą pozycję w państwie.

Sama jednak Barbara, zdaniem Zbigniewa Kuchowicza, wcale nie dążyła do małżeństwa. Ślub Zygmunta Augusta z Barbarą został źle przyjęty przez jego rodziców, a szczególnie królową Bonę, oraz przez zdecydowaną większość dostojników, senatorów i posłów. Koroniarze mieli powody obawiać się wzrostu znaczenia Radziwiłłów. Rozpętała się wręcz kampania nienawiści skierowana przeciw Barbarze, którą nazywano byłą nierządnicą i wszetecznicą.

Na sejmie w Piotrkowie w 1548 r. posłowie prosili króla na kolanach, by zerwał małżeństwo z Radziwiłłówną. Zygmunt August nie ugiął się jednak. Doprowadził w 1550 r. do koronacji Barbary. Była już wówczas poważnie chora i zmarła w następnym roku. Przyczyną była najpewniej choroba nowotworowa lub rozszerzająca się na cały organizm infekcja dróg rodnych. Mikołaj „Czarny” i Mikołaj „Rudy” pragnęli, by Barbara została pochowana w katedrze na Wawelu, co podniosłoby splendor rodu Radziwiłłów. Jednak Barbara chciała spocząć na Litwie. Jej grób znajduje się w katedrze wileńskiej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

ALEKSANDRA GINTROWSKA | JULIA GINTROWSKA | RENATA PRZEMYSK | IZABELA TROJANOWSKA
ŁUKASZ DRAPAŁA | KRZYSZTOF KILJAŃSKI | MAREK PIEKARCZYK | JAKUB WOCIAŁ
MATEUSZ ZIÓŁKO | ZBIGNIEW ZAMACHOWSKI
ORAZ ORKIESTRA SINFONIA VIVA POD DYREKCJĄ JANA STOKŁOSY

Koncert Galowy Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

2018 rokiem Zbigniewa Herberta

TEATR POLSKI W WARSZAWIE
10 GRUDNIA 2018
GODZ. 20.00

BILETY DO NABYCIA W KASIE GŁÓWNEJ TEATRU

UL. KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 6

ZAPRASZAMY: PONIEDZIAŁEK-PIĄTEK 10.00-19.00 SOBOTA-NIEDZIELA 12.00-19.00

KASA W TEATRZE POLSKIM CZYNNA WYŁĄCZNIE NA GODZINĘ PRZED SPEKTAKLEM.

niepodległa | POLSKA
STULECIA ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI

MECENASI KONCERTU

 **PGNiG**

 **LOTOS**

PARTNERZY

 **Poczta Polska**

 **LOTTO**


FUNDACJA
XX. CZYTORSKICH


FUNDACJA

PATRONAT MEDIALNY

 **wprost**

WSPÓŁORGANIZATOR

 **RZECZY**

 **TVP**

Projekt realizowany w ramach obchodów
stulecia odzyskania niepodległości

eprasa.pl d758284998

Partner Fundacja PZU



1526 r.

Bitwa pod Panipatem zmienia oblicze Indii

Triumf Mogołów Wielkich



/Efektem zwycięstwa pod Panipatem było powstanie w Indiach potężnego państwa Mogołów Wielkich. Upadło ono dopiero pod naporem Brytyjczyków w połowie XIX w.

Zwycięstwo pod Panipatem otworzyło „Baburowi” drogę do Delhi i Agry oraz do dalszych podbojów. Kontynuowali je następcy i dynastia Mogołów Wielkich dominowała w czasach w całych niemal Indiach. Panowanie owej dynastii – co może być zaskakujące w uwagi na przodków, dzikich Mongołów – przyniosło ogromny rozwój kultury i stworzenie wspaniałego stylu, łączącego tradycje hinduskie i muzułmańskie. Dzięki nim powstał cud świata – Tadž Mahal oraz czerwone mury fortów Delhi i Agry. Warto tu może zauważyć, że zarówno

jeden z fortów w Agrze, jak i mauzoleum ukochanej żony Mumtaz Mahal wznosił piąty władca z dynastii Mogołów Wielkich – Szahdżahan. Obalił go własny syn i osadził w jego forcie, skąd jednak mógł patrzeć na mauzoleum...

Muzułmanie najeżdżali i podbijali Indie już od początków VIII w. Najpierw nad Indusem, a następnie nad Gangesem pojawiali się zdobywcy arabscy, a po nich tureccy, perscy i afgańscy, którzy założyli sułtanat delhijski. Islamiści wojowali z hinduskimi maharadzami, ale czasem jeszcze bardziej zawzięcie między sobą. Straszliwe skutki miał zwłaszcza najazd Timura zwanego

Ambrose Dudley „Bitwa pod Panipatem” FOT. WIKIPEDIA



Pięć ćwierćwieczy później do północnych Indii zawitał jego potomek (po ojcu) mający w żyłach (po matce) krew samego Czyngis-chana. Nazywał się Zahir ad-din Muhammad przydomek Babur, czyli Lew. Nie uważał się za Mongoła, ale za Turka, a pochodził z uzbeckiej dziś Fergany. Właśnie Uzbegy odbili na początku XVI w. z rąk Timurydów niemal całą Transoksanię – krainę leżącą za rzeką zwaną przez Greków Oxus (Amudaria), obejmującą dzisiejszy Uzbekistan, Tadżykistan i południowy Kazachstan.

Księżę wygnaniec, wraz z dwutysieczną drużyną, znalazł oparcie w afgańskim Kabulu – którego szachem się ogłosił – skąd przez dziesięciolecie prowadził zakończone niepowodzeniem walki o odzyskanie ojcowizny. Sposobność do zbrojnej interwencji na terenie Indii potraktował jako uśmiech losu. Dali mu ją członkowie mużułmańskiej dynastii Lodich, zakorzenionej w dzisiejszym Pakistanie i północnych Indiach, prosząc o pomoc przeciwko swemu krewniakowi – sułtanowi Delhi.

Był nim Ibrahim Lodi, który naraził się innym członkom rodu chorobliwą podejrzliwością oraz zamordowaniem własnych braci i kuzynów oskarżonych przezeń o spisek. I oto sułtan miał przeciw sobie nie tylko spokrewnionych z nim władców Lahore na zachodzie i Biharu na wschodzie oraz hinduskich książąt Radżputany na południu, lecz także interwenta z Afga-

nistanu. A ten szedł nie po to, by wesprzeć jedną ze stron wewnętrznych przetasowań w ramach obcej dynastii, ale by zabrać władzę obu frakcjom Lodich. Prowadził zaś najbardziej wytrawnych zabijaków na całym Wschodzie.

Dwie armie

„Babur” wiódł prawdopodobnie ponad 20 tys. wojowników, z których główną siłę pod względem liczby i mocy uderzenia stanowili jeźdźcy, ale doskonale uzupełniani przez artylerzystów i muszkieterów. Elitą była półtysięczna konna gwardia przyboczna. Opancerzeni dżygici (czyli waleczni, odważni)

tworzyli jazdę ciężką, postępującą się dzidami i bronią białą.

Hełmy mieli wykonywane na ogół z jednego kęsa metalu z ruchomym nosalem i grotem na szczycie oraz kolczym lub płytkowym czepcem. Używano także osłon głowy o proveniencji koczowniczej – turecko-mongolskiej, zbudowanych z licznych prostokątnych zbrojników. Zbroję perską (tzw. lustrzaną) tworzyły cztery płyty metalowe: przednia, tylna i dwie boczne łączone na rzemienie i szelki, nałożoną na kolczy kaftan. Dobrą osłonę dawały też pancerze lamelkowe, czyli łuskowe.

Lekka konnica, złożona z różnoplemiennych hord stepowych, groźna była przede wszystkim dzięki doskonałemu posługiwaniu się łukami. Używano zwłaszcza łuków kompozytowych, refleksyjnych – mniejszych od łuków prostych, ale dających strzałom nie mniejszą szybkość, a więc i siłę przebicia.

Obok tradycyjnej piechoty – z tarczami, dzidami, mieczami i szablami – „Babur” zorganizował oddziały muszkieterów, których ogień powalał, a jeszcze bardziej straszył przeciwników i ich konie. Co prawda, gdy zdobywano Bajaur, obrońcy początkowo drwili z oblegających, skacząc po murach i przedrzeźniając dźwięki wystrzałów. Gdy celne strzały powaliły pierwszych z nich, przerażeni ukryli się za murami, a niebawem się poddali. Strzelcy stanowili czwartą część całej piechoty.

Artyleria „Babura” składała się zapewne z 20–30 armat różnych kalibrów i po raz pierwszy w historii Indii została wtedy użyta w polu na taką skalę. Jej wielka rola w odniesieniu zwycięstw pod Panipatem i rok później pod Chanwą spowodowała, że także następni Mогоłowie bardzo ją cenili. Szkolenie oficerów powierzali instruktorom sprowadzanym z Turcji, Holandii i Portugalii.

Szach Kabulu jako organizator siły zbrojnej i głównodowodzący w wojnie dowiódł, że odziedziczył cechy swych mongolskich przodków. Szpiedzy i zwiadowcy zbierali dokładne dane o siłach i ruchach wojsk przeciwnika, penetrowali i oceniali teren przyszłej bitwy. Łączność w boju opierała się na sygnalistach, którzy za pomocą chorągiewek, piszczałek lub bębnow przekazywali sobie informacje i rozkazy. Taktykę podporządkowano zniszczeniu sił przeciwnika za wszelką cenę i przy najlepszym wykorzystaniu wszelkich środków. Ostrej dyscyplinie

Tamerlanem w 1398 r. na czele hord o mongolskim rodowodzie, ale będących mieszaniną stepowych i pustynnych wojowników z dorzecza Amu-darii i Syr-darii. W akcie ekspiacji za wojnę z innymi mużułmanami ten okrutny, dokonywał rzezi „niewiernych” Hindusów; podobnie zresztą jak wcześniej chrześcijan w Gruzji, Armenii i Turcji.

■ poddano wszystkich: od dowódców do prostych wojowników.

Nie wiadomo dokładnie, ilu ludzi przywiódł Ibrahim Lodi pod Panipat: sto czy więcej tysięcy. Na pewno znaczną część stanowili: służba obozowa, tragarze, wozacy, kucharze itp. Najlepsze były stałe formacje sułtańskiej piechoty i jazdy, nawiązujące do dawnych wojowników perskich i afgańskich, zdobywców północnych Indii. U Ibrahima Lodiego służyli w nich dobrze wyszkoleni niewolnicy. Sama ich liczba przekraczała prawdopodobnie siły „Babura”.

Sułtanowi służyli też tureccy, perscy i afgańscy najemnicy spoza Indii, wiedzeni chęcią zdobycia łupów, oraz oddziały hinduskich wasali, których wojownicy byli dość wprawni w wojennym rzemiośle. Najliczniejsi byli jednak piechurzy hinduscy, uzbrojeni w krótkie dzidy i tarcze, niemający ani umiejętności, ani ochoty do walki. Zaganiano ich zwykle do pierwszych szeregów, a z nimi stawała ciężkozbrojna jazda mużułmańska. Tak różnorodne oddziały nie potrafiły współdziałać na polu walki, a etniczne i religijne różnice osłabiały dyscyplinę oraz morale poszczególnych żołnierzy oraz całej armii.

Istotną groźbę mogły natomiast stanowić bojowe słonie, których było podobno tysiąc (w rzeczywistości pewnie dwie, trzy setki). Uzbrojeni w broń białą lub miotającą wojownicy usadowieni byli najczęściej bezpośrednio na grzbiecie zwierzęcia (zazwyczaj były to samce) lub w wieżyczkach-platformach. Slonie były szczególnie niebezpieczne dla jazdy, konie bowiem bały się ich. Zwierzę stanowiło doskonały punkt obserwacyjny i dowodzenia podczas bitwy, a łopoczący na słońcu sztandar był widocznym punktem orientacyjnym dla własnych wojsk. Słoniom towarzyszyła kilkudziesięcioosobowa uzbrojona eskorta mająca chronić cenne zwierzę. Często osłaniano je kapami, a nawet kompletnymi pancerzami płytково-kolczymi.

Wzorem Czyngis-chana

Ponad sześć lat minęło, zanim armie szacha i sułtana stanęły naprzeciw siebie pod Panipatem. W tym czasie interwent umocnił się w Pendżabie kosztem własnych sojuszników, którzy wezwali



Wojownik hinduski
RYS. MAREK SZYSZKO

go na pomoc. Opanował fortece Bajaur, pokonał Pasztunów, a wreszcie zdobył Kandahar, pokonując swych przeciwników w Afganistanie. Kilkakrotnie ruszał też na Delhi. Decydującą, siódmą wyprawę podjął dopiero w listopadzie 1525 r.

26 lutego 1526 r. jego syn Nasir ad-din Humajun, prowadząc przodków dzisiejszych Tadżyków afgańskich (w wojnie z Sowiecami dowodził nimi gen. Masud), odniósł pierwsze zwycięstwo w potyczce z przednią strażą Lodiego. 1 kwietnia żołnierze „Babura” okrążyli i wybili kilkutyśiętny oddział kawalerii. Po kilku dniach marszu główne siły spotkały się 90 km na północ od Delhi.

Mimo kilkakrotnej przewagi liczebnej Ibrahim zwlekał ponad tydzień z rozpoczęciem natarcia, co znakomicie wykorzystał „Babur”, nękał przeciwnika podjazdami, a jednocześnie wznosząc przemyślnie umocnienia. Chciał zmusić wroga do frontalnego ataku, mając zabezpieczone skrzydła. Prawe oparł o przedmieścia Panipatu, wzdłuż lewego wykopał długi i głęboki rów oraz powalił drzewa. W centrum ustawiono 700 wozów powiązanych linami oraz palisady, za którymi zajęły pozycje strzelcy: muszkieterzy i łucznicy. W lukach fortyfikacji stanęły działa. Zamaskowane przejścia umożliwiały wypadki jeździe. Wsparcia obronie centrum miała udzielić opancerzona konnica, a na skrzydłach rozmieszczono lekką kawalerię. Siedem lat wcześniej janczarzy tureccy w bitwie na równinie Czałdyranu odparli jazdę perską w takim samym obozie warownym, o czym „Babur” doskonale wiedział.

Ibrahimowi albo brakowało wiedzy, albo nie potrafił czerpać z cudzych doświadczeń i zbyt mało ufał przewadze liczebnej. W piątkowy poranek 21 kwietnia, nie zważając na islamski nakaz odpoczynku i modlitwy, rozkazał rozwinąć się swoim wojskom do bitwy. Stanęły one w trzech szerokich kolumnach poprzedzonych silną strażą przednią. Prawą flankę „Babura” miały zaatakować straż przednia oraz lewa i centralna kolumna, a prawa kolumna miała nacierać na jego lewe skrzydło.

Kolumny ruszyły bez rozpoznania umocnień wroga, źle prowadzone przez dowódców, którzy nie umieli się ze sobą porozumieć, oraz w ogromnym ścisiku, poruszając się w szyku ukośnym, niejako schodkami. W efekcie pierwsza kolumna zatrzymała się, czekając, aż następna wyrówna. Doczekała się tylko śmiercionośnych kul z dział „Babura”. Przerazeni i niepewni, co robić, żołnierze wpadli w przerażenie, gdy nagle uderzyła na nich jazda. Nie doszli nawet do fortyfikacji.

Prawa kolumna, wsparta słoniami bojowymi, zdołała natomiast dotrzeć do pozycji przeciwnika. Huk armat spłoszył jednak zwierzęta, a salwy muszkietów położyły pierwsze szeregi atakujących.

Delhijczycy szli jednak do przodu naciskani przez kolejne szeregi atakujących, bijąc się na miecze, włócznie i noże. Dopiero szarża pancernej kawalerii odrzuciła ich do tyłu.

Pierwszy atak więc się załamał, ale gdyby sułtan był wodzem z prawdziwego zdarzenia, wywiódłby żołnierzy z fatalnego położenia. Oto bowiem część z nich bezzadnie stała, część cofała się w panice, a reszta bezzadnie napierała od tyłu. Na taką właśnie sytuację czekał „Babur”. Jak przysłało na potomka Czyngis-chana, uderzył na całej linii w centrum, a lekką jazdę skierował na skrzydła. Konni łucznicy zasypali gradem strzał szeregi wroga, które wkrótce skłębły się w chaosie i panice nie do opanowania. Armia sułtana zamieniła się w masę tratujących się ludzi, bezbronnych już i bezlitośnie wyrzynanych przez napastników. Śmierć zabrała ponad dwadzieścia kilka tysięcy z nich, a drugie tyle odniosło rany.

Podobno jazda „Babura” wznosiła tak wielkie tumany kurzu, że jej atak przypominał trąbę powietrzną, która powoli połykała oddziały przeciwnika. Przegrany sułtan – nędzny wódz, ale mężny wojow-



Wojownik
mongolski

RYS. MAREK SZYSZKO

nik – walczył do końca. Zwycięski szach z honorami złożył zwłoki pokonanego do grobu, ze łzami w oczach mówiąc: „Cześć twej odwadze, bohaterze”.

„Babur” wygrał, ponieważ m.in. połączył metody walki stepowych wojowników z rozwiązaniami stosowanymi już na zachodzie – zarówno świata islamskiego, jak i chrześcijańskiego. Widzimy u niego zarówno ciężką jazdę szarżującą oraz lekką, zasypującą przeciwnika strzałami z łuków, jak i artylerię oraz muszkietierów bijących z silnie umocnionego centrum. Podobnie zwyciężali najwybitniejsi polscy hetmani XVI i XVII w.

Tak więc rok 1526 przyniósł dwie bitwy o istotnym znaczeniu dla islamu. Pod Panipatem jeden z licznych potomków Timura – szach „Babur” – rozgromił armię sułtana Delhi, natomiast pod Mohaczem Turcy pokonali króla węgierskiego i czeskiego Ludwika II Jagiellończyka. Były to wydarzenia odległe; pierwsza z bitew rozegrała się w Indiach, a druga w Europie. Poza tym, że na polu walki zginęli obaj przegrani, łączy je to, iż wyniki bitew miały trwałe i dalekosiężne skutki. Turcy zajęli bowiem – aż do wyprawy wiedeńskiej roku 1683 – niemal całe Węgry. W Indiach powstało zaś państwo Mogołów Wielkich, które upadło dopiero pod naporem Brytyjczyków w połowie XIX w.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Epilog czerwonego barbarzyństwa



Maciej Rosalak

Pomysł lewicowego premiera Hiszpanii Pedro Sáncheza, aby szczątki gen. Francisco Franco zniknęły z eksponowanego miejsca w Dolinie Poległych, bardzo pasuje do ideowego i moralnego oblicza jego formacji politycznej. Przypomnijmy, że zmarły w 1975 r. generał tuż po zakończeniu krwawej wojny domowej (1936–1939) nakazał urządzić niedaleko Madrytu wielką narodową nekropolię – symbol pojednania – w której spoczęły 34 tys. ofiar z obu (!) stron konfliktu. Nad wykutą w skale bazyliką wznosi się tu 150-metrowy, najwyższy na świecie krzyż. U stóp ołtarza pochowano właśnie 35 lat później zwłoki „Caudillo”. Niszczenie śladów frankizmu – usuwanie pomników, zmiany nazw ulic, oficjalne potępienie „reżimu” – rozpoczęły już poprzednie rządy lewicowe. Teraz, przy akceptacji rodzimych i europejskich socjalliberałów, których z gruntu fałszywa wersja hiszpańskiego konfliktu dominuje zresztą od 70 lat, ma zostać dokonany zwykły akt barbarzyństwa.

Trzeba wiedzieć, że zbrodnie przeciwko niewinnym ludziom, zwłaszcza duchownym, zapoczątkowała już rewolucja socjalistów w Asturii (1934), niszcząc 58 świątyń i mordując zakonników z Turón. Kontynuował to „demokratyczny” rząd republikański, w istocie kierowany przez komunistów i funkcjonariuszy sowieckich. Zniszczono ponad 2 tys. kościołów. Dochodziło do niewyobrażalnych bestialstw. Historyk hiszpański Luis Pío Moa Rodríguez pisze m.in. („Mity wojny domowej”): „Pewnego starego wikariusza rozebrano, poddano torturom i obcięto mu członki, wkładając do ust genitalia. Innego po trochu rozstrzelano, celując po kolei w poszczególne organy, by nie umarł od razu. Wielu potraktowano jak byki na corridzie, a niektórym wyjęto oczy lub wykastrowano”. Wedle skrupulatnych obliczeń wśród 72 tys. ofiar czerwonego terrorku znalazło się 13 biskupów, 4194 księży, 2365 zakonników i 283 zakonnice, co oznacza, że co 10. z zamordowanych był osobą konsekrowaną. Trzy tysiące wiernych zabito tylko za to, że byli katolikami i nie wyparli się Chrystusa. Liczba męczenników za wiarę wynosi więc ok. 10 tys. Tyłu nie zamordował nawet Neron w starożytnym Rzymie.

Intencją Frontu Ludowego było wprowadzenie do Hiszpanii regularnych oddziałów sowieckich oraz ustroju sowieckiego. Zapobiegło temu właśnie zwycięstwo gen. Franco. Kolejną historyczną jego zasługą było uchronienie Hiszpanii przed uczestnictwem w II wojnie światowej. Udało mu się również nie dopuścić do wojny domowej już po 1945 r., do której dążyły popierane przez Stalina oddziały komunistycznej partyzantki „maquis” (nazywane również Guerrilleros Españoles). Franco zapewnił Hiszpanii jeden z najdłuższych okresów pokoju w historii kraju, pozostawił po sobie dobrze prosperujące i pojednane wewnętrznie państwo. Czy to właśnie nie podoba się dzisiejszym socjalistom?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

W 1886 r. armia III Republiki wprowadziła do uzbrojenia powtarzalny karabin wz. 1886 (Fusil d'Infanterie Modèle 1886),

popularnie nazywany Lebelem, a wraz z nim nowy bagnet. W przeciwieństwie do karabinu – pierwszej na świecie broni dostosowanej do małokalibrowej amunicji elaborowanej prochem bezdymnym (Poudre B), z pociskiem w płaszczu metalowym – bagnet nie okazał się nowatorski. Kontynuował on w zasadzie linię poprzednika, kłujnego bagnetu do kb Gras wz. 1874 o charakterystycznej T-kształtnej w przekroju głównej i zagiętym ramieniu jelca, choć w przeciwieństwie do niego był zdecydowanie mniej masywny, wykonany w całości z metalu i posiadał zupełnie odmienny sposób osadzania na karabinie. Był to pierwszy francuski bagnet mocowany pod lufą.

Bagnet-szpada wz. 1886 (Épée Baïonnette Modèle 1886) opracowany został w rządowej zbrojowni Chatellerault; mierzył 640 mm, a jego czworogranna w przekroju i sposobna tylko do kłucia głównia – 520 mm. Jelec posiadał pierścień do osadzenia na lufie, a jego długie ramię zagięte było ku głównej. Ta ostatnia miała krótki gwintowany trzpień, na który nasadzano jelec sprężyniasty ze sprężynującym urządzeniem blokującym, a następnie nakręcany wykonany z melchioru (stop miedzi z niklem, cynkiem i żelazem) trzon rękojeści; dopasowany był on do kształtu dłoni, a płasko ścięty grzbiet mieścił na całej długości kanał odpowiadający występowi u spodu lufy; pomiędzy rękojeścią a jalcem znajdowało się urządzenie blokujące w postaci ruchomego pierścienia ze sprężyną, zaskakujące za przedni występ pod lufą. Dodatkowe mocowanie zapewniała płaska okrągła główka, która wchodziła w gniazdo przedniego bączka karabinu. Takie osadzenie, tzn. za pomocą pierścienia jelca i gniazda bączka, a także występów lufy tkwiących w przewodnicy rękojeści, okazało się bardzo solidne, czego nie da się powiedzieć o samej głównej, cienkiej i podatnej na zgięcie lub złamanie, stąd też w latach Wielkiej Wojny często skracanej w polowych warsztatach, co

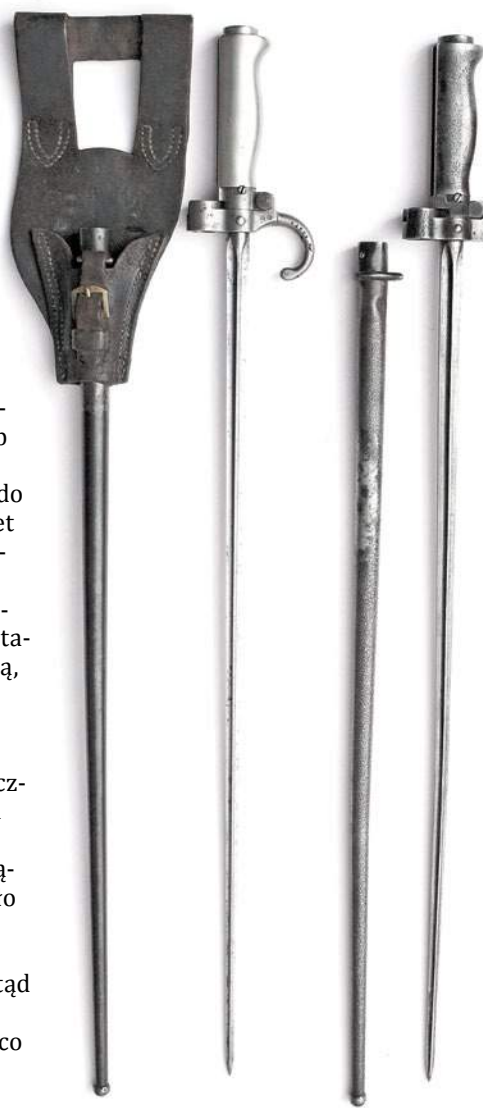
Francuski bagnet-szpada



Michał Mackiewicz,

pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Obok czerwonych spodni znakiem rozpoznawczym francuskich żołnierzy ruszających na front w 1914 r. były karabiny Lebel z charakterystycznymi długimi bagnetami – w takiej konfiguracji cała broń mierzyła 183 cm



czyniło broń bardziej praktyczną do walki w ciasnych okopach.

W ciągu kolejnych lat wprowadzono drobne modyfikacje bagnetu. Usunięto m.in. haczykowane przednie ramię jelca służące do ustawiania karabinów w kozły. Okazało się ono zupełnie niepraktyczne w realiach walki okopowej, utrudniając poruszanie się w transejach i zawadzając o zasieki. Istotne były także względy oszczędnościowe oraz uproszczenie procesu produkcji. Od 1915 r. produkowano już bagnety ze zmienionym jalcem, pozbawionym ramienia (Modèle 1886 Modifié 1915), które usuwano także z egzemplarzy przedwojennej produkcji. Od końca 1914 r. zaczęto także stosować mosiężne i brązowe rękojeści, a od lata 1917 r. stalowe i żeliwne – te ostatnie okazały się najłatwiejsze w produkcji dla prywatnych firm kooperujących z rządowymi zbrojowniami. Bagnety typu szpada stosowano także do karabinów systemu Berthiera, które w czasie I wojny światowej stały się podstawową, obok Lebeli, francuską długą bronią palną, oraz do samopowtarzalnych karabinów RSC Mle 1917 i 1918. Używano ich też w odrodzonym WP, w którym francuska broń strzelecka, obok niemieckiej, była najliczniej reprezentowana. ©©

Samochód pancerny Garford-Putiłow



Pojazd opracowany został w Rosji na początku I wojny światowej na podstawie podwozia eksportowej amerykańskiej pięcotonowej ciężarówki Garford COE. Produkcja uruchomiona została w petersburskich Zakładach Putiłowskich, powstało w sumie 48 pojazdów. Garford-Putiłow, poza trzema karabinami maszynowymi systemu Maxima, uzbrojony był także w 76,2-milimetrową armatę osadzoną na obrotowej wieży. Grubość pancerza sięgała 6,5 mm, a masa pojazdu wynosiła 8,6 t. Załoga składała się z 8–9 ludzi.

Czterocylindrowy, gaźnikowy silnik umożliwiał maszynie jazdę z maksymalną prędkością 18 km/godz. Samochody te użyte zostały przez bolszewików na froncie przeciwpolskim; w toku walk WP zdobyło w sumie trzy sztuki (w tym jeden w 1919 r. na Ukraincach z URL), które włączono do uzbrojenia. Na zdjęciu zrobionym w Warszawie 1 września 1920 r. pojazd o nazwie własnej „Dziadek”; zwraca uwagę uzbrojenie strzeleckie żołnierzy: karabiny powtarzalne systemu Mosina, cekaem Maxim wz. 1910 i francuski erkaem wz. 1915. ©©

Kontrmarsz

Do ostatniej ćwierci XVI w. zasadniczą częścią składową zachodnio-europejskiej piechoty pozostawali pikinierzy, chociaż stosunek ilościowy względem strzelców zmieniał się sukcesywnie na korzyść tych drugich (w drugiej połowie XVII w. pikinierzy). Słynne hiszpańskie tercios przypominały zięjące ogniem jeże (czworobok 1,6 tys. pikinierów otoczonych 900 muszkietarami plus dodatkowi strzelcy na każdym rogu). Maksymalnemu wykorzystaniu zalet muszkietu podporządkowano rewolucyjną taktykę holenderską, w której dopracowano taktykę kontrmarszu. W głębokim 10–12-szeregowym szyku żołnierze z pierwszego szeregu strzelali, po czym robili zwrot przez plecy i pomiędzy szeregami kolejnych muszkietierów odchodzili na koniec, ładując muszkiet. Kiedy znówu przychodziła ich kolej, mieli nabitą broń. Każdy muszkietier wystrzeliwał kilkanaście, najwyżej kilkadziesiąt pocisków. Celność, ze względu na gładki przewód lufy, pozostawiała wiele do życzenia. XVII-wieczny muszkiet miał ok. 1,5 m długości, ważył 6–7 kg i wystrzeliwał ołowianą kulę o kalibrze ok. 20 mm. ©©



MP 5

Chociaż epoka peemów skończyła się z chwilą zakończenia II wojny światowej, broń okazała się doskonałym narzędziem walki dla specjalistycznych formacji wojskowych i policyjnych. MP 5 powstał w latach 60. XX w. w firmie Heckler & Koch. Jako pierwsza zaadaptowała go niemiecka policja. Szybko zdobył sobie jednak uznanie i dzisiaj trudno znaleźć kraj, w którym nie jest używany (poza Niemcami produkowany jest licencyjnie w kilku państwach). W przeciwieństwie do większości peemów starszej gene-



racji MP 5 wykorzystuje zasadę działania zamka półswobodnego (a nie swobodnego) i strzela przy zamku zamkniętym. Idea tej konstrukcji zaczerpnięta została z rozwiązania technicznego zastosowanego niegdyś w rewelacyjnym MG 42. MP 5 zasilany jest z dwurzędowego 30-nabojowego magazynka pudełkowego – łukowego,

posiada przełącznik rodzaju ognia. Występuje w wielu wariantach, w tym z kolbą stałą i składaną. MP 5 posiadają na wyposażeniu żołnierze m.in. Formozy i GROM-u, przy czym ci pierwsi używają specjalnej wersji „morskiej” – MP 5 N (Navy), opracowanej niegdyś dla Amerykanów i posiadającej tłumik dźwięku. ©©



1914-1918 / Szturmowy Chauchat

Broń, która wygrała wielką wojnę



Tymoteusz Pawłowski

/ Po klęsce w I wojnie światowej Niemcy stworzyli legendę, że przegrali ją wyłącznie dlatego, iż dostali „cios w plecy”. To bzdura

Przez stulecia wojna w Europie była wydarzeniem egzotycznym, rozgrywającym się gdzieś na marginesie życia. Wszystko zmienił rok 1914, kiedy wybuchła wielka woj-

na: niemal wszyscy mężczyźni zostali żołnierzami, a niemal wszystkie kobiety „żywiły wojnę”, produkując jedzenie oraz amunicję. Za zmianę odpowiada jeden wynalazek, który pojawił się na przełomie XIX i XX w. – karabin maszynowy. Do tego czasu wojna była zajęciem dość powolnym: w czasie walki rzadko który żołnierz był w stanie strzelać szybciej niż raz na minutę. Wszystko przez czarny proch – materiał miotający pociski. Po każdym strzale proch zostawiał na ściankach lufy zanieczyszczenie – nagar – i jeśli nie zeskrobało się go wyciorem, to ryzykowało się zatkanie lufy kolejnym pociskiem i eksplozję własnej broni.

Od czego są jednak naukowcy? W XIX w. wymyślili całe mnóstwo nowych materiałów miotających, po

których nie trzeba było czyścić luf. Alfred Nobel nie zdobył majątku, sprzedając dynamit kopalniom, zdobył go, sprzedając armiom materiał miotający zwany balistylem. Jak przysłało na Szweda, był neutralny – od lat 90. XIX w. balistylem strzelali zarówno Brytyjczycy, jak i Niemcy. Rosjanie ładowali swoją broń wynalazkami Dmitrija Mendelejewa, a Francuzi – Paula Vieille’a. Ten ostatni – choć najmniej znany – uchodził zresztą za wynalazcę nowych materiałów miotających, zwanych prochami bezdymnymi.

Proch bezdymny pozwolił na oddawanie tysięcy strzałów bez dbania o czystość lufy. Hiram Maxim – Amerykanin z brytyjskim paszportem, wynalazca karabinu maszynowego – zwykł zachęcać do jego zakupów, wystrzeliwując 3 tys. pocisków w ciągu 5 minut. Maxim od-



Ręczny karabin maszynowy Chauchat.
Na zdjęciu belgijski żołnierz strzelający
z tej broni. FOT. WIKIPEDIA, ARCHIWUM

niósł wielki sukces – jego karabiny maszynowe trafiły do 33 armii świata (a krajów było wówczas mniej niż dziś).

Ciężki karabin maszynowy

Karabiny maszynowe zadebiutowały w wojnach kolonialnych, a wojna rosyjsko-japońska, toczona w latach 1904–1905, wykazała, że są skuteczne także w „prawdziwej” wojnie. Wówczas zaczął się wyścig zbrojeń – prawdziwy wyścig, w którym znaczenie miało to, kto pierwszy wprowadzi do masowego uzbrojenia karabiny maszynowe. Wygrali go Niemcy – ich karabin Maxima nosił miano MG08, czyli Maschinengewehr 1908. Drugi byli Rosjanie – tę samą broń wprowadzili jako „wzór 1910”. Później – w 1912 r. – byli Brytyjczycy z Vickersem, a ostatni Francuzi z Hotchkissem Mle 1914.

Niemcy wygrali wyścig i już przed wojną nauczyli się posługiwać karabinami maszynowymi. Byli w stanie zatrzymać każde natarcie prowadzone przez Francuzów, Brytyjczyków czy Rosjan. Jednak ówczesne karabiny maszynowe – dziś zwane „ciężkimi karabinami maszynowymi” – nadawały się tylko do obrony. Na przykład do tego, żeby w przeciągu pierwszego tygodnia bitwy nad Sommą zabić 96 tys. Brytyjczyków. Nie nadawały się natomiast do ataków. Po pierwsze... były ciężkie. Po drugie były niewygodne, składały się z kilku elementów: właściwej broni, ważącej jakieś 20 kg, równie ciężkiej podstawy, jeszcze cięższych akcesoriów (chłodnicy i wody do chłodzenia lufy), taśmy amunicji gotowej do akcji oraz większych zapasów amunicji. Największa wada ujawniała się w czasie zmiany stanowiska: pięciu czy sześciu ludzi musiało rozładować broń, rozłożyć ją, przebiec kilkaset metrów i złożyć ją z powrotem. Skręcona noga u jednego z żołnierzy obsługujących sprawiała, że cekaem nie mógł strzelać.

Niemieccy generałowie niezbyt się tym przejmowali. Uznali, że skoro MG08 sprawował się tak dobrze w pierwszych

latach wojny, to większe zmiany nie są potrzebne. Nieco tylko go uprościli – wprowadzając lżejszą podstawę i dwójnóg, czyli tworząc MG08/15 – ale przede wszystkim nakazali zmianę taktyki. Spośród piechurów wydzielili najlepszych żołnierzy, uzbroili ich w granaty, zastrzone saperki i skopiwane z Włoch pistolety maszynowe. Tak powstały Stosstruppen – oddziały szturmowe. Ich zadaniem było przeniknięcie do francuskich okopów, unikając pocisków wroga. Taktyka była skuteczna przez kilka wiosennych tygodni 1918 r., a potem... zabrakło żołnierzy. Pocisków nie da się bowiem unikać i w przeciągu kilku miesięcy poległa większość spośród 100 tys. „szturmowców imperium”, najlepszych synów ziemi niemieckiej.

Ręczny karabin maszynowy

Generałowie francuscy byli mądrzejsi. Chociaż przegrali wyścig zbrojeń, to jeszcze przed wojną zauważyli, że cekaem nie nadaje się do szturmów. Zaczęli pracę nad pierwowzorem broni, którą dziś nazywamy „ręcznym karabinem maszynowym”. Była ona lekka, chłodzona powietrzem i zasilana z 20-nabojowych magazynków. Nosi różne nazwy: Gladiator, Fusil Mitrailleur Model 15, ale najbardziej znana jest pod imieniem – tak nazywał się jeden z konstruktorów – Chauchat. Jakąkolwiek nazwę byśmy użyli, powszechnie uchodzi za jeden z najbardziej awaryjnych i najgorszych rodzajów broni świata. Jego mechanizmy były skomplikowane i zawodne, produkowano go pośpiesznie i niedokładnie, był niecelny, a na domiar złego magazynek zapychał się błotem. Miał jednak jedną zaletę – był. I było go dużo. Jednak chociaż używano go już w czasie bitwy pod Verdun, to właściwą taktykę opracowano dopiero w ostatnim roku wojny.

Była ona dość prosta, co więcej – stosuje się ją do dziś. Każda grupa kilkunastu żołnierzy miała swojego chauchata, albo i dwa. Byli oni w stanie iść z nimi

do przodu i niemal non stop strzelać, co zmuszało

Niemców do krycia się w okopach. Kiedy jednak Niemcy chowali się w okopach przed

pociskami chauchatów, francuscy żołnierze obrzucali ich granatami (opracowano specjalny granat VB wyrzucany ze zwykłych karabinów). Nie mogąc ani podjąć walki, ani uchronić się przed granatami, żołnierze niemieccy musieli albo zginąć, albo się poddać, albo uciekać.

I tak wyglądały ostatnie trzy miesiące wielkiej wojny. Od sierpnia do listopada 1918 r. Francuzi – z dużą pomocą Brytyjczyków i mniejszą Amerykanów – prowadzili studniową ofensywę. Niemcy wciąż się poddawali i cofali, więc nawet gdyby 11 listopada nie podpisali zawieszenia broni, to w 1919 r. Francuzi doszliby do Berlina.

Paradoksalnie dzisiaj to Niemcy uchodzą za lepszych żołnierzy niż Francuzi, mimo że jedyną wojną, jaką wygrało zjednoczone państwo niemieckie, była wojna z Hotentotami. Również ręczny karabin maszynowy – francuski wynalazek, który wygrał wielką wojnę – jest lekceważony, lepiej pamięta się o pistoletach maszynowych, rzekomo wynalezionych przez Niemców (a tak naprawdę przez Włochów). To jednak Francuzi mieli mądrzejszych generałów, którzy potrafili całą kilkumilionową armię – a nie tylko 100 tys. ludzi jak Niemcy – zamienić w jeden wielki oddział szturmowy i wygrać wojnę. Dzięki chauchatowi.

Dlaczego świat wysławia zdolności żołnierskie Francuzów? Mocarstwa rządzą światem i kreują rzeczywistość, ale niechętnie przyznają się do czerpania z cudzych wzorców. A zarówno Amerykanie, jak i Rosjanie przejęli francuską taktykę – i skopiwali mnóstwo rodzajów broni (w tym chauchata). Co więcej, Francja zachowuje niezależność – zarówno od Rosji, jak i od Ameryki. No i ani Amerykanie, ani Rosjanie nie pokonali Francuzów tak, jak pokonali Niemców. A jeśli kogoś nie można pokonać, to przynajmniej można go ośmieszyć.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Śmierć papieża Jana XXIII 3 czerwca 1963 r. zaniepokoiła komunistów. Dla świata nie była ona wprawdzie zaskoczeniem. Niepokój nieprzyjaciół Kościoła katolickiego potęgowała niepewność co do jego następcy i kontynuacji soborowej linii.

Z papieżem Janem XXIII komuniści wiązali przede wszystkim nadzieje na zmianę stanowiska Kościoła wobec marksizmu. Traktowali go jako papieża przejściowego. Według pierwotnych kalkulacji Moskwy i jej satelitów Jan XXIII był papieżem kompromisu między zwolennikami linii Piusa XII a liberałami dążącymi do reform. Na gruncie kościelnym Jan XXIII był dla komunistów przede wszystkim symbolem zachwiania pozycji „integrystów” i stopniowego dochodzenia do głosu stronnictwa tzw. umiarkowanych czy wręcz liberałów.

Świadczą o tym chociażby nominacje kardynalskie niedługo po objęciu tronu papieskiego przez Angelo Giuseppe Roncallego. Już w grudniu 1958 r. birety kardynalskie otrzy-

ły dni od śmierci papieża. Treść dokumentu jest niezwykle ciekawa z uwagi na podniesione w nim kwestie. Przede wszystkim bezpieczni typuje dwóch kandydatów do tronu papieskiego. Są nimi kardynałowie Confalonieri i Montini, którzy według bezpieczni zapewnią kontynuację dzieła Jana XXIII.

W meldunku są również wspomniane zasługi obu kardynałów w zwalczaniu „reakcyjnej grupy Alfredo Ottaviani”. Oczy ludzi resortu zwracają się również ku radykałom z tzw. grupy Mitel-Europa, wpływowej frakcji liberałów gwarantujących kontynuację linii aggiornamento. Bezpieka wymienia tu kardynałów: Bernarda Jana Alfrinka z Holandii, Leo Jozefa Suenensa z Belgii, Josefa Fringsa z Niemiec, Franza Königa z Austrii, Juliusa Augusta Döpfnera z Niemiec, Achille’a Liénarta z Francji oraz kurialistę Augustina Bea SI.

Analizując sytuację w kolegium kardynalskim, bezpieczni dochodzi do wniosku, że układ sił między „liberałami” a „reakcjonistami” wynosi 50 do 30. Dlatego też, mimo pewnego lęku



Sławomir
Cenckiewicz

/ Felieton

Święty

Paweł VI

/ Moskwa widziała w kard.
Montinim **nadzieję na trwałość
reform Jana XXIII**. Montini został
jego następcą

mali, okreśłani mianem „liberałów”, m.in. Carlo Confalonieri, Giovanni Battista Montini i Julius August Döpfner. Moskwa z wielką nadzieją przyglądała się procesowi aggiornamento, stąd krótki pontyfikat „dobrego papieża” zyskał pochlebny opinię samego I sekretarza KC KPZS Nikity Chruszczowa. Tym bardziej z niepokojem przyglądano się na Kremlu decydującemu starciu, jakie miało nastąpić po zakończeniu pontyfikatu przejściowego.

Interesującym przyczynkiem do rozważań na temat stosunku nieprzyjaciół Winnicy Pańskiej do procesu soborowej „odnowy” jest dokument Departamentu IV MSW z czerwca 1963 r. Jest to meldunek oficera Wydziału IV Departamentu IV MSW sporządzony prawdopodobnie na podstawie donosu tajnego współpracownika (lub kadrowego funkcjonariusza bezpieki) SB ps. Ostrożny na temat sytuacji w Kolegium Kardynalskim po śmierci Jana XXIII. Warto zwrócić uwagę na datę tej analizy – 7 czerwca 1963 r., czyli zaledwie czte-

spowodowanego śmiercią Jana XXIII, jest raczej spokojna o przyszłość. Świadczą o tym zdania z końca meldunku: „Analizując sytuację, jaka zaistniała w układzie sił za Jana XXIII, trudno będzie wrócić do polityki prowadzonej przez jego poprzedników czy wysuwanych koncepcji Ottaviani. Raczej nawrotu do tej polityki spodziewać się nie należy. Dlatego nowo wybrany papież może nie być tak radykalny jak Jan XXIII, ale musi się liczyć bardzo poważnie z zapoczątkowaną pracą w/w”.

Papieżem został Montini, który przyjął imię Pawła VI. Warto przy tej okazji wspomnieć, że Moskwa od dawna widziała w nim nadzieję na trwałość „reform” Jana XXIII. W kartotece ojców soborowych komunistyczna bezpieczni tak charakteryzowała przyszłego papieża: „Atakuje konserwatyzm i zacofanie konserwatystów w kurii. Opowiada się również za ułożeniem stosunków między Watykanem a państwami socjalistycznymi na bazie współistnienia i porozumienia”. Niestety, to wszystko okazało się prawdą! ©©

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

16 LISTOPADA 1918 ROKU JÓZEF PIŁSUDSKI PODPISAŁ DEKLARACJĘ NIEPODLEGŁOŚCI. PROBLEMEM JEDNAK BYŁO TO, W JAKI SPOSÓB JEJ TREŚĆ PRZEKAZAĆ DO INNYCH KRAJÓW.



TYMCZASEM W CYTADELI WARSZAWSKIEJ.



JOHANN PRADELLOK NIE WYKONAŁ JEDNAK TEGO ROZKAZU. NIE ZNISZCZYŁ CZĘŚCI, A JEDYNI WYMONTOWAŁ JE I UKRYŁ.



DŁATEGO WIECZOREM 18 LISTOPADA 2018 ROKU.



TEJ SAMEJ NOCY JOHANN PRADELLOK PRZYGOTOWAŁ RADIOSTACJĘ DO NADANIA WIADOMOŚCI.



NASTĘPNEGO DNIA.



100-lecie

ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

1918
2018



Militaria.pl

GDYNIA ŚWIĘTOJAŃSKA 84 • KATOWICE GALERIA KATOWICKA • KRAKÓW DIETLA 51 • ŁÓDŹ MANUFAKTURA • POZNAŃ POSNANIA • POZNAŃ STARY BROWAR
SZCZECIN AL. PIASTÓW 53 • WROCŁAW OŁAWSKA 16 • WROCŁAW ALEJA BIELANY • WARSZAWA BLUE CITY • WARSZAWA TAMKA 49 • WARSZAWA WOLA PARK

ZAMÓWIENIA: 71 347 47 47 • INTERNET: www.Militaria.pl